

KONRAD VON BOLANDEN

LUTER

w drodze do narzeczonej

Przełożył z niemieckiego

Ks. JULIAN ECHAUST

WYDANIE TRZECIE
z ilustracjami

KRAKÓW 2019

www.ultramontes.pl

SPIS RZECZY

	Str.
Mistrz i uczeń	4
Obóz chłopów	17
Naczelny wódz	25
Diabeł	50
Napaść na klasztor zakonnicy	66
Okropny widok	80
Zbiegłe mnichy	92
Miejsce walki	111
Uprzykrzony przyjaciel	124
Zalotnik	134
Hilchen i Gizela	146
Uczta	167





Marcin Luter

Według malowidła Łukasza Cranacha



Katarzyna von Bora

Według malowidła Holbeina

LUTER

w drodze do narzeczonej

KONRAD VON BOLANDEN

Przełożył z niemieckiego

Ks. J. ECHAUST

Mistrz i uczeń

~~~~~

"Świat w posadach zachwiany: hańba i wstyd, iż mnie naprawiać go trzeba".

*Shakespeare.*

Potrzeba było bardzo wiele osobistej odwagi, aby w burzliwym czasie wojen chłopskich podejmować dalszą podróż bez broni i zbrojnego towarzystwa. Łatwo bowiem było można napotkać wałęsające się zastępy chłopów, którzy łupili klasztory, burzyli zamki i rzadko kiedy przepuszczali bezbronnym podróżnym. Państwo Niemieckie, które w spuściznie otrzymało potęgę i znaczenie upadłego państwa Rzymskiego, miało się ku schyłkowi, bo ona duchowna a światem władająca władza, której naród niemiecki zawdzięczał wyniesienie swoje ponad wszystkie królestwa ziemi, Kościół katolicki wystawiony był właśnie na najcięższe i najkrwawsze prześladowania. Rokoszanie grabili nie tylko bogactwa, zakłady, klasztory i dobra kościelne, ale nadto wzgardzili nauką Kościoła św. i obrzędy jego głosili bałwochwalstwem. Rozsadzający wszystko ruch ówczesny nie stanął w niszczącej tej robocie – i druga podpora państwa – szlachta – była przeznaczona na zatracenie. Pod sztandarem wolnej Ewangelii rozwścieklone tłuszcze w ruinę obracały dziedzictwo panów, których mordowano najokrutniej, albo zabierano w sromotną niewolę. Podczas gdy cesarz poza granicami państwa uwikłany był w wojnę, a książęta się zbroili, aby rokoszowi stawić czoło, wzbierał rokosz z

szybkością gwałtownego strumienia i groził zniszczeniem wszelkiej zapory, jaką by natrafił w przebiegu.

W tym czasie burzliwym jechało dwóch podróżnych – widocznie ludzi, których wojenne sprawy mało obchodziły, bo wcale broni nie mieli – wąską doliną Turyńskiego lasu. Jakkolwiek już się miało ku południowi, a ostatnie dni maja mocno były gorące, żaden z dwojga podróżnych nie czuł zbytniego gorąca, bo miły wietrzyk, powstający z głębokich jarów, chłodził powietrze. Tu i owdzie świeciły w lesie błyszczące krople rosy tęczowymi kolorami. W długich brzoź włosach i pajaków tkaninie jaśniały tysiące małych pereł, aż dotknięte słońca promieniem, spadały w mech miękki i ginęły na zawsze. Środkiem wąskiej doliny płynął cicho czysty strumyk, szemrząc po kamieniach. Przecież snadź nie zawsze biegł tak cicho, bo szeroko wymielone koryto i szlamu resztki na drzewach, po boku stojących, wskazywały, że w czasie burz wzbierał wodami z pobliskich gór i z szumem płynął dalej. Ponad brzegiem rosły buki, leszczyna i innych drzew mnóstwo, w których ptaki wesoło poranne nuciły pieśni, a raz po raz zlatując na kamyczki, czystą strumyka spijały wodę. Świeżuchna łąka rozpostarła kobierce po obu stronach strumyka, aż do ciemnego, nieprzejrzanego okiem lasu, do którego zwierz spłoszony uciekał. Tu i owdzie gołe sterczały skały, około których drapieżne krążyły ptaki, a wystraszone zbliżaniem się podróżnych dziko krzyczały.

Obadwaj podróżni najmniejszej nie zwracali uwagi na tak dziko romantyczną dolinę. Milcząc, jechali obok siebie, widocznie w ważnych zatopieni myślach. Starszy był mężem w najlepszych latach. Obleczony był w obszerną, ciemną, już nieco zużytą suknię do kostek sięgającą. Na głowie biret, który raz po raz zdejmował z głowy, aby obetrzeć pot z czoła. Znacznie był otyły, a konna jazda widocznie go nużyła. Z ubioru sądząc, zdawał się być zupełnie zwykłym człowiekiem, atoli przypatrzywszy mu się bliżej, zastanawiał dziwnym wyrazem twarzy. Usta miał mocno wywrócone, a w patrzącym na nie wywoływały jakieś uczucie trwogi, by się snadź nie otworzyły i nie wylały ognistych myśli, których obecność zdradzały prędko latające oczy. Uczucie to pomnażał jeszcze jakiś dziwny niepokój, jakaś zuchwałość, której w tym człowieku dopatrzyć było łatwo. Czasem podnosił lewe brwi, przy czym mu się oczy iskrzyły, a z ust wychodziły słowa gniewliwe. Cugle opuszczone trzymał w rękę, i gdyby koń nie był raz po raz się potykał, byłby niezawodnie zapomniął, pogrążony w myślach, że konną odbywa podróż.

Towarzysz podobnego kroju miał suknię, ale cały ubiór ułożony był starannie, gdy tymczasem w ubiorze pierwszego widoczne było zaniedbanie. Z pod biretu spływały piękne kędziory, jakich trudno dopatrzeć u mężczyzn. Dumny był z nich, i dlatego starannie je utrzymywał, wnet je porządkując, jeżeli złośliwy wietrzyk w nieład je wprowadzał. Znacznie był młodszy od ponurego towarzysza, młodzieńczej jeszcze twarzy, na której rozlany był spokój w krzyżującym przeciwieństwie do ponurych rysów towarzysza, w których burza zdawała się wciąż wzmagać. Łagodność różowała usta jego, a oczy z pewną trwogą i troską zwracały się na towarzysza, którego wyrwać pragnął z koła ponurych myśli, ale bojaźń krępowała mu język.

Długo jechali w milczeniu, i bodaj byłby młodszy odważył się przemówić słowo, ani starszy nie byłby przerwał milczenia, gdyby niezgrabne stąpienie konia nie było go wyrwało z zadumy.

– Przeklęta bestia! Wszyscy diabli wjechali w brzuch tej szkapie! – krzyknął, zachwiał się w siodle tak, że nieledwie byłby się znalazł na ziemi. Kruki niech zjedzą to przeklęte zwierzę! Po same uszy już mam konnej jazdy!

– Zawsze człowiek w kłopotach i niebezpieczeństwie – mówił dalej, gorzko się uskarżając – strach w podróży przed wałęsającymi się bandami, strach w komorze przed diabła najezdami, strach w gronie przyjaciół przed fałszywymi braćmi i próżniaczymi gadułami. Bo i czyż nie gaduła ten stary Taun, w którego głupiej głowie ciągle pokutują chłopskie bandy? Przy tym wszystkim kwaśny szlachciura ani słówkiem nie pochwali błogosławieństwa, jakie spłynie z nowej Ewangelii, chociaż już kilka klasztorów zappełniło mu próżną szkatułę. Zawsze mi wyjeżdża ze swym: "chłopi palą, chłopci niszczą, chłopci i na nas wpadną". Co wpadną, to wpadną – pobawią się z dumnymi pankami, jak dotąd bawią się z mnichami.

– Niech was nie obruszają, Doktorze, mowy starego, głupiego człowieka – odezwał się drugi. Porzućcie w ogóle wszelką troskę, a pomyślcie o osławionej piękności, której jedziemy naprzeciw, a którą Bóg przeznaczył ku rozweseleniu smutnych godzin waszych.

– Głupiś, młodzik – odparł rozjątrzony Doktor. Czy ci się zdaje, że oczy i wdzięki kobiet potrafią ochłodzić mózg mój, który gotuje się, burzy, na smród i zaduch, jaki wniosło na świat papieństwo? Nie – nie dlatego postanowił wziąć żonę! Jednej chwili nie poświęcę kobiecie i kobieta nie powstrzyma mnie od wypełnienia co do literki wzniosłych mych obowiązków, do których jestem powołany.

– Przeciwnie! potęga działania waszego wzroście w jasnym blasku, jaki rozlewać będzie najpiękniejsza z wszystkich kobiet. Słusznie nazwaliście ją "jutrzenką z Wittenberga", bo Kasia ma być rzeczywiście bardzo piękną.

– Hm, prawda! przecedził przez zęby zrzedny Doktor. Równie po mistrzowsku a obłudnie potrafisz chwalić, jak przeciwnicy moi po diabelsku urągają. Choćby Kasia najpiękniejszą była Ewką – wszystkie kobiety mają cząstkę z Adamowego żebra – choćby była obrazem wszystkich wdzięków, nie wziąłbym jej za żonę.

– Bezwątpienia! Wyście wyżsi ponad ciała rozkosze i jego pokusy – chwalił młodzieniec w myśli, że rozbroi gniew towarzysza. Ale pochwała jego właśnie przeciwny wywołała skutek.

– Wyższy? Czyż nie mam ciała ani kości? – mówił ze złością Doktor. Nie jestże żona dla męża, a mąż dla żony? Dajmy na to, że ja, jako człowiek z ciała i krwi, mógłbym żyć czystym jak Anioł; nie uczyniłbym tego – właśnie papieżu na przekorę, którego kłamliwe usta zachęcają do bezżeństwa (1).

– Dotąd chciał tego Papież, ale na przyszłość, sędzę, nie będzie tyle przewrotnym, aby miał nakładać na księży i zakonników ciężaru bezżeństwa, boć trudno przypuścić, iżby miał czegoś żądać, co przeciwne jest własnemu jego interesowi.

– Żądać czegoś przeciw własnemu interesowi? jak uczenie a ciemno!

– Ja chciałem powiedzieć, że rzymska żądza panowania będzie musiała ofiarę uczynić z bezżeństwa kapłanów, bo bodaj utrzymałoby się panowanie Papieża, gdy wy, uczony Mistrzu tak gwałtowny szturm przypuszczacie.

– Bodaj utrzymałoby się? Gdzie twoja głowa, Filipie? – wołał rozsierzony Doktor. My przykładamy Papieżowi nóż do gardła, nam się zdaje, żeśmy gęś na rożen wyłożyli i diabłu dali na pożarcie, a ty bredzisz, że bodaj się utrzyma papieska władza (2).

– Ja powolność Papieża miałem na myśli.

– Co? powolność? – przerwał Doktor namiętnie. Człowieku; chybaś rozumu pozbawiony? Papież – a ustępstwa! Niech mnie Bóg zachowa od takich uszu oślich, które słuchają przysięg i ustępstw diabła! Ileż razy kładłem ci w uszy: *papież arcykacierz, diabła pomocnik, wcielony antychryst* (3) a tobie się zdaje, że uwierzę ustom takiego łotra? Kimżeż jestem w oczach twoich, Filipie?

– Chciejcie mnie tylko zrozumieć, czcigodny ojcze! Papież mógłby się nawrócić, mógłby wyrzec się błędnej nauki i bojaźnią a żalem zdjęty mógłby upaść wam do nóg i błagać o łaskę i przebaczenie.

– Jakiż rzecznik z ciebie! Prawie wmówiłbyś we mnie, że Papież nie jest diabłem – mówił Doktor, i po raz pierwszy ułożyła się twarz jego, dotąd ponura, do uśmiechu, wywołanego pewnie obrazem poniżonego przez Filipa papieża. Atoli wnet zasepiło się znowu oblicze jego.

– Bańki mydlane – mówił – słowa papieża, jego łzy i żal; pomiędzy nim a mną nie ma pokoju! Choćby i koronę odrzucił, choćby z dumnej ustąpił stolicy i wyznał, że błądził, że Kościół Boży pustoszył, zawsze zostanie diabłem i antychrystem (4). Ileż razy mam ci powtarzać, że wszelkie usiłowania daremne, dopóki lud głupi lęka się świętej władzy Papieża? Obedrzeć go musimy z świętości pozorów, rozbić koronę nieomyślności, a na to nie ma lepszego środka, jak bez ustanku krzyczyć głuchemu ludowi w uszy: *Papież burzyciel Kościoła Bożego, wcielony diabeł, antychryst!* Nie znam lepszego lekarstwa, aby zatrzeć i zniszczyć władzę tego potwora!

– W tym wielka mądrość! – odpowiedział Filip. Potęga papieża będzie złamaną, skoro chrześcijaństwo nie będzie widziało w nim zastępcy Chrystusa Pana, jeno zastępcę diabła. Atoli i to na mało by się przydało, gdyby papież choć tylko dwie rzeczy chciał przyjąć z waszej nauki.

– Jaka to szkoda, żeś ty nie Papieżem – odezwał się ironicznie Doktor. Czystej Ewangelii wiele mógłbyś zaszkodzić. Ale jego świątobliwość nie przesadziłaby mnie w ustępstwach! Gdyby Papież przystał na małżeństwo kapłanów – tu ściągnął brwi na znak, że takie ustępstwo było dlań niebezpiecznym – wtedy natychmiast zezwoliłbym dwie albo trzy przyjąć nałożnice, zamiast jednej żony. Jeśli Papież będzie ustępował, stokroć więcej zrobię ustępstw, bo przysłowie mówi: "Kto najlepiej płaci, przy tym największe zbierają się tłumy" (5).

– Ale to byłoby przeciwne Pismu św.! – zawołał mimo woli Filip, zaskoczony ustępstwami, które by okropne wywołały skutki. A gdy rozmyślił się, jak śmiałym było takie wyrzeczenie, przeraził się, jak gdyby majestat rzymskiego państwa był obraził. Z trwogą spojrzął na Doktora, na którego obliczu gromadziły się złowrogie chmury.



– Co? – krzyknął Doktor, zatrzymując konia. Ty chciałbyś mnie uczyć, jak Pismo św. rozumieć? Niedawno zagadywał mnie Papieżem, na którego wspomnienie wszystka żółć mi w krew przechodzi, a teraz uczyć mnie chce? Czy na to podjąłem sprawę z Papieżem, cesarzem i wszystkimi diabłami, by lada niedorostek żarty sobie ze mnie stroił? Mnie chciałbyś uczyć, jak Biblię wykładać, który ją wykładał wszystkim Ojcom, Papieżom i soborom na przekór?

Słowa te wymawiał z całą siłą głosu, podniesionego namiętnością. Przy czym podniósł pręcik, który miał na konia, i grożąc, zamierzył się nim na ucznia, który niezawodnie byłby dotkliwie uczył gniew mistrza, gdyby właśnie w tej chwili koń nie był nagle odskoczył! (6).

– Gniew wasz zabija mnie, czcigodny ojcze! – skarżył się młodzieniec, bacznie unikając razów, a chcąc prośbą udobruchać rozgniewanego, błagał dalej: Na Boga, powstrzymajcież się przecie! Nerozsądnem się odezwał i obraziłem wielce mądrość waszą. Ale wiercie mi, uczony Mistrzu, to nie ja tak zuchwale się odezwałem.

– Tak! Nie? A któż tedy? Chcesz kłamstwem sobie pomóc i piekielnego ducha uniewinnić, nadto stać mu się podobnym?

– Prawda, pozory były. Ale wiercie mi, czcigodny ojcze, wasza mądrość wielkie w tej chwili odniosła zwycięstwo! "*Diabeł często jeździ na człowieku i prowadzi dokąd chce*" tak wy nauczacie. Widocznie i mnie diabeł popchnął do tak zuchwałego wyrzeczenia. Wiercie mi, Belzebub, przeciwnik waszej sprawy, mówił przeze mnie!

Dziwna, że odpowiedź ta, co najmniej zastanawiająca, zadowoliła Doktora. Spuścił podniesiony pręcik, i powoli gładziły się zmarszczki na gniewnym jego obliczu.

– Być może, iż diabeł tak z ciebie zażartował! Wszędzie ta bestia depce mi po piętach: we śnie przedstawia mi straszne obrazy, które piekielnymi farbami po mistrzowsku maluje, tak, że ze strachu pot mi na czoło występuje. Czy myślisz, głupi diable – zawołał, jakby złego ducha widział przed sobą – że mi przeszkodzisz w wielkim dziele Ewangelii, a bratu twemu, Papieżowi, przysługę wyświadczysz? Pragnę się pomodlić, jużci diabeł przy mnie i smród swój rzuca do modlitwy, przypominając spalone klasztory, wymordowanych mnichów, a teraz wojnę chłopów, za co mi Bóg nie może być łaskawym. Piszę,

jużci siedzi na końcu pióra, i dlatego w pismach moich tyle wspomnień znajdziesz o diable; mnie się zdaje, że na każdej stronicy mych pism widzę diabła, przechodzącego się na końskich nogach. Ba, nawet najlepszym mym przyjaciółom przysiada się na języku, aby mnie drażnili (7). Ale słuchaj, miły diable, mówił, znowu zwracając mowę do ducha nieczystego – Biblia tak mnie mało obchodzi, jak twoje pokusy. Kiedym słomiany list Jakuba św. dał na pożarcie osłom, czyżbym tego samego nie mógł zrobić z innymi listami? Patrz, Filipie, w taki sposób winieneś diabła odganiać. Głupstwa mu gadaj, a gdy ze skrupułami się zbliży, pytaj go, czy nic więcej nie wie (8). Wreszcie – dodał, a oblicze jego poczęło się układać do śmiechu, na widok wielkiego skórzanego woru, przymocowanego do siodła Filipa: – najlepsze lekarstwo na najazdy szatańskie masz w worze twoim. Choćby też Papieżowi na przekór wszystkie zdania z Biblii potrzeba było wykreślić jedno zostanie: *vinum laetificat cor hominis* (9), bodaj Pan Bóg prawdziwsze kiedykolwiek wyrzekł słowo.

Filip odwiązał skórzany wór od siodła i podał go Doktorowi, którego oblicze coraz bardziej się rozweselało na widok miłego nektaru.

– Filipie – mówił, oburącz trzymając wino – raduj się: Bóg przydał mi ciebie, troskliwego i wiernego towarzysza, jako Rafał przydany był młodemu Tobiaszowi w podróży do Medii.

Wymówiwszy te słowa, przyłożył wór do ust, a podczas gdy po mistrzowsku go wypróżniał, Filip zdradliwie się uśmiechał, bo wiedział, jak bardzo Doktor lubił wino, i jakie na nim wywierało skutki.

– Nie jedziemy wprawdzie do Medii – zaczął znowu Doktor – aby diabłów wypędzać, jak niegdyś Rafał, ale wierz mi, że w Arnstein trzeba będzie więcej niż siedmiu diabłów wypędzić z onego obrzydłego Karmelity. Wyjść muszą, choćby też tego służalca papieskiego sam antychryst był spętał.

– Karmelita, co prawda, znakomity teolog i dysputator zawołany – mówił Filip – przecież publicznie będzie zniewolony broń złożyć, bo wam, choć uczone, bodaj będzie zdolne się oprzeć.

– Co mówisz? bodaj? – krzyknął Doktor i groźnie podniósł brwi.

– No tak. Sądzę, że przed waszą mądrością sofizmaty mnicha z trudnością się ostoją!

– Bodaj? z trudnością się ostoją? Lis z ciebie, mój Filipie. Giętki masz język, tak, iżbyś z wszystkimi prawnikami i filozofami mógł pójść w zawody. Jesteś jak węgorz, który się zawsze wyślizgnie, albo jak miech z wełną, którego nigdy mocno uderzyć nie można, bo zawsze się ugnie.

– Wiadomo wam przecie, czcigodny Mistrzu – odparł łagodnie Filip – że w takich rzeczach nigdy się stanowczo nie odzywam, jakkolwiek w tym razie szyję dając, że zwyciężycie papieskiego sługę.

– Już dobrze, wiem o tym – odezwał się drażliwy Doktor i fałdy na twarzy jego wygładziły się znowu. Rozmaici muszą być ludzie: lisy i lwy; przy moim boku przydatny czasem lis. Przypomnij sobie dzisiejszy poranek. Stary Taun babskim swym gadaniem straszliwie mnie rozgniewał, tak, że przed ogniem, który bił z oczów moich, ledwom mógł dojrzeć znaków, jakie mi dawałeś.

Tu zamilkł Doktor na chwilę, przypominając sobie w myśli rozmowę z Taunem. Po chwili odezwał się znów:

– Czy to prawda, co mówił Taun o chłopach? Czy chłopci chcą rzeczywiście razem z klasztorami i kościelnymi zakładami poburzyć zamki panów?

– Toćby mogło nastąpić, ale jednego jeszcze, i to większego, lękam się nieszczęścia – mówił Filip lękliwie, jakby bał się wyjawiać przyczyny swej obawy.

– Większego jeszcze nieszczęścia? powtórzył Doktor, któremu nie podobała się powściągliwość towarzysza.

– Lękam się – kończył Filip – że cały rokosz chłopski i wszystkie krwawe jego następstwa wam przypiszą.

– Tego się lękasz? A pfe! Wstydz się! Zajęcza widać w tobie dusza. Zaprawdę – mówił dalej Doktor uroczystym tonem, rękę podniósłszy – źle byłoby z czystą Ewangelią, gdyby we mnie siedział tak bojaźliwy diabeł, jak w tobie! Długo jeszcze leżałoby czyste słowo Boże w błocie papieżstwa; biedny lud byłby długi czas jeszcze służalcem tłustych papieży i opatów. Nie! krzyknął tak, że echo w dolinie się odbiło – nic lepszego, jak, że wszystkie klasztory wystawione są na zgubę. Nie będzie na ziemi błogosławieństwa i szczęścia, dopóki Rzym pyszny nie runie ze szczętem (10).

– Proszę tylko, Mistrzu, abys słów moich nie tłumaczył sobie fałszywie – odezwał się przebiegły Filip – tego nie lękam się w wojnie chłopów. Niech sobie nowy Kościół toruje drogę zniszczeniem starego. Mnie jeno zastanawia nienasycona żądza chłopów, którzy nie zadowolą się klasztorami, ale będą chcieli palić dziedzictwa panów.

Jeszcze chciał mówić dalej, bo i usta miał otwarte i rękę podniesioną, ale niecierpliwy Doktor nie dopuścił go już do słowa.

– Na Boga! mówił – zarazasz mnie twymi wątpliwościami, którymi cię znowu diabeł natchnął! Powiedzżeż mi, czy to chłopci są psy lub zwierzęta, aby dla wielkich panów orali jak woły i konie? Czyż to nie ludzie? To właśnie najlepsze dzieci Boże! Nie mieliżby i oni być wolnymi przez nową Ewangelię? Gniewasz się, że chcą zrzucić jarzmo z karków? Właśnie, aby chłopów uczynić wolnymi, maluczkich podnieść, a pysznych poniżyć, to cel mojego przyjscia na świat! I gdyby potrzeba się okazała, postawiłbym się na czele wojsk chłopskich, jako niegdyś Mojżesz uczynił; prowadziłbym je do zwycięstwa przeciw Kaanitom i Amelekitom (11).

– Wasza odwaga ani chwili o tym powątpiewać nie pozwala – mówił Filip pochlebnie, sądząc, że za cenę mądrego pochlebstwa do słowa się dostanie.

– Chłopi są ludźmi, wedle praw ludzkości też z nimi postępować należy. Uciemienieni ciężko, usiłują zrzucić jarzmo! Ale co będzie, gdy tego nie dokażą? Co będzie z nami, jeżeli wszystka szlachta, zdolna do broni, stanie jak jeden mąż i chłopów tysiącami wymorduje? Wszakże stary rycerz dziś rano wyraźnie wam powiedział, że nie kto inny, jeno wy wywołaliście rokosz chłopów; – czyż nie zwróci się gniew szlachty przeciw nam i pomści się na nas za spalone zamki i krew przelaną?

W takim sensie mówił Filip przez kilka chwil, ale spokojnie, przekonywająco. W żywych kolorach odmalował grozę chłopskiego buntu, w jakiej okazał się nad Renem, i przez Turyngię na całe szerzył się Niemcy.

– Do wszystkich diabłów, przestańżeż już! – przerwał wreszcie ze złością Doktor. Długo jeszcze trwogą i fałszywymi wnioskami będziesz występował przeciw sprawie Bożej, długoż i mnie chcesz w głowie przewracać? Chłopi nie mogą być i nie będą pokonani – ich sprawa jest sprawiedliwą i wszystkie oszczepy książąt nie zagaszą ognia, który się rozpalil! Tak, to jest ów ogień, który wywołałem z nieba, aby zniszczyć wszystkie klasztory i twierdze antychrysta. Ha! bardzo byłbym ograniczonym, gdybym dla twoich

przepowiedni zerwał z chłopami, w których mam sprzymierzeńców w walce z papieżem (12).

Filip był zanadto przebiegły, aby miał jakiegokolwiek jeszcze czynić uwagi, które by Doktora coraz więcej obruszały. Myślał nad tym, jakby rozgniewanego ułagodzić, co wcale niełatwą było rzeczą, o czym wiedział z doświadczenia. Myśli te przerwały mu jakieś dzikie, pomieszane krzyki, które go z daleka dochodziły. Raz zdawało się, że przez gęste gałęzie drzew przedzierały się głosy ludzkie, to znowu huczało w lesie, jakby ryk rozmaitych zwierząt, a im dalej podróżni jechali, tym wyraźniejsze stawały się głosy.

– Zdaje się, jakoby diabeł trzody po górach przepędzał – odezwał się Doktor.

– To jakieś piekielne krzyki!...

Jakieś dziwne uczucie trwogi opanowało obudwóch, bo i szczęk broni dał się słyszeć, w której Doktor, mimo wypowiedzianych co dopiero w zapale zasad, nie bardzo sobie podobał.

– Daleko jeszcze do zamku, Filipie? – pytał łagodnie.

Ze zdziwieniem spojrział Filip na towarzysza, bo jeszcze cały dzień drogi mieli przed sobą. Ale zamilczał o tym, gdyż wyjawivszy prawdę, nie byłby wcale podniósł odwagi Doktora, który, nie czekając odpowiedzi, mówił trwożliwie:

– Diabelne zaślepienie, iżemy siebie na takie niebezpieczeństwo narazili. Nie uwierzysz, jak wszyscy zwolennicy papieża na wszystkich drogach i ścieżkach mnie ścigają, ba, nawet zatruli ambony i kielichy, aby mnie, biednego, zgubić (13). W nieszczęśliwej godzinie postanowiłem wyjechać naprzeciw Kasi – zły wstęp do małżeństwa.

– Nie lękajcie się – pocieszał Filip. Jesteście pod opieką Boga, w którego służbie podjęliście tę podróż. Prawda, że w domu mogliście oczekiwać narzeczonej, ale dla dobra czystej Ewangelii naznaczyliście zamek daleki na miejsce spotkania, abyście mieli sposobność, pokonawszy podstępного Karmelitę, zyskać dla Ewangelii potężnego hrabiego.

Krzyk ustał. Doktor swobodniej odetchnął. Atoli cisza chwilę tylko trwała, bo wnet zabrzmiała dolina jakimś uroczystym religijnym chorałem, wzniesionym z piersi kilkuset mężów.

Obaj podróżni słuchali zdziwieni: na Doktora obliczu widać było zachwycenie. Popędził konia; na nieszczęście nietęgi z niego był jeździec, bo skakał na siodle tak, że każdej chwili zdawał się być bliskim upadku. Jednak nie zwolnił konia w biegu, owszem, naglił go do prędszego chodu, aż wreszcie wyjechali na brzeg lasu, który im wszelki zasłaniał widok.

Niespodziewany był obraz, który im się odsłonił. Wąska dotąd dolina rozszerzyła się znacznie, tak, że wygodnie kilka tysięcy ludzi pomieścić mogła. Olbrzymie góry otoczyły ją wieńcem. Z zielonych buków i dębów sterczały dość gęsto, na starożytnych wież podobieństwo, wysokie, nagie skały. W wielu miejscach, wśród niskich krzaków jedliny, wznosiły się kłęby dymu, które, łącząc się w górze, tworzyły całe chmury. Około ognisk, między dymem a płomieniem, poruszały się dziwne postaci, czarne, dziko wyglądające, gdy z poza gór ciągle jeszcze słyhać było ów śpiew poważny.

– To obóz chłopów – mówił Filip sam do siebie, przy czym było widać, że to odkrycie wcale mu nie było miłym.

Wnet też okazało się, jak słusznie Filip chłopom niedowierzał, gdyż z pobliskich krzaków wyskoczyło kilku barczystych chłopów z krzykiem:

– To mnichy! chwytaj! wieszaj! na dzidy z łotrami!

Słowa prędko w uczynki przejść miały, bo już nie żartem wymierzono dzidy ku bezbronny. Filip okazał przy tej sposobności, jak był przywiązany, jak kochał Doktora, bo niepomyślnie na własne niebezpieczeństwo, wspiał konia i rzucił się pomiędzy towarzysza a napastników. Doktor zaś nie mniejsze okazał męstwo, gdyż na krok nie ustąpił, owszem, rozkazująco odezwał się do szlachetnego obrońcy, aby ustąpił z drogi. Poczym stanął na strzemionach, i zanim słówko wymówił, opadła broń w rękach napastników, przerażonych widokiem męża, z którego oblicza biła jakaś godność i powaga.

– Omyliliście się, słudzy Boga i słudzy wolnej Ewangelii – przemówił do nich uroczyście. Nieledwie bylibyście życia pozbawili waszego ojca, który w duchu was zrodził, bo trzeba wam wiedzieć, że jam jest Doktor Marcin Luter.



Chłopi zdumieni. Trwożliwie spoglądali na reformatora, który radował się, widząc, jak skutecznie działało samo wymówienie jego imienia.

– Jeżeliście rzeczywiście tym, za kogo się przed nami wydajecie – mówił jeden ze zbrojnych, prawdopodobnie dowódca, – przejdziecie bez przeszkody. Przecież nie możemy wierzyć żadnemu mnichowi, który habit nosił, tak nam mówił brat Bernard, znający ducha Bożego. Dlatego stawicie się przed Bernardem, który, jeżeli jesteście Marcinem Lutrem, niezawodnie was pozna. Jeżeliście zaś kim innym, nie Lutrem, wisieć będziecie bez miłosierdzia, bośmy przysięgli, że całe gniazdo rzymskiej Sodomy zniszczymy.

– Chrześcijańska to przysięga! rzekł reformator, wcale nie zrażony niedowierzaniem chłopów i gorliwością, z jaką przysięgi dotrzymać chcieli.

Zbrojni chwycili cugle i poprowadzili podróżnych do przeciwległej skały.

---

### Przypisy:

(1) Luther, *Klostergelübde*. Słowa te, jak również inne, wzięte są z dzieł Marcina Lutra, który, pałając nienawiścią ku Kościołowi katolickiemu, w wyrazach nie przebierał. Czytelnik może łatwo sam się przekonać z dzieł tu cytowanych.

(2) Luther, *Tischreden*. Wyd. Lipsk. Str. 335. V.

(3) Tamże. Str. 340 i 341. Polski język jest za ubogi, aby wystarczył do przetłumaczenia wszystkich bluźnierstw, jakie Luter i jego zwolennicy na Papieża i na katolików wypowiedali.

(4) Luther, *Tischreden*, str. 377.

(5) *Coelib. und Ehe*. Wyd. Jen. T. II, str. 195.

(6) *Stud. u. Skiz. zur Gesch. d. Reform. – Luth. Verhalt. zu Phil. Mel. Doellingers Reformationsgesch.* Tom. I. Str. 354.

(7) Luth., *Tischr.* Wyd. Eisl. I, 15, i Lipsk. wyd. 220-221.

(8) Dzieła Lutra, VI. Wittenber., str. 282.

(9) "Wino niech rozwesela serce człowieka".

(10) Wyd. Wittenb. XII, str. 223; I, str. 61.

(11) Wyd. Wittenb., V, str. 226, 232. b.

(12) *Stud. u. Skizzen zur Geschichte der Reformation. – Luthers Verhalten waehrend des Bauernkrieges.* Str. 312-334.

(13) Marcin Luter niepotrzebnie tego się lękał, skoro z amboną i ołtarzem od dawna zerwał.

---





# Obóz chłopów

~~~~~

"Zachowaj nas, Panie, przy świętym Twym słowie.
Zatrac Papieża i Turki, bo to wrogowie.
Co już Jezusa, Syna Twojego,
zepchnąć chcą z tronu, z Syjonu Bożego".

Pieśń kościelna Lutra.

Przejeżdżając przez obóz, mieli podróżni sposobność przypatrzeć mu się dokładnie. Wokoło słycać było zmieszany ryk najrozmaitszych zwierząt, spędzonych ze zniesionych dóbr klasztornych i zamków pańskich. Przy ogniskach leżały na pół nagie, skrępowane postaci; z ogolonych głów sądząc, byli to zakonnicy, zachowani prawdopodobnie na szubienicę, jeżeliby przekonywających nauk Bernarda usłuchać nie chcieli. Sprzęty kościelne, zabrane z klasztorów, leżały w nieładzie; były tam szczątki ubiorów kapłańskich, drewniane figury Aniołów i Świętych, które zwykły w kościołach stroić ołtarze. Atoli więcej, niż te przedmioty, uderzało śmieszne ubranie chłopów. Ten, co Lutra przyprowadził, miał wierzchnią szatę białą, obszerną, z wybornego płótna, którą przepasał czerwonym paskiem kościelnym, szerokie u wierzchu zostawiając fałdy, aby służyły do ukrycia porabowanych w klasztorach i zamkach droższych przedmiotów. Dolna część szaty, niegdyś białej, dziś nieoznaczonego koloru, obszyta była drogą koronką, z pięknymi wyrobami, a chociaż rozliczne plamy wskazywały, gdzie rycerz spoczywał, na pierwszy rzut oka było można poznać, że była to alba, w jaką kapłani do Mszy św. się przyobłóczą. Na szyi miał złotem tkany pas, widocznie stułę, na końcu jej przymocował złotą patenę, na którą z dumą spoglądał. Patenę tę zabrał z klasztoru, który kilka dni temu spalili, i jednego tylko żałował, tj. że nie mógł zabrać i kielicha, na którym patena leżała, bo kielich przywłaszczył sobie dowódca oddziału. Na głowie miał biret jakiegoś proboszcza wiejskiego, którego, jak się przechwalał, własną zabił ręką. Nogi obuł w drogie trzewiki, jakie opaci podczas Mszy św. nosić zwykli. Jedyłą tylko pamiątką chłopskiego ubrania były poszarpane spodnie. Podobnie do niego i inni byli ubrani. Reformator, patrząc na tłum chłopów, otaczający jakiegoś kaznodzieję, nie mógł wstrzymać się od śmiechu.

Kaznodzieja tak zajął słuchaczy, że nikt nie zwrócił uwagi na nowoprzybyłych. Stał na odłamie skały, ponad głowami pobożnych słuchaczy.

W bliskości powiewał ogromny sztandar wojskowy, na którym z jednej strony wypisane było: "Sandał" (1), na drugiej zaś stronie było wyszyte słońce ze złocistymi promieniami, a pod nim napis:

"Pod to słońce niech się schroni,
"Kto wolności swojej broni".

Treść kazania ciemne rzuciła światło tak na uczoność kaznodziei, jak i słuchaczy, bo dowodziła, jak nisko może upaść rozum człowieka, gdy namiętności się rozpanoszą. Rzucił się bez ustanku, machając gwałtownie rękami, i ciągle zdawało się, że spadnie z improwizowanej ambony. Grożąc, ścisnął pięść, a drugą ręką targał długie włosy, które powikłane, wraz z twarzą rozognioną okropny przedstawiały widok. Z ust strumieniem lały się klątwy i złorzeczenia na rzymski Kościół i wyznawców jego, i to z taką szybkością, iż chyba zły duch je poddawał.

Luter bardzo się ucieszył, gdy poznał w kaznodziei jednego z najzdadniejszych i najuczeńszych uczniów swoich, o którego pracy w zyskaniu zwolenników nowej nauce wiele już słyszał, ale nie spodziewał się, że go zastanie w obozie. Że Bernard znakomicie do ludu przemawiał, wiedział Luter dobrze, a jednak zastanowiła go siła wymowy, jaką słuchaczy podbijał. Niemniejszą były dlań niespodzianką bluźnierstwa przeciw Rzymowi, w których mówca przewyższył nawet samego Lutra.

Brat Bernard miał jeszcze dwóch słuchaczy, których obecnie się nie spodziewał. Może o sto stóp ponad kaznodzieją była w skale jaskinia. Strome skały, które ją otaczały, nadawały jej pozór twierdzy, do której wąska tylko prowadziła ścieżka. Wejście zasłaniał krzak wielki, za nim siedział mąż od stóp do głów uzbrojony. Głowę wsparł na rękach i bardzo zdawał się być zamyślony. Na szyszaku powiewały resztki białego pióropusza. Na zbroi widoczne były ślady krwi, również na rękojeści miecza, który leżał przy nim wraz z toporkiem. Z oblicza sądząc, był to człowiek w wieku; chyba, że jakaś troska wyorała głębokie bruzdy na twarzy i tak rysy jego zmieniła. Obojętnie przysłuchiwał się słowom Bernarda. Ale skoro reformator sam wstąpił na kazalnicę – więcej zbiegiem okoliczności niż chęcią nauczania powodowany – słuchał go rycerz z natężoną uwagą, tupiąc gwałtownie nogą, gdy oklaski tłumu nie pozwalały mu dosłyszeć wszystkich wyrazów mówcy.

Kilka kroków za rycerzem siedziała niewiasta, która żywo przypominała powieści o zaczarowanych księżniczkach. W białej była sukni, niebieską szarfą przepasaną. Jedwabny włos w bogatych kędziarach spływał jej na ramiona.

Białą rączką odgarniała go często z czoła. Piękną była, a łagodnym okiem spoglądała raz na rycerza, to znowu wznosiła je, jakoby ze skargą ku niebu. Jeżeli niewiasty tej, w takim ubraniu, szczególniejsze jakie nie sprowadziły tu okoliczności, to rzeczywiście prawda być musi, iż w lasach przebywają boginki i takie diabluki, o jakich reformator właśnie pisał.

Luter piorunował w tej chwili w sposób sobie właściwy przeciw zwolennikom Papieża, których porównywał z rozmaitymi gatunkami diabłów, a Papieża przedstawiał jako największego diabła – antychrysta. Ostatnie zwłaszcza słowa krótkiego ale namaszczonego kazania przyjęli chłopci z oznakami wielkiego zadowolenia.

– Nie ustawajcie, bracia! – wołał – aż nie runie cały rzymski Babilon. Zrzućcie diabelskich biskupów ze stolic, strąćcie panów z pysznych siedzib, wyrzućcie małych i wielkich tyranów z zamków i pałaców, które pochłaniają chrześcijańską wolność! – Zrzućcie ich! – precz z nimi! precz z wszystkimi, którzy sprzeciwiają się słowu Bożemu i nie chcą go przyjąć! Bóg łaską zapłaci – kończył uroczystym tonem – wszystkim, którzy mienie i życie poświęcą, aby znieść straszną niedolę a szerzyć czystą Ewangelię (2).

Nieskończone oklaski grzmiały, gdy Luter schodził ze skały. Żaden pewnie kaznodzieja nie zyskał tyle pochwał, ile ich słyszał reformator. Wszyscy unosili się nad jego słowami, wyjąwszy rycerza z jaskini, którego oczy zdawały się śmierć i zgubę nań ciskać. Chłopom nie było więcej potrzeba zachęty, aby na krwawej drodze postępowali dalej. Oczywiście, iż nie przeczuwali, że ten sam Luter, gdy chłopci zostaną zwyciężeni, będzie wzywał ksiąząt, aby chłopów zabijać jak psy wściekłe.

Kilku zbiegłych mnichów zaprowadziło Lutra na wywyższone nieco i wolniejsze miejsce, gdzie go suto częstowano potrawami i napojami, zrabowanymi z kuchni i sklepów klasztornych. Dowcipy i przycinki Lutra umilały skromną ucztę. Najbardziej podobali sobie w nich dowódcy małych oddziałów, których wyborny humor Augustianina do tego stopnia rozweselił, że przysięgali, iż weselszego *popa* nigdy w życiu nie widzieli. Luter daremnie dowiadywał się, jaki był właściwie cel najbliższej wyprawy, do której widział ich przygotowanych. Niczego więcej nie mógł się dowiedzieć, jak, że nim rok minie, wszystkie klasztory i zakłady kościelne w państwie Niemieckim będą spalone, wszyscy zakonnicy i biskupi nawróceni albo powieszani, i że przed zejściem słońca jeszcze jednego klasztoru ubędzie na ziemi.

Nagle rozległy się z niewielkiej odległości pomieszane głosy i słychać było tony religijnej pieśni. Rozweseleni towarzysze uczyli ciekawie wyczekiwali, co to będzie i wnet miła niespodzianka wielką sprawiła im radość. Aby zrozumieć następne wystąpienie chłopów, potrzeba sobie przypomnieć, że Luter nie posiadał się z radości, jeżeli widział obrzędy kościelne wyszydzane. Sam wymyślił wiele obrazów, które w śmieszność obracały obrzędy Kościoła katolickiego, bo czuł, że obrzędy wielce wpływają na lud. Wiedział, że lud od dzieciństwa wielką okazuje cześć dla obrzędów, i dlatego w śmieszność je obracał, aby ludowi wykazać ich nicość, a przez to prędzej od prawdziwej wiary odprowadzić. Brat Bernard domyślił się, czym Lutra najlepiej zabawi, urządził więc śmieszny procesję, do której potrzebnych przedmiotów dostarczyły zrabowane kościoły.

Właśnie spoza gęstych krzaków pokazał się krzyż zrobiony z dzidy i kawała poprzecznego drzewa. Bo choć burzyciele bałwochwalstwa rzymskiego wszystko zabierali z klasztorów, krzyża nie mogli znaleźć w obozie, gdyż krzyże, jako rzecz więcej obrażającą uczucie reformatorów, natychmiast palono. Luter, na widok niosącego krzyż, głośnym wybuchnął śmiechem. I było się z czego śmiać. Zaczny krucyfer bowiem pęcherzyną obwiązał głowę, aby naśladować wygolone głowy zakonników. Przywdział habit obszerny, w tyle pełno w kapiszon nakładł przedmiotów do jedzenia, aby wyśmiać zwyczaj zakonników żebrzących, których Luter znieść nie mógł, i raczej kamienować ich kazał sześciofuntowymi kamieniami, niż jednym serkiem obdarzyć. Garb, który miał z natury, jeszcze powiększył, tak, że podobny był do beczki z przyprawioną głową. Policzki wydymał ciągle, a oddychając ciężko, poruszał włosy, rosnące na nosie czerwonym. Zaraz po nim szedł osioł w zakonnym ubraniu, a na nim człowiek ubrany po kapłańsku, w ornacie przywdzianym dla większej uciechy, przewrotnie. W lewej ręce trzymał naczynie z olejem, którym namazywał uszy osła, a mruczając, naśladował modlitwę i zegnał głowę osła. Reformator cieszył się z tego bardzo, bo widział jaki skutek miały klątwy jego, rzucane na sakrament Bierzmowania (3). Widok ten nawet uczonego Filipa Melanchtona, bo on to był towarzyszem Lutra, rozśmieszył.

Dalej następował cały szereg podobnych obrazów, z których jeden aż do łez rozśmieszył Lutra. Na wielkim wieprzu, którego głos mieszał się z głosem śpiewaków, siedział człowiek, przedstawiający osobę Papieża. Ubiór opata go stroił, w ręku miał coś, czego nie będziemy opisywać, bo czytelnik, który zna, jak Luter Papieża malował, domyśli się, co to było (4). Do głowy przyprawił sobie ogromne ośle uszy, na czoło rogi koźle, wyobrażające rogi diabła, a ręką

poruszał, jak gdyby błogosławieństwa udzielał. Jednym słowem całość przedstawiała obraz, jaki wylągl się w wyobraźni Lutra, aby duchowną władzę Papieża podać u ludu w pogardę i pośmiewisko.

Przeszła wreszcie procesja z krzykiem i hałasem, a Luter, obcierając pot z czoła, zawołał z zadowoleniem:

– To był widok dumnej władzy diabła, którą przez długi czas ogłupiał chrześcijaństwo. Niedługo, a będzie inaczej, choćby też wszystkie klasztory runęły i antychryst do piekła uciekać musiał razem ze słuzalcami babilońskiej nierządniczy: biskupami i księżmi.

Przy tych słowach ogień tryskał z ócz Lutra, ale wnet uspokoił się, gdy spojrział na pełen kielich Bernarda.

– Szkoda – odezwał się Bernard – że naszego dowódcę znowu coś trapi. Piłby z wami lepiej, niż ja. Dziś na włos podobny do Saula: oszczep przy nim, usta zawarte, oczy w ziemię wlepione, broda rozczochrana, a oblicze jak z żelaza wykute! Dawida potrzeba, aby zagrał na harfie!...

– Dziwny człowiek! Czy często miewa takie napady? – pytał Luter z czułością, przybierając minę lekarza, który dopytuje się o stan chorego.

– Bardzo często, w czasie pokoju prawie zawsze – odpowiedział Bernard. Ale gdy przyjdzie do zdobywania zamków, gdy śmierci może zaglądać w oczy, nie masz weselszego człowieka nad naszego dowódcę.

– Jeżeli tak, to niesłusznie porównywasz go z Saulem. Dawidowi on raczej podobien – mówił Luter. Gdy chodziło o pobicie Kanaanitów albo sług Baala, rzeński był i wesoły, a gdy w domu siedział, grzechy sobie przypominał, pościł, śpiewał psalmy, martwił się, i widocznie szał go napadał.

– Czy i wtedy już żyli Papieża uczniowie, kiedy Dawid pościł i pokutował? – przerwał Grimmeisen, jeden z mniejszych dowódców rokoszan.

– Zapominasz niezawodnie – odparł uczony Doktor – że Belzebub starszy jest od Adama. Cóż dziwnego, że Dawidowi diabeł postu i pokuty wjechał w ciało, i że całe wojsko żydowskich kapłanów nie potrafiło go stamtąd wypędzić!

– Z tych diabłów żaden nie opętał dowódcy naszego – mówił śmiało Grimmeisen – bo zjada i pije za trzech, a czwartego by pokonał. Z pewnością nie ma w nim diabła postu!

A że miał Doktora za bardzo uczonego we wszystkim, zapytał dalej:

– Jeżeli diabeł postu nie opętał dowódcy, jakież tedy duch w nim siedzi? Jakież są rodzaje diabłów?

Luter z zadowoleniem przyjął takie pytanie, bo wprowadziło go ono na przedmiot, o którym z własnego doświadczenia bardzo wiele miał wiadomości. Odezwał się tedy:

– Zostawmy w pokoju piekielne duchy, mój przyjacielu. Strzeż się przecież małych i wielkich diabłów, którzy przez papieżstwo chrześcijan obalamują, a tymi są: diabły pielgrzymek, odpustów, mszy, klasztorów, bractw, świętych, kacerzy, Papieży i klątw kościelnych (5).

Nazwy te wymawiał Luter z taką biegłością, że Grimmeisen z otwartymi ustami patrzył na Doktora, mającego tak wielką znajomość złych duchów, które i jemu dawały się nieraz we znaki, nabawiając go w niektórych dniach straszną trwogą i bojaźnią. Przyszedłszy ze zdziwienia trochę do siebie, mówił znowu:

– O mszalnym diable wiedziałem, dlatego tak gorliwie zabierałem kielichy, pateny, puszki, monstrancje, szaty kapłańskie, i mordowałem księży. O diable świętych jeszcze nic Bernard nam nie opowiadał.

– To właśnie najgorszy rodzaj diabłów – zapewniał Luter – ci właśnie najwięcej dusz zjednali antychrystowi w Rzymie, gotując im doczesne katusze wieczne (6). Ale wy nie jesteście sługami diabła Papieża, wy jesteście wolnymi dziećmi Boga, wolnymi przez czystą Ewangelię, którą ja światu objawiłem. Chrystus jest Panem naszym, w nim się chlubimy. On uwolnił nas z więzów zakonu, jeno zatwardziały słuźalców zostawił w mocy szatańskiej. Śmiejcie się z ich uczynków, przez które usprawiedliwić się chcą; niech w piekle przepadają wszyscy pyszni bałwochwalcy, razem z dobrymi uczynkami. Was sama wiara zbawi. Odzierajcie, mordujcie, zrywajcie święte węzły małżeństwa, życie wedle upodobania i skłonności w nowej Ewangelii, bo przez to staniecie się podobnymi Chrystusowi, który wedle wyrzeczeń proroków poczytan był za największego złoczyńcę, mordercę, świętokradcę, bluźniercę (7).

Grimmeisen w zamyśleniu spuścił oczy ku ziemi, miotany dręczącymi wątpliwościami.

Po chwili odezwał się znowu:

– Ewangelia wasza dobra, bo na wszystko zezwala... ale – zamilkł i ramionami wzruszył.

– Jakie ale? – pytał Luter ciekawie.

– Mnie się zdaje, że nauka wasza, która bardzo przypada nam do gustu, w końcu przecież trochę złego sprowadzi. Gdybyśmy to mieli zapewnienie, że Ewangelia wasza jest niesfałszowaną, że jest prawdziwym słowem Bożym! Papież dosyć długo nas torturował – a ja życia nie dałbym za to, czy Ewangelia wasza jest zupełnie nieomylna!

Podobne wątpliwości i życzenia było można wyczytać z oblicza i innych, obok stojących.

– Tego diabła wątpliwości wnet z was wypędzę – mówił Luter śmiało. Piętnaście set lat wierzyło chrześcijaństwo Papieżowi, poddawało się jego tyranii, bo on, kłamca, twierdził, że nieomylny jest w rzeczach wiary i obyczajów. Piętnaście set lat biedni chrześcijanie pościli, umartwiali ciało, biegli do klasztorów, bałwochwalstwu się oddawali, bo rzymski antychryst je wymyślił. Kiedy teraz zdejmuję chrześcijaństwu, ślepemu dotąd, jarzmo rzymskie, gdy utrapionych uwalniam od tyranii Papieża, czyż nie dopełniam uczynku miłosiernego? Któż jest nieomylny? Czy ten, który dręczy ludzi postem, umartwieniem ciała, biczowaniem, czy też ten, który naucza, że sama wiara zbawia? Jeśli Papież jest nieomylnym, ja stokroć więcej jestem nieomylnym; bo ja nie dręcę człowieka, ja go uwalniam od dobrych uczynków. Kto to jest Papież? To diabła pomocnik, morderca biednych dusz! Będzicież mu wierzyć; pozwolicież mu męczyć się? – wolna droga! Atoli jeżeli pragniecie się uwolnić od cuchnącej nauki Rzymu kłamliwego, mojej słuchajcie nauki, w niej nie masz słówka kłamliwego. Moje słowa Bożymi są słowami. Ufajcie mojej nauce, bo ona Boska! Jeżeli ślepy świat mógł wiele set lat wierzyć rzymskiemu antychrystowi, – ku doczesnemu i wiecznemu zatraceniu, – wierzcież mnie teraz, który jestem wybranym naczyniem Bożym, wierzcież mi ku wiecznemu waszemu szczęściu i weselu!...

Luter coraz więcej się zapalał w wypełnianiu powołania swego, chcąc przekonać chłopów o prawdziwości i wolności nowej Ewangelii.

Z zadowoleniem patrzył, jaki skutek wywierała na buntownikach mowa jego, którym wiele zależało na tym, aby mordem i drapiestwem podobnymi stać się mogli Chrystusowi, bo już nieraz zboczyli ręce krwią papistów i korzystali z wolności głoszonej przez Lutera Ewangelii, choć sumienie często z nią zgodzić się nie chciało.

– Dosyć nauki – kończył wreszcie Luter – pójdźmy teraz do męznego dowódcy. Ciekawym poznać dzielnego bojownika Chrystusowego.

– Może byśmy dalej jechali? – pytał Melanchton, w którego twarzy dziwny malował się niepokój, wzmagający się, im więcej zbliżali się do naczelnika chłopów.

– I cóż tam? – odparł niechętnie Doktor, który, wypiwszy znaczną ilość wina, wcale nie miał ochoty w samotną puszczać się podróż. Nic nas nie nagli, Filipie! Piękna Kasia, jak nazwałeś moją narzeczoną, może zaczekać na swego Marcina w Arnstein. Nie trzeba nareszcie kobiet. Lepiej, że żona na męża zaczeka, jak że mąż ma czekać na żonę. A zresztą dosyć natłukłem kości na przebrzydłym szkapsku, nie spieszo mi więc wcale!...

Melanchton wiedząc, że uwagi nie zdałyby się na nic, szedł w milczeniu z innymi, postępując tuż za Bernardem, prowadzącym ich do namiotu dowódcy.

Przypisy:

(1) Chłopi nosili wówczas trzewiki wysoko sznurowane "Bundschuh". Po raz pierwszy z nienawiści dla panów, którzy inaczej ubierali się, wzięli chłopi trzewiki na sztandar w Untergruenbach, biskupstwie Spirskim, 1502. (*Przyp. tłum.*).

(2) Wyd. Witt. II, cz. 7, 314 b, i 316 a XII. Str. 223. I, 51. Exeg. do pror. Habak. p. 339, 347, 352-356. Powyższe kazanie dosłownie znaleźć można w zacytowanych dziełach. Całego niepodobna tu przytoczyć. To wszakże wystarczy dla czytelnika do poznania Marcina Lutra i jego zwolenników. Każdy przyzna, że podobne zasady, wygłaszane przez reformatorów protestanckich, nie są zgodne z nauką Chrystusa Pana.

(3) Wyd. Witt. cz. dr. 6, f. 169 b.

(4) Eisl. wyd. Str. 361 b.

(5) *De concil.* Wyd. Witt. cz. II, 7, 504 b.

(6) *De concil.* Wyd. Witt. cz. II, 7, 240.

(7) IV. Jen. in cap. 3 ad Gal., p. 91.



Naczelny wódz

~~~~~

"Uczą fałszu, zdrady, składnie,  
Z własnej głowy co wypadnie;  
Oj! nie szukaj w Boskiem słowie.  
Co ci Papież zradnie powie".

*Pieśń Lutra.*

– Czy wasz naczelnik mieszka, jak sowa, tam na tej skale? – pytał Luter niechętnie, zmęczony aż do potu długą drogą. – Nie mogę nigdzie dopatrzeć namiotu ani mieszkania ludzkiego. Same skały, ciemne jaskinie, istne siedliska dzikich zwierząt.

– Zaledwie dwadzieścia kroków do celu – odpowiedział Bernard, wskazując na wielką jaskinię w skale.

– Co? Ta otchłań jest mieszkaniem waszego dowódcy? Teraz widoczna, że diabeł w nim mieszka, i do tej jaskini go zapędził! Tak diabeł zwykł czynić, o czym wyraźnie Pismo święte wspomina. Ależ zobaczymy, co nasza władza i sztuka działają nad szatanami.

– Najmniejszej nie ulega wątpliwości, że wypędzicie diabła – mówił Bernard po cichu. – Atoli nie dajcie poznać szatanowi, że wasza mądrość go wysledziła, bo inaczej piekielną wybuchnie złością, i o te skały głowy nam roztrzaska. A wtedy szatan wiecznie panować będzie przez papieństwo, bo bodaj zjawi się drugi Luter, który złamać będzie zdolen jego potęgę.

Reformator skinął potakująco, a przebiegły Bernard poznał od razu, ku wielkiemu zadowoleniu, że Doktor, na pozór nieustraszony, począł się lękać. Z umysłu więc straszył Lutra, aby nie drażnił dowódcy, którego lękał się jak ognia.

Milcząc, zbliżali się do jaskini, której wielkość i piękność dopiero z bliska wpadały w oczy. Skaliste słupy dwoma rzędami podtrzymywały wspaniałe sklepienie. Po obu stronach mniejsze było widać jaskinie, które rozlicznych komnat miały podobieństwo. W środku samym obrał dowódca mieszkanie. Jeżeli rzeczywiście, jak Luter sądził, szatan przyprowadził go w to miejsce, to dziwnie zgadzał się wybór złego ducha z usposobieniem człowieka, lubującego się w cudach natury. Na widok tego miejsca mimo woli przychodziły na myśl

podziemne pałace, mieszkania duchów, o jakich prawią ludowe podania. I na ozdobach nie zbywało. Człowiek, choćby najmniejszą był obdarzony wyobraźnią, dopatrzeć się mógł z łatwością na bocznych ścianach dziwnych postaci, wyobrażających smoki i potwory, wykute z kamienia. Tu i owdzie w kamiennych filarach były naturalne lub ręką ludzką poczynione wyżłobienia, które jakoby kobiercem z mchu były ozdobione. W jednym z nich stał szyszak, obok mała tarcza, pod nimi pancierz i inne przybory rycerskiego stroju. Właściciel ich siedział na kamiennej ławie w kącie jaskini, jak gdyby lękał się światła dziennego. Silny to był mężczyzna, smukły, o szerokiej piersi a długiej szyi. Suknie na nim ze skóry nie w najlepszym były stanie, wytarte twardym pancierzem. Złoty, bogaty włos okrywał mu głowę. Snadź nie bardzo troszczył się o piękne kędziory, bo w nieładzie spływały na czoło i ramiona. Broda długa, rozczochrana, spadała aż na piersi. W twarzy widać było wiele niepokoju i smutku. Z niebieskich oczu skry zdawały się sypać, a cała postać nakazywała szacunek, pobudzała do posłuszeństwa i pewnej trwogi. Właśnie na rękojeści oparł skronie i dumiał.

Był to Hilchen Rotenek, niegdyś towarzysz Sikinga, obecnie naczelnym wódz chłopów. Z szlachetnych pobudek przyłączył się młodzian ten do powstania, które w r. 1522 taką trwogą napełniło książąt panujących. Żywiąc chował pamięć na wolność przodków, którą wysoka szlachta ukrócała, i dlatego śmiertelną poprzysiągł im zemstę. Gdy szlachta przemocą pokonała walczących za wolność, żył Hilchen wygnany w ukryciu aż do czasu wojen chłopskich, w których wziął udział nie z przekonania, ale party zemstą ku wielkim panom, aby ich pokonać i wydrzeć z ich przemocy drobniejszą szlachtę.

Spostrzegł on natychmiast zbliżających się. Rzucił okiem na reformatora, którego znał zapewne bo przez zęby wyszeptał:

– A tego co tu przyniosło?

Nie powstał jednak na powitanie męża, wstrząsającego całymi Niemcami, rozpoczynającego dzieło, brzemiennie w okropne skutki. Dopuścił Lutera na kilka kroków przed siebie, i wtedy dopiero podniósł nieco głowy. Doktor w milczeniu stał przed nim i patrzył nań, jak się patrzeć zwykło na dawnego znajomego, którego nie można sobie od razu przypomnieć.

– Nie myślę się przecież, – zaczął Luter – wyście Rotenek, kolega Sikinga! Wszakżeż to wy byliście w Wittenberdze u mnie z orędziem, że szlachta powstaje!

– Byłem w Wittenberdze – odpowiedział Hilchen obojętnie.

– Prawda toś ty ów mężny młodzieniec z Wormacji! – zawołał Luter z radością i krok się przybliżył – wielką mi wtedy uczyniłeś przysługę. Patrz, Filipie: ten młodzieniec bardzo się zasłużył około czystej Ewangelii, bo on to właśnie w samą porę przyniósł mi wiadomość i pociechę do Wormacji od przyjaciół moich, którzy niedaleko obozowali, przez co dodał mi odwagi, iżem nie uląkł się gróźb drapieżnych książąt. Bo choćby też wszystkie dachówki na dachach Wormacji były się w diabłów pozamieniały, Sikingczycy byliby mnie z ich szpon wydarli.

Naczelny wódz bynajmniej nie okazywał radości, jaką się okazuje na widok dawno niewidzianego znajomego. Siedział nieruchomy przed reformatorem, który wielce się dziwił nad ponurym usposobieniem dawnego sprzymierzeńca, nad obojętnością i zimnem nawet, z jakimi go przyjmował. Diabłą to być mienił sprawką; że przecież przypomniał sobie radę Bernarda, aby nie drażnił dowódcy, pochwałami chciał go lepiej usposobić.

– Upadek Sikinga – mówił Luter – nabawił mnie wiele niepokoju; aleć obejdzie się bez jego prawicy w torowaniu drogi nowej Ewangelii. Twoje męstwo i siła same wystarczą, aby napędzić strachu książętom i popom.

Uśmiechnął się dowódca na tę przesadzoną pochwałę i rzekł z ironią:

– Naturalnie, powstanie chłopów zupełnie wystarczy, aby spełniło się, czego wy sobie życzycie, Doktorze! Gdyby wszystkie zastępy chłopów z całego państwa stały pod moimi rozkazami, wnet upadłoby panowanie biskupów i książąt – Papież by runął!

Po tych słowach podał Lutrowi rękę, którą tenże nie bez obawy przyjął, patrząc na męża olbrzymiego wzrostu.

– Zapewne dosłyszałeś kilka słów mego kazania, – odezwał się Luter cokolwiek nieśmiało.

– To nie, – odparł Hilchen ze złośliwym uśmiechem – ale gdy słyszę, że Doktor Marcin będzie miał kazanie, nie wiem, co łożę, że odgadnę treść jego.

– Czy rzeczywiście tak jest? – zawołał Luter niepomału zdziwiony, że Hilchen w tak bliskich z czartem zostaje stosunkach, iż ten mu i rzeczy przyszłe odgadywać pozwala. – Być może, mój panie! Przyjaciel twój wścibia nos w moje książki, listy, kazania, sny, niechże sobie zajrzy i w... wiadoma rzecz, że lubuje sobie w błocie...

Tu pociągnął go Bernard za suknię, co Luter rozumiał i nie rozwodził się więcej o diable, aby nie obrazić jego przyjaciela. Dowódca nie rozumiał, że Luter diabła nazwał jego przyjacielem, i nie słuchając już słów ostatnich, w zwykły sobie, ironiczny przemówił sposób:

– Do tego nie potrzeba wielkiego węchu, Doktorze! Krótka znajomość z wami zupełnie wystarcza. Najpierw napadacie na zakonników i zakonnice, potem na Papieża, wykrzykujecie na babilońską nierządnicę, cesarza, biskupów, piorunujecie na rzymską Sodomę, a wreszcie wszystko polecacie diabłu! Jeśli to nie główna treść waszych kazań, niech mnie diabli wezmą!

Rozśmiał się przy tym Rotenek tak głośno, że śmiech w całej rozległ się jaskini.

Luter niezdecydowany, czy gniewać się na niebezpiecznego dowódcę, czy też przemilczeć odpowiedź na wyraźną obrazę, spojrział na Bernarda, który mu ciągle dawał znaki, aby się hamował. Przytłumił więc w sobie gniew, ale nie mógł powstrzymać się od kilku przynajmniej słów zwyczajnych w jego ustach:

– Największych nieprzyjaciół Ewangelii wyliczyłeś, mój panie, – niech gniew Boży ich dosięgnie i wszystkich, którzy bronią ich sprawy.

– Niech Pan pobłogosławi waszemu życzeniu, – mówił Rotenek – obyśmy tylko byli onym wybranym naczyniem, przez które objawi się gniew Boży; bo ja nie podzielam waszego zdania, uczony Doktorze, jakoby dobra księży nie przynosiły szczęścia i nie zbogacały tego, który się nimi chce wzbogacić. Przy tym spojrział z ukosa w głąb jaskini, gdzie stały rozmaite skrzynie i pudła.

Reformator rozumiał, co to znaczy. Skorzystał ze sposobności, wyzyskując słabość przeciwnika, aby się pomścić.

– Niestety – mówił ze znaczącym uśmiechem – niektórzy zwolennicy czystej Ewangelii bronią sprawy Bożej więcej dla własnego zysku, niż z świętej gorliwości!...

Bernard za późno dał znak Lutrowi, aby był powściągliwszym. Na czole dowódcy już poczęły zbierać się chmury.

– Strasznieś się omylił, Doktorze – odezwał się Rotenek gniewliwie. – Chociaż Ewangelia twoja pozwala mi broczyć ręce we krwi nieprzyjaciół twoich, którzy przypadkiem i moimi są nieprzyjaciółmi, to przecież nie zrobisz ze mnie Judasza, i nie będę miecza li dla błyszczącego złota dobywał. Podle sądzisz, Doktorze! – a przeszedłszy się kilka kroków po jaskini, dodał jeszcze:

Pełnymi usty sławisz swą odwagę i świętą gorliwość – przekonamy się prędko, czy je masz. Jeszcze dziś będziesz sądził najzaciętszych nieprzyjaciół twej Ewangelii. Rozważ dobrze! Bo jeśli wyrok twój nie będzie zgodny z twymi kazaniem, klnę się na św. Wiktora! nie wyjdiesz bezkarnie z obozu!

Brat Bernard zbladł na te słowa, bo znał gwałtowność Rotenka i wiedział, że żartować nie lubi. Naczelnny wódz odwołał Grimmeisena na stronę i tajemnie mu dawał polecenia. Grimmeisen spieszenie się oddalił. Hilchen tymczasem i innym dowódcom kazał obejść strażę, reformatora zaś i Melanchtona zaprosił do stołu, obficie zastawionego, bo prawo gościnności świętym dlań było, i za największą poczytałby sobie hańbę, gdyby mu ubliżył.

Podczas gdy goście zajadali, gromadka zbrojnych wchodziła na górę. Pośród siebie prowadzili jeńca z zawiązanymi rękoma, zmuszając go dokuczliwym biciem do pośpiechu. Jeniec był już w wieku. Poczciwość biła z ócz jego, a w twarzy szeroko rozlały się smutek i boleść. Przy boku wisiała pochwa, ale miecza, jaki służy wielkich panów zwykli byli nosić, już nie było. Głęboka rana, widoczna na ręku, dowodziła, że broni swej dobrze używał. Rotenek rozjaśnił czoło na widok jeńca, jak rozjaśnia się smutne niebo, gdy słońca promienie przebijają śnieżne chmury.

– To sługa Wolfganga – zawołał po chwili – a gdzie schwytaście go chłopaki?

– W górach – brzmiała odpowiedź.

– I nie znaleźliście śladu po starym rycerzu i pięknej Gizeli? – badał naczelnny wódz z pewnym wzruszeniem i dziwną ciekawością.

– Żadnego, panie! Ale sługa będzie z pewnością wiedział, gdzie pan jego się chowa.

Zachmurzył się dowódca i długie rzucił spojrzenie na jeńca, na krzyż zakładając ręce na piersiach.

– Just, spojrzij mi w oczy! – począł głosem, któryby wrażliwe umysły niezawodnie niemałej nabawił trwogi. Czy mnie nie poznajesz?

Just skinął na znak, że go poznał, a Rotenek mówił dalej:

– Tedyć wiesz jeszcze z wojny sikingskiej, że Hilchen nie lubi długo się bawić. I my nie będziemy tracić wiele słów: albo powiesz, gdzie ukrywa się Wolfgang, albo w dziesięciu minutach zawiśniesz tam, na tym dębie!

– O wyświadczyć mi to dobrodziejstwo, a ostatnim tchem, który mi pozostanie przed powieszeniem, dziękować wam będę, nie kłąć – odrzekł Just.

– Bardzo ci spieszno na drugi świat? – mówił Rotenek zdziwiony. – Rozerznąć mu powrozy!

I spadły więzy z rąk sługi.

– Czemuż tak przesyciłeś się życiem? – pytał dalej wódz.

– Bo po śmierci pana nie mam ochoty żyć dłużej – odpowiedział Just. – Uciekając, spadł ze skały!...

– A Gizela? gdzie jest Gizela? mów! – wołał Hilchen takim głosem, że aż chłopci się zastanowili, co to znaczy.

– Gizela? – o biedne dziecko! skarżył się stary sługa, ocierając łzy z oczu, i zamilkł.

– Czy słyszysz, człowieku? mów, gdzie Gizela!? – krzyczał Hilchen coraz gwałtowniej, chwytając Justa za ramię.

– Gdzie jest? O! gdyby była razem z ojcem! – jęczał sługa.

– Czy chcesz mnie, łotrze, do szaleństwa doprowadzić? Natychmiast mów, gdzie jest szlachetna dziewczyna?

– Stary Litzerhard – wyjąkał wreszcie sługa – który polował właśnie w górach, zabrał ją ze sobą. Przypadek w dobrą chwilę sprowadził go na miejsce nieszczęścia, bo gdy widziałem, że memu panu już tylko chwil kilka do życia zostaje, nakłaniałem ją, aby, oszczędzając sobie bóleści, poszła z onym panem, obiecując, że będę tak długo strzegł zranionego pana, dopóki z zamku pomoc nie nadejdzie. Zaledwo się oddaliła, Wolfgang, najlepszy na ziemi rycerz, żyć przestał.

Hilchen nie dosłuchał już ostatnich słów Justa, bo zatopiony w myślach, wielkimi krokami przechadzał się, raz po raz z cicha sam do siebie tylko mówił: Więc w Litzerhard! Znam starego – poczciwa dusza! Zażądam jej od niego. Jeśli mi odmówi, biada jemu i domowi jego!

– Nie lękaj się, Juście! – mówił potem, zwróciwszy się do sługi. – Gizela w dobrym ręku. Roztropnie sobie postąpiłeś, oszczędzając Gizeli bóleści nad śmiercią ojca, za to masz tutaj – i to mówiąc, podał mu kieszonkę pełną złotem, a wydawszy rozporządzenie, aby Justowi nikt nie wzbraniał chodzić swobodnie w obrębie obozu i chłopów, ku wielkiej ich radości, udarował pieniędzmi za uchwycenie jeńca.

Luter pilnie na wszystko uważał. Powaga, z jaką wódz występował, gorliwe zajęcie się losem Gizeli, naprowadzały go na słuszny domysł, że o ważną bardzo rzecz chodzi. A przecież każda ważniejsza okoliczność w sprawie *obrońców wolności i Ewangelii* wielkie miała znaczenie, gdyż przebieg wojny chłopskiej ściśle był złączony z postępowaniem jego Ewangelii. Jeżeli jeszcze dodamy, że nieprzyjaciele Lutra wszelkie spustoszenie i zbrodnie, dokonywane przez powstańców, wprost Lutrowi przypisywali, nie będziemy się dziwić, dlaczego każde zdarzenie w obozie mocno go zajmowało.

– Któż jest Gizela, o którą tak troskliwie się wypytujecie? – zagadnął Luter, gdy dowódca wrócił do stołu i w zamyśleniu potrawy brał, to znowu je odkładał. Podniósł się na to pytanie dowódca, i jakoby z twardego snu obudzony, patrzył w twarz Lutra. Uczony Doktor kłął w ducha diabła, który nawet przy uczcie niepokoił wodza i nie pozwalał mu zrozumieć pytania.

– Któż jest Gizela? – pytał natarczywiej. – Mąż, któremu Bóg dał miecz sprawiedliwości w rękę, nie powinien by się tyle zajmować kobietami; wszystkie one z żebra Adamowego; oddawać im się to próżna strata czasu.

Ale jakież było zdziwienie Lutra, gdy wódz, o którym sądził, że w życiu obozowym zapomniał grzeczności dla kobiet, okropnie się oburzył na takie poniżenie płci pięknej. Rzucił na Doktora kilka przenikających na wskroś spojrzeń, a drgające usta wskazywały, że cierpka odpowiedź jest już w pogotowiu. Atoli pohamował się prędko i spokojnie powiedział:

– Gdybyś nie był mężem świętym, którym nie powoduje uczucie zwykłych ludzi, klnę się na św. Wiktora, że nie uszłoby ci bezkarnie lekceważenie, z jakim odezwał się o najpiękniejszej z kobiet.

Luter niezawodnie miał ochotę wielką przekonać wodza, że zerwawszy ze znienawidzonym papieżem, nie powinien mieć więcej takiej czci dla ślubów czystości, które człowieka podnieść mają nad niskie uczucia zwykłych dzieci Adamowych, i przez zaprzanie się dzieci cielesnych prowadzić do czystszej, duchowego życia. Byłby z pewnością ze zwykłą sobie siłą piorunował przeciw ślubom klasztorным i rzymskiej tyranii, która takie nakłada więzy, ale dziwna zmiana, jaka zaszła w Rotenku, tak go zastanowiła, że nie ośmielił się odezwać więcej z podobnymi uwagami. Imię Gizeli było jakoby czarodziejskim słowem, które surowego i poważnego rycerza przemieniło od razu. Zuchwałość ustąpiła miejsca melancholii. Ruchy jego stawały się powolniejsze, łagodniał w mowie i darmo było szukać już onego sarkastycznego uśmiechu, z którym niedawno przemawiał. Po obliczu jego rozlała się powaga i zamyślenie.

– Nie wyrządzaj mi krzywdy, przyjacielu! – mówił Doktor, domyślając się drażliwej strony wodza, i widząc zmianę, jaka w nim zaszła. – Wszelka cześć dla Gizeli, najpiękniejszej, jak mówisz z kobiet. Przecież daruj, gdy ze współczucia dla miłej twej, pytam, co was obojga dzieli?

– Dzieli? – powtórzył rycerski młodzian smutno. Ale zaraz dodał: żadna siła nas nie rozdzieli, bylebyśmy raz tylko byli razem!

– To rzeczywiście dziwna! – odezwał się reformator.

– Doprawdy dziwna! – mówił Rotenek powstając. – Ani mi przez myśl nie przeszło, iżby kobiety miały umieć do tego stopnia opanować serce męskie. Dziwna zaprawdę! Wstrząsnął przy tym głową i począł przechadzać się w zadumie po jaskini.

– Cóż? – szepnął Doktor do Melanchtona. – Mnie się zdaje, że papieżnicy dali temu człowiekowi jakiegoś trunku miłosnego, ażeby sparaliżować jego działanie. Przypatrz mu się: – zwiesza głowę, wzdycha, patrzy na ścianę, krzywi się, a w takim stanie bodaj czy zrobi co dla Ewangelii!

– Radzę wam – odpowiedział Filip trwożliwie – abyście się o jego sprawy nie troszczyli.

– Wstydz się – mówił Luter z gniewem, – zawsze tchórzem podszyty! A gdy Rotenek zbliżył się do nich, pytał go: Czyją córką jest wasza piękna Gizela? Chętnie chciałbym zobaczyć dziecię to wybrane, które musi być cudowne, kiedy was tak zajęło.

Życzenie to szczerze Luter wypowiedział a połączone z pochwałą, sprawiło, że Hilchen zajął dawne miejsce i skłonił się do zaspokojenia ciekawości reformatora.

– Ojciec jej nazywa się Wolfgang z Hoenfels. Zamek jego zniszczyliśmy przed kilku dniami – mówił wódz.

– Tegoż jeszcze trzeba! – zawołał Luter zdziwiony. – Oblubienicę wypędzić z domu, ojca zabić, – hm, takie zaloty bodaj odniosą skutek!

Nagana nie obraziła wodza; owszem, zdawał się słuchać jej z pewnym zadowoleniem, bo z uśmiechem rzekł:



– Wielu uzna mnie może za pozbawionego zmysłów, ale rozważ, Doktorze: są rzeczy, których człowiek zmienić nie może, ani przewidzieć. Choćby odłam skały się był urwał i leciał w przepaść, dla Gizeli byłbym się rzucił, aby go pochwycić, ale zniszczeniu zamku Hoenfels przeszkodzić nie mogłem. Łatwiej powiedzieć słońcu: "stój!" niż powstrzymać rozkiełzanych a zbuntowanych chłopów.

– Słusznie! Ależ chłopom było wskazać inną drogę, Hoenfels ominąć – wtrącił reformator. – Dla pięknej kobiety można też narazić się na małą szkodę. Znam męża, którego wielu wyśmiewało, którego najlepsi przyjaciele odstąpili dlatego, że nie chciał dla innych względów poświęcić kobiety, którą sobie wybrał.

Przy tych słowach spojrzął znacząco na Melanchtona, który z początku bardzo występował przeciw ożenieniu się Lutra.

Młodemu wodzowi miłe było gorące współczucie, jakie Luter okazywał w jego losie, jeszcze więcej cieszyło go zajęcie się Gizelą, dla której nie szczędził nawet nagany rycerzowi. Zwyczajna to rzecz, iż umysły zaniepokojone czują potrzebę zwierzenia się komukolwiek, który okazuje współczucie, dlatego opowiadał Rotenek Lutrowi sprawę serca swego z wszelkimi szczegółami.

– Słuchaj mnie, Doktorze i sądz! Cała ta sprawa dziwna i awanturnicza. Sam nie wiem, skąd się wzięło – i zamilkł, oglądając się na wszystkie strony – dosyć, że ludzie w jednej chwili mogą być zmienieni. Obozowaliśmy kilka mil od Hoenfels, którego mieszkańcy nie przeczuwali zguby. Wedle zwyczaju, zakradłem się z kilku towarzyszami blisko do zamku, aby rozpoznać, gdzie słabiej obwarowany. Kilkaset kroków poza murem, otaczającym zamek, była kaplica, na którą zwykliśmy najbardziej zwracać uwagę. Tu znalazłem skarb, o którego istnieniu nigdy nie marzyłem. Źle, że zastaliśmy kaplicę bardzo ubogą: chcieliśmy się właśnie oddalić, gdy drzwi się nagle otworzyły i weszła niewiasta, do Anioła stróża tej kaplicy podobna. Świeciła majestatem jakoby cesarzowa, a dziewicza czystość dodawała jej białości świeżuchnego śniegu. Smukła jej postać i wspaniała, a tyle w niej uroku, że patrząc na nią, traciłem przytomność. Och! a oczy, które spoczęły na mnie – to dwie gwiazdy! Nie śmiej się ze mnie – mówił, widząc uśmiechającego się Lutra. – Od dziecka umiłowałem oręż, miłość głupstwem nazwałem, nie nęciły mnie zabawy, bo jeno tam, gdzie krew się lała znajdowałem rozkosz. Niezliczone mnóstwo ludzi,

których Ewangelia twoja potępiła, poniosło śmierć z tej ręki; tysiąc razy bez trwogi patrzyłem śmierci w oczy, ale w oczy Gizeli spojrzeć nie mogłem. Gdyby dziewięć chórów anielskich było zstąpiło od tronu Bożego i stanęło na progu kaplicy z ognistymi mieczami, nie byłbym się tak przeraził! Ale Gizela miała inną, tajemniczą dla mnie broń, której nie zdepcesz stałą, ani nie oprze jej się pancerz żelazny. Nie wiem, jak się to stało, ale w okamgnieniu byłem zwyciężony, stałem przed nią pomieszany, a gdy podniosłem oczy, aby na nią spojrzeć, – już jej nie było!

– Wypadek ten bardzo łatwo można sobie wytłumaczyć – mówił Luter. – Piękne kobiety już i innym w głowie przewróciły. Tyś młody i bardzo się pomylił; przecież i na tę omyłkę znajdzie się lekarstwo. Ale czemu nie powstrzymałeś szturm na rodzinny dom Gizeli, i nie postarałeś się o jej rękę?

– Tak być miało. Ale moje pomieszanie nie pozwoliło mi działać szybko i skutecznie, i gdy z góry schodził, bandy już szturm przypuszczały. W pierwszym zaraz ataku runął zamek, a Gizela uszła z ojcem niezawodnie podziemnymi gankami. Odtąd codziennie wysyłałem ludzi, aby zbiegów ścigali, wszystkie drogi i ścieżki poobsadzałem strażami, a przecież znaleźć ich nie mogę.

Opowiadanie wodza przerwał wypadek, który tuż przy jaskini się wydarzył. Just, uwolniony przez wodza, niedaleko odszedł z chłopami. Wrócił do jaskini i ukrył się za odłamek skały. Gdy się przekonał, że nikt go nie widzi, zwrócił się ku stronie, gdzie siedział rycerz i piękna dziewczica. Rycerz spostrzegł go wreszcie i obadwaj poczęli się przez pewien czas porozumiewać znakami. Poczym Just uważnie przysłuchiwał się opowiadaniu Rotenka, a że na imię Gizeli zawsze zwracał oczy ku miejscu, gdzie siedziała dziewczica, nie mogło być wątpliwości, kto ona. Podsluchiwanie a może i kłamstwo Justa nie uszły bezkarnie.

Wysoka, wynędzniała postać, ubrana śmiesznie w strzępy kapłańskiego ubrania schodziła właśnie z góry. Ponure, poważne jej oblicze nie pozwalało śmiać się z niej, bo po bliższym rozpatrzeniu się można było w niej poznać jednego z najzaciętszych fanatyków, których, jak głosili, duch Boży do nieludzkich, barbarzyńskich wiódł czynów. Gdy zbliżał się do jaskini tak, że mógł być dojrzany przez wodza, podnosił głęboko w głowie gdzieś ukryte oczy ku niebu, stawał, wpatrywał się nieporuszony w jeden punkt w powietrzu, gdzie miał widywać Najświętszą Trójcę i otrzymywać od niej objawienia. Jadł i pił bardzo mało, a najgorliwsi z jego zwolenników twierdzili nawet, że Jan Knopf,

prorok Boga, nie potrzebuje pokarmów do życia, bo żyje duchowym chlebem objawień Boskich. Fanatyk ten wywierał ogromny wpływ w wojsku chłopskim, a nawet wódz czci mu nie odmawiał.

Jan Knopf, jakoby ciągle w proroczym natchnieniu, zbliżył się do Justa. Ledwo go zoczył, rzucił się nań z przeraźliwym krzykiem, schwycił go kościstą dłonią za gardło, przy czym w gniewie rzucał wszystkie klątwy, jakie znalazł w Biblii.

– Ty psie papieski! – krzyczał – ty służalcze Baala! a ty tu po co w namiocie Mojżesza? Idź do diabła, Amelekicie, giń z ręki Knopfa, którego opanowało siedmiu duchów, stojących przed Majestatem Bożym!

I niezawodnie byłby Just śmierć znalazł z ręki wściekłego człowieka, gdyby Rotenek nie był się wdał w tę sprawę.

– Powstrzymaj się, przyjacielu! – mówił. – Nie wstydzisz się napadać na bezbronного człowieka, który pod moją pozostaje opieką?

– Co? Pod twoją opieką? Papieża słudzy pod twoją opieką? – powtarzał Jan złośliwie, trzęsąc się cały. – To już tak daleko rzeczy zaszły, że naczelný wódz wojska Boskiego zasłania synów Balaama? Natychmiast uderzę w trąby, zwołam wszystkie syny Izraela, aby sąd uczynili, i tego Chananejczyka ukamienowali, bo napisano jest: "wywiedźcie go z obozu i ukamienujcie!".

– Uspokój się, świętobliwy Janie! uspokój się synu grzmotu! – łagodził Hilchen rozjątrzonego Knopfa, trzymając go za ramię, bo już chciał uciekać. – Człowiek ten dlatego zostaje pod moją opieką, bo mam wielką nadzieję, że go pozyskam dla czystej Ewangelii i wydrę diabłu jego biedną duszę. Przychodzisz wcale nie w porę, bo depczesz nasienie, które na urodzajną padło rolę...

Przemówienie to najlepsze wywarło skutek. Knopf z początku niedowierzająco patrzył na Justa, ale gdy ten nie zaprzeczył słowom wodza, był przekonany, że widzi przed sobą nawróconego do nowej Ewangelii.

– Pan niech błogosławi świętemu twemu dziełu, wodzu! – mówił Knopf z namaszczeniem, uchylając głowy. – Albo nawrócić albo zabić – na tej drodze cały okręg ziemi zamieni się wnet w miasto święte Syjon.

– Zupełnie słusznie, mój Knopfku! A tu – wskazując na Lutra – stoi mąż, który nam podał sposobność nawrócenia całej ziemi i pomordowania wszystkich bałwochwalców. Oddaj mu cześć należną, szepnął do ucha Lutrowi, a nie chciej czasem być mędrszym od niego.

Podczas gdy Knopf zbliżał się do Lutra, który z uśmiechem mu się przypatrywał, odprowadził wódz Justa na bok i rzekł do niego:

– Gdyby nie ja, byłby cię ten szalenciec życia pozbawił, a szkoda by cię była, bo dobrze rąbiesz, w wojnie sikingskiej niejednego Trewirczyka na drugi świat wysłałeś.

– O gdybym to był przeczuł, co mnie dziś spotkało, sam siebie byłbym wysłał na drugi świat! – odpowiedział sługa z boleścią.

– W tym właśnie nicość nasza – zauważył wódz – że zawsze chodzimy z zawiązanymi oczyma. Gdybym przed dwoma laty był wiedział, że ojciec twego pana tak piękną ma wnuczkę, albo twój pan tak uroczą córkę, nie widziałbyś mnie dziś wodzem chłopów.

– Nie? a czemu? – pytał Just, który w ostatnich słowach dopatrzył, jakoby wodzowi obecna godność i stanowisko wcale nie były miłe.

– Nie rozumiesz tego! Ale powiedz mi, pocziwcze, czy twoja piękna pani nie wspominała kiedy w podróży albo raczej w ucieczce o mnie?

– O was? Przecież was nie znała? –

– No, o mężu, który na krótko przed napaścią spotkał ją w kaplicy i mocno przestraszył?

– Zdaje mi się, że wspominała – mówił Just z namysłem, jak gdyby sobie coś przypominał. – Prawda, mówiła z ojcem o was tj. o jakimś groźnym rycerzu, który ją w kaplicy przestraszył.

Wódz ze spuszczoną głową wysłuchał wzmianki nie bardzo pochlebnej i mówił więcej do siebie niż do Justa: – Groźnym mnie nazwała, przestraszyłem ją!...

– I jakżeż mogła inaczej? – mówił przebiegły sługa. – Zburzyliście zamek jej ojców i miałażby was pochwalić? A jednak w jej obliczu, w głosie, którym wam przyganiała, leżało coś, co nie było naganą. Gdyby Gizela was dawniej była znała, pewnie pyszny zamek stałby nienaruszony!

– A skąd taki wniosek?

– Skąd? hm, bo wiem jak bliską stała się Gizela sercu waszemu, czemu zresztą nikt dziwić się nie będzie, kto tylko choć raz spojrział w anielskie oblicze dziewczicy, – mówił sługa, patrząc pilnie w rumieniącą się twarz wodza. – Słyszałem waszą rozmowę... O! gdyby ją Gizela była mogła słyszeć!

– Lisek z ciebie! – odezwał się Hilchen z uśmiechem, który przecież wnet ustąpił miejsca smutkowi i zamyśleniu. – Tym nie czynisz mi przysługi. Gdybyś wymyślił środek, za pomocą którego mógłbym zdobyć serce Gizeli, doczekałbyś się na stare lata czasów, jakich nie miał żaden sługa. Bądź przekonany i przysięgam ci na Boga, że zamiary moje istotnie są rycerskie i szlachetne. Ach! – bo i któżby mógł przy boku tego anioła pozostać złym. Ani czart by tego nie potrafił!

– Chętnie wam służyć będę, Panie, tym bardziej, że osierocone dziecko potrzebuje silnego ramienia ku obronie. Właśnie nasunął mi się plan, któryby z waszą pomocą udać się powinien.

– Mów – słucham cię!

– Szczycę się tym, iż pozyskałem zupełne zaufanie panny – mówił Just powoli, z rozważą – a Bóg mi świadkiem, że godzien jestem tego zaufania. Skoro miną pierwsze tygodnie żałoby, rozpuścimy pogłoskę, że Hilchen Rotenek porzucił krwawą wojnę, i jak dawniej odważnym był zdobywcą klasztorów, tak teraz stał się mężnym ich opiekunem i obrońcą. Wtedy pójdę do niej, powiem jej o waszej miłości, będę słał wasze zalety, wystawię, jak pragniecie gorąco mieć ją za żonę, opiszę waszą czystą rycerską miłość w taki sposób, że chyba nie niewieście by miała serce, gdyby się oprzeć miała. Przede wszystkim jednak starajcie się, abym się bezpiecznie mógł dostać do Litzelhard.

Milcząc, patrzył wódz przed siebie, a Just oczekiwał z trwogą, jak plan jego przyjmie. Plan był dobry, ale dowódca niewiele sobie zeń obiecywał. Bo jakkolwiek namiętną był przejęty miłością do pięknej dziewczicy, której widok taką w nim sprawił przemianę, to jednak nie uszły jego baczności trudności, jakie staną w drodze, gdyby przyszło spełnić najgorętsze życzenia. Lękał się, i słusznie, że Gizela ze wzgardą odrzuci męża krwią splamionego, który wiódł chłopstwo na zgubę rodzinnego domu. Czyż mógł się spodziewać, że Gizela zamieni odrazę, jaką ma dla zbrodniarza, w przychylność i miłość? Ale i to przeczuwał, że gdyby usłuchał rady Justa i porzucił krwawą drogę, po której dotąd chodził, a stał się obrońcą tego, co dotąd prześladował, Gizela przekona się o szczerym jego nawróceniu.

Postanowił tedy pójść za radą starego sługi.

– Spuszczam się na ciebie – mówił do Justa – ale nie daj poznać po sobie, że pomiędzy nami istnieje jakieś porozumienie się, bo inaczej życie nas obudwóch jest zagrożone. Niech chłopci myślą, jak myśleli dotąd, że pouczam cię w nowej religii. Usiądź tam w tej gęstwinie. Po niedługim czasie wskażę ci środki, za pomocą których dostaniesz się bezpiecznie do Litzelhard.

Just skłonił się i odszedł. Wódz wrócił do jaskini, gdzie zastał Lutra i Knopfa żywo rozprawiających. Nie zważając na nich, poszedł w głąb jaskini i wydobył czerwoną, dość szeroką wstęgę, na której napisanych było kilka łacińskich liter. Schowawszy ją w zanadrze, wrócił do stołu, gdzie rozmowa pomiędzy Lutrem a Knopfem stawała się coraz gwałtowniejszą.

Z niechęcią słuchał tej szermierki na słowa, a gdy zmiarkował, że w zapale walki nikt nie zauważy jego nieobecności, wyszedł z jaskini, poleciwszy wprzód, aby gościom nie zbywało na napojach.

Knopf w gorączce zaciętej walki porządnie pociągał z kielicha, dając poznać, że mimo ascetycznego życia umiał dobrze używać darów Bożych, skoro tylko zapomniał swej roli, w której rzekomo tylko duchową karmił się strawą. Reformator coraz więcej się zapalał i niewiele potrzeba było, aby wystąpił przeciw nieprzyjacielowi z najcięższego kalibru bronią. Wszystkie twierdzenia Knopfa odrzucał, jako natchnienia diabelskie, na co ten w pewnym uniesieniu nie żałował gorzkiego odwetu.

– Cóż, Filipie? – zawołał Luter do Melanchtona, patrząc pogardliwie na Knopfa, który właśnie cytarami z Pisma św. dowodził swej wielkiej mądrości – cóż, czy fanatycy i sekciarz nie są największymi błaznami? Zaledwie przeczytali stronicę Pisma św., już puszą się jak indyki, i rzucają miejscami z Biblii, jak gdyby byli pożarli Ducha Świętego ze wszystkim pierzem (1).

– Czy to do mnie się odnosi!?! do mnie? – krzyknął Knopf, ściskając pięść, i pryskając z ust pianą.

– Do ciebie? – pytał Luter, jakoby zdziwiony, widocznie ze strachu przed groźnym fanatykiem. Tobie oddaję, co ci się należy! Tyś tak pełen Ducha Świętego, jak Papież pełen diabłów.

– No tak, to rozumiem! – mówił Knopf uspokojony. – Ramię Boże, które już było wyciągnięte, aby skruszyć bluźniercę Ducha Świętego, nie skruszy już ciebie. Papież pełen diabłów, kłamca, oszukaniec – toś nareszcie świat poznał!

We mnie istotnie mieszka moc z wysokości, abym nieomylnie ogłaszał światu czystą Ewangelię.

– Więc samego siebie masz za nieomylnego? – zapytał zazdrosny Luter.

– Oczywiście! – odrzekł prorok. – Czy możesz zaprzeczyć mej nieomylności? Czy zaprzeczasz, że nie jestem pełen Ducha Świętego? Zaprzeczasz?

Oczy fanatyka już znowu zaiskrzyły się ogniem.

– Ach niech Bóg broni! – odpowiedział Luter, patrząc pełen trwogi na groźną postawę przeciwnika. – Wszystko ci przyznaję: tyś bezwątpienia nieomylny, i nadto tak pełen Ducha Świętego, jak Papież diabłów.

Ironiczny uśmiech Lutra obudził podejrzliwość w Knopfie, więc pytał:

– Powiedz mi, o ile Papież pełen jest diabłów?

– O ile? Czy masz ochotę je wypędzać? To rzeczywiście dla ciebie, bracie, robota: bo Papież tyle ma diabłów, że wychodzą mu ustami, nosem, ba, nawet potem (2). I ty jesteś tak pełen Ducha Świętego od stóp do głów, więcej nie. Stąd też pochodzi twoje zdanie, że nie każdy może rozumieć Pismo św., gdy przecież nie ma w świecie zrozumialszej księgi nad Biblię. Kto naucza, że każdy chrześcijanin nie może rozumieć Pisma św., należy do trzody papieskich osłów, którym służy antychryst rzymski i podaje, co chce: pokrzywy, oset... tylko prawdy im nie daje (3).

To mówiąc, sięgnął Luter po kielich, a Knopf rozważał, czy mu przeciwnik wszystko przyznał, czy nie. Ustąpić w sprawie, do której go Bóg powołał, nie chciał ani na krok, dlatego nie przestał nagabywać Lutra, dopóki by mu nie przyznał zupełnej z sobą równości. A że Luter nie bardzo z tym się kwapił, silniej nań Knopf natarł. Dodać nam wypada, że Knopf należał do klasy owych fanatyków, którzy własne najfałszywsze urojenia mają chwilowo za prawdę i własne pomysły mieniają być natchnieniem Bożym.

Podniósłszy rękę do góry, mówił Knopf uroczyście:

– Duch Boży mi objawia, że ci tylko mogą zrozumieć i wyklądać Pismo św., którzy napełnieni są światłem z wysokości, oświecającym ciemności umysłu ludzkiego i rozpędzającym mgłę krótkowidzących, które zdejmuje zasłonę z ocz, aby widzieli majestat Boży; które zdejmuje z uszów zaporę, by słyszeli tajemniczy głos Jehowy; które zdejmuje więzy z języka jękających się, aby się stali wymownymi i słowy swymi, jako płomieniem, zapalali serca.

Rzeczywiście, iż wszystkie więzy spadły z języka proroka. Bo wygadywał najnierozsądniejsze rzeczy z taką szybkością, że przy zdrowym rozumie żaden z śmiertelników podobnych niedorzeczności wypowiedzieć by nie potrafił. Przy tym latały mu oczy, z ust wydobywała się piana, twarz pałała ogniem, a szyja się nadymała. Luter przypatrywał mu się z uwagą.

Gdy skończył, miał Luter wielką ochotę głośno się rozśmiać na głupstwa, które dopiero co słyszał, ale Knopf wnet odzyskał znowu rozum i spokojnie mówił dalej:

– Poznałeś niezawodnie, Doktorze, że nie ja, ale ktoś inny mówił za mnie, to jest ten, który jest mocen objawić człowiekowi najgłębsze tajemnice Biblii. Nie każdy może tłumaczyć Pismo św. – kończył uroczyście – jeno ten tylko, na którym spoczywa Duch Boży nieomylny, a tym ja jestem.

– Wszystko przyznaję – potakiwał Luter – wyjąwszy nieomylności Knopfa! Ale właśnie z tego wynika, że każdy wierny może wykładać Biblię, bo Duch Święty na każdego z wiernych zstępuje.

Knopf, uśmiechając się złośliwie, jak ptasznik, gdy sidła zakładał – zapytał:

– Czy i ty liczysz się do wiernych?

– Z pozwoleniem Pańskim – tak, odparł Luter.

– Czemuż tedy się dzieje, że nie uznajesz ostatniego Olejem św. namaszczenia Sakramentem, i co tylko pozwoliłeś urągać mu tłuszczu?

– Czemuż się dzieje? – i Luter podniósł lewe brwi. – Czy na to tu przybyłem, aby lada błaznowi zdawać sprawę z tego, co czynię? Gdyby Duch Boży był w tobie, nie bredziłbyś tak bardzo i wiedziałbyś z pewnością, że w Biblii nie masz ani słowa o ostatnim namaszczeniu.

– Nie? A co czytamy w liście Jakuba św.? Nie napisanoż tam wyraźnie, że ostatnie namaszczenie jest Sakramentem? I jeszczeż sądzisz, że każdy może wykładać Pismo św.? Gdyby Duch Boży był w tobie, rozumiałbyś lepiej list Jakuba św.

– List Jakuba zostawiam błaznom tobie podobnym! najedz się jego gryzmołów. Gryzmoły Jakuba tak pochodzą od Ducha Świętego, jak brednie fanatyków i chłopów, i dlatego nie może należeć do Pisma św. (4)

– Co? – nie? któż to powiada? – krzyknął Knopf.



– Ja tak mówię!

– Ty? Ktoś ty? Kto ci dał prawo wyrzucać z Biblii list ten? Kto ci dał prawo fałszowania Biblii?

– Mnie Bóg dał moc do tego – odpowiedział Luter – Bóg, który mnie powołał do wielkiego dzieła Ewangelii, który mnie uzbroił w nieomylną naukę! Kto mnie się sprzeciwia, sprzeciwia się Duchowi Świętemu i policzyć go wypada między fanatyki i sekciarze.

– Łżesz! – ofuknął Knopf. – Jam Boga Ewangelista, a tyś arcykacierz i burzyciel Ewangelii! Jam nieomylny, a tyś w błąd wprowadzony przez cały zastęp duchów kłamstwa, które w tobie przebywają. Bo jakżeż inaczej mógłbyś twierdzić, że każdy błazen może rozumieć Pismo św.? Jeden tylko Pismo rozumieć może – Bóg – i ten, którego na to Bóg postanowił. Tu wskazał na siebie.

– Słuchajcie, słuchajcie! – wołał Luter. – Toć to iście nauka diabła Papieża, który sobie przypisuje, że sam Pismo rozumie! Więc ty, papista, sługa antychrysta, po same uszy siedzący w błocie papiestwa, chcesz mnie pouczać, jak Pismo rozumieć?

– Ty w nim siedzisz – ty – wołał głośno Knopf, zbliżając pięść do przeciwnika. – Czy Chrystus Pan nie zesłał Ducha Świętego na Apostołów? Po cóż go na nich zsyłał, jeżeli każdy może Pismo św. wykladać? Czyż nie powiedział: "Duch prawdy będzie przy was po wszystkie czasy i nauczy was wszelkiej prawdy!". I jeszczeż nie przyznajesz, żeś głuchy bałwan? Zbawiciel zsyła Ducha Świętego na Apostołów i ich następców aż do końca świata, aby ich nauczył wszelkiej prawdy, rozumiesz? Czy pojmujesz też teraz, dlaczego Pan nasz kazał słuchać Kościoła? A ty sam chciałbyś być Kościołem? Sam chciałbyś mieć Ducha Świętego? Wszyscy mają korzyć się przed tobą? Tu jest prawdziwy Ewangelista Boży, tu Duchem Bożym napełniony stoi Jan, który siódme niebo przepatrzył i w duchu stał przed tronem Baranka. Tu jest nieomylny, na którym Bóg zbudował Kościół swój! A tam, – wskazując na Lutera, – siedzi prorok kłamstwa, którego wydalić trzeba ze społeczności i ukamienować!

Po tych słowach wyszedł poważnie z jaskini.

Szał napadł go znowu, zdawało mu się, że Bóg go zawołał, tak, jak Luter wmawiał w siebie i innych, że jest nieomylnym Boga posłańcem.

Reformator, uczciwszy go jeszcze kilku przekleństwami, chciał w kielichu utopić gniew swój. Ale daremnie. Im więcej oddalał się przedmiot gniewu, tym bardziej zapalała się w nim namiętność. Całą gorycz wylał na Melanchtona, który w takich napadach zwykle bardzo dotkliwie czuł gniew mistrza (5).

– Siedzisz niemy jak ryba! – mówił Luter doń zwrócony. – Zawsześ skory do gadaniny, do mędrkowania, a kiedy właśnie potrzeba twego języka – nie ma większego osła nad ciebie!

Melanchton zniósł cierpliwie ten wybryk mistrza i odrzekł łagodnie:

– Po cóż mi było spierać się z szaleńcem? Mogłoby się zdawać, jakobyście, uczony Mistrzu, nie mogli sami go pokonać. Zresztą i głupcy powiedzą czasami prawdę, jakoli i w tym przypadku poruszył Knopf rzecz, która warta zastanowienia.

– Ciekawym, co to będzie: orzech próżny – albo coś gorszego – mówił Luter niby szydrczo, a przecież widoczne było, że rzeczywiście zaniepokoił się słowami Melanchtona, bo pytał niecierpliwie. – No, dalejże! mów! Pewnie wysadzisz się z dziwołaniem, jakiego głowa głupca jeszcze nie zrodziła.

– Pragnę, abyście, uczony Mistrzu, rozstrzygnęli sprawę i wyjaśnili, – zaczął Melanchton. – Wszakżeż Pan Jezus mówił do Apostołów: "Poślę wam Ducha prawdy, który będzie z wami do skończenia świata i nauczy was wszelkiej prawdy". Słowa te tłumaczą zwolennicy Papieża w ten sposób, że Zbawiciel postanowił urząd nauczający, któremu jedynie przysługuje prawo wykładania Pisma św. I w rzeczach wiary nie może urząd ten błądzić, bo wedle zapewnienia Chrystusa Pana Duch Święty czuwa nad nim i uczy wszelkiej prawdy. Wy, uczony Mistrzu, rozumiecie słowa Zbawiciela inaczej; wedle waszej nauki nie postanowił Pan Jezus osobnego urzędu nauczającego, ale każdemu daje ducha swego, aby rozumiał Biblię – w tym trudność! – mówił Melanchton z wolna, trwożliwie, ciągle patrząc na reformatora, jakoby lękał się dalsze wyprowadzić wnioski i poruszyć rzecz, która uszła jego przenikliwości.

– Powiedzżeż jaka to trudność? – zachęcał Luter. – Zobaczysz, że i straszdyła, których się lękasz, wnet w nic się rozpląną.

– Jeśli każesz, Mistrzu, będę mówił, – odrzekł Melanchton pokornie, wyraźnie oczekując rozkazu, aby zasłonić się w potrzebie przed gwałtownym gniewem reformatora. – Jeżeli każdy może Pismo św. wykladać, toć jeden będzie tak, drugi inaczej je rozumiał, każdy wedle swego widzenia, i jak komu

będzie wygodniej. Ponieważ Knopf pragnie uchodzić pomiędzy chłopami za proroka, odrzuca więc twierdzenie, jakoby każdy mógł Biblię tłumaczyć, sam tylko przypisuje sobie dokładne jej rozumienie. Odkąd straciliśmy Kościół rzymski z pysznej Stolicy nieomylności, a Papieża obraliśmy z przywileju, na mocy którego tłumaczył Pismo św., powstało więcej niż dwadzieścia sekt. Jakżeż tedy przeszkodzić, aby w Kościele, przez nas założonym, nie powstawały stronnictwa i sekty? Czyż się nie rozpadnie on na niezliczone mnóstwo sekt po latach stu, gdy każdy będzie mógł wykładać Pismo św.? (6)

– Więc w tym upatrujesz trudność, Filipie? – pytał Luter z uśmiechem. – Zapamiętaj sobie, co ci powiem: *Ja, doktor Marcin Luter, powołany Ewangelista i Apostoł, wykładam Pismo św. tak, jak rozumianym być powinno, a kto je inaczej wykładać się ośmiela, jest kacierzem i sekciarzem* (7).

Takim wyrokiem Luter chciał usunąć wszelkie wątpliwości, i sądząc, że przekonał Melanchtona, chciał podnieść kielich do ust, gdy z ocz Melanchtona wyczytał, że wcale z odpowiedzi nie był on zadowolony.

– W ten sposób trudność się omija, ale nie pokonuje, – odezwał się Melanchton.

– Nie pokonuje się? – a to dlaczego?

– Bo przez to wpadamy w błędną naukę Papieża. Takie pojmowanie rzeczy wymaga nieomylnego urzędu nauczającego, który sam jeden może bez błędu Pismo św. wykładać. Zasada, co tylko przez was wypowiedziana, zgodna jest zupełnie z pojmowaniem Papieża, z tą tylko różnicą, że wasz nieomylny urząd nie składa się z biskupów całej ziemi z Papieżem na czele, ale z was samych! Nam trzeba coś innego wymyśleć, aby nie poddać się nauce Papieża, ani też nie oddać Pisma św. każdemu niepowołanemu.

– Zawsze chodzisz po igłach – łąjał Luter. – Nie byłby Bóg mądrym, gdyby wszystkich był na podobieństwo ciebie stworzył. Tak będzie, jak powiedziałem! Komu nie podoba się moje zdanie, niech idzie do Papieża uczyć się kłamstwa.

Jakkolwiek Luter udawał, że rzecz w ten sposób rozstrzygnął, i sprawę, która wedle słusznego przeczucia Melanchtona musiała nowy Kościół rozerwać na części i największe wywołać niezgody, załatwił, sam przecież nie czuł się zadowolonym. Widać to było z jego oblicza, i Melanchton byłby znowu uczuł ten niepokój Mistrza, gdyby nie zdarzenie, które uwagę ich na inny zwróciło przedmiot.

– Miły Boże! – zawołał Melanchton przerażony – a tam cóż znowu na górze? Wskazywał przy tym w stronę obozu, z którego wychodziła z krzykiem gromada ludzi i zbliżała się do jaskini. Widząc broń, błyszczącą w promieniach zachodzącego słońca, słysząc krzyki chłopów, był pewien, że Knopf ze złości na reformatora podburzył zwolenników swoich i prowadzi ich, aby go sponiewierali. Ale Bernard, który z dowódcą oddziału wypędzał tłum, wprowadził uczonych naszych z niepewności.

– Raduj się, czcigodny mistrzu! – zaczął pierwszy Bernard. – Śpiewajcie Panu, bo za jego sprawą jeszcze dziś dwóch arcybiskupów nawrócisz do nowej Ewangelii! Prawda, że tydzień cały daremnie łamałem sobie język nad nimi, ale ty otworzysz im uszy, boś ty powołany do ocalenia tego, co było zginęło.

– Prawdziwe słowa brata Bernarda – mówił dowódca, wyprostowany po wojskowemu. Należał on do małej garstki wojowników, którzy pod dowództwem Rotenka wyrosli na dzielnych, z samowiedzą działających rycerzy. – W imieniu naczelnego wodza polecam wam, abyście wydali wyrok na trzech tych zwolenników Papieża, jeśli nie będą chcieli przyjąć nauki waszej.

– Jakież to ma być wyrok? – pytał Luter, przypominając sobie, co Rotenek mu powiedział: że biada mu, jeśli nie okaże tyle odwagi, aby postąpić sobie wedle własnej nauki.

– Jaki ma być wyrok? – powtórzył Grimmeisen. – Rozważcie, brzemieć może: na gałąź z nimi! – niech wiszą! Najpiękniej przecież brzmi wyrok, który w kazaniu ogłosiliście: Myjcie ręce we krwi ich!

Proste to tłumaczenie wyjaśniło Lutrowi rzecz całą. Chociaż w pismach swych i kazaniach zachęcał często do krwawych czynów i zniszczenia nieprzyjaciół jego nauki, to przecież z natury nie był okrutnym, i dlatego rola sędziego w tej właśnie sprawie wcale mu nie była miłą. Ale w strachu o własne bezpieczeństwo był zniewolony do wydania wyroku, gdyż inaczej byłby podał na siebie broń w ręce Knopfa.

Podczas gdy Doktor rozmyślał nad położeniem swoim i liczył na rozum i przebiegłość, które go w najtrudniejszych okolicznościach nie opuszczały, zbliżyli się skazańcy. Byli to trzej zakonnicy, w sukniach zakonu św. Augustyna, w którym i Luter składał śluby zakonne. Prowadzono ich związanych jak zbrodniarzy, na długich powrozach. Sińce i rany na obnażonych częściach ciała wykazywały dowodnie, ile biedni już wycierpieli. Chwiali się ze słabości, bladzi, oszpeconi, litość wzbudzić byli powinni. Stanęli zgnębieni

przed reformatorem. Chłopstwo ciekawie wyczekiwało wyroku. Luter najpierw badawczym okiem zmierzył zakonników, a potem niepewnym zaczął głosem:

– Wiadomo wam, jaki ogień puścił Bóg na ziemię, aby zniszczyć dzieło szatana i oczyścić Kościół z kału papieżstwa. Mocną prawicą trzyma wiejadło i chce kłokol wrzucić w piec ognisty, w którym ogień nie gaśnie, jak mówi Pismo św. I wy stoicie nad przepaścią. Otwórzcież tedy oczy i uszy, wyrzeczcie się waszego kacerstwa a ratujcie duszę i ciało!

Przestał mówić, oczekując widocznie odpowiedzi na zbawienną swą radę. Atoli zakonnicy stali jak posągi – ani spojrzeli na człowieka, od którego zawisło ich życie albo śmierć.

Po chwili, popatrzawszy po całym zgromadzeniu, począł Luter mówić dalej:

– I jam był kiedyś uwikłany w sidła papieskie, i jam martwił ciało postem i pokutnymi paskami – robiłem głupstwo, którym dręczą się słudzy rzymskiego wilkołaka, alem poznał się na tyranii i uciekłem, za co ja, Marcin Luter, Bogu nieskończenie dziękuję.

Na te słowa, dające poznać zakonnikom, kto do nich mówi, podnieśli głowy i patrzali na reformatora z takim wyrazem w oczach, iż widać w nim ich było zdziwienie, litość, ale i wyrzut straszny zarazem, który Lutra przeraził.

Ambroży, jeden z zakonników, człowiek już niemłody, o siwych włosach, które skąpo pokrywały łysinę, uniesiony szlachetnym gniewem na widok człowieka, który haniebnie zdradził zakon i rozdziwienie wywołał ku wielkiej szkodzie Kościoła i państwa – zawołał głośno:

– Przestań! – nie uwiedziesz ludzi, których głowy posiwiały w służbie Bożej i Jego Kościoła! Umrzeć możemy, ale nigdy nie przyjmujemy nauki wiarołomnego kapłana!...

Chłopi poczęli głośno szemrać, słysząc taki zarzut.

– Wiarołomnego kapłana? Czy zapominacie, kim jestem? – mówił pieniąc się ze złości Luter, który czuł się strasznie dotknięty śmiałą odpowiedzią zakonników, odmawiającą mu apostołskiego powołania.

– Nie zapalaj się! – odezwał się znowu ojciec Ambroży poważnie. – Żądasz od człowieka, skazanego na śmierć, którego dreszcz przechodzi na wspomnienie wieczności; od członka zakonu, do którego sam należałeś, a

którego święte mury niegodną robotą swą zbecześciłeś – od kapłana, który jeszcze dziś stanie przed surowym sądem Boga, przed którym i ty staniesz – żądasz ode mnie otwartego sądu o twoim wystąpieniu?

– Tak! od ciebie – wybuchnął gniewem Luter, – od ciebie, arcykacerza, w którym diabeł siedzi wcielony, którego diabeł zszatanił! od ciebie, błaznie papieski, żądam, abyś natychmiast się oświadczył, czy chcesz przyjąć nową Ewangelię, czy pójść do piekła?

– Źle mnie rozumiesz! – odezwał się ojciec Ambroży, chcąc ułagodzić gniew Lutera. Nad grobem pragnę powiedzieć prawdę, ale nie chcę nikogo obrazić.

– Nie chcesz obrazić – przerwał reformator, – a jednak przezwąłeś mnie wiarołomnym? Tak! żaden anioł w niebie, ani człowiek na ziemi nie powinien sądzić nauki mojej. Kto jej nie przyjmie, nie będzie zbawion, a kto inaczej wierzy, niż ja, jest dzieckiem piekła. Kto moją naukę potępia, tego Bóg potępi, bo usta moje są ustami Chrystusa Pana (8).

– Sam sobie kłamie! – mówił Knopf do siebie. – Jego usta są ustami diabła, bo inaczej nie twierdziłby, że każdy może Pismo wykładać.

Ojciec Ambroży snadź czuł się obowiązany w sumieniu bronić w ostatnich chwilach sprawy, którą uznał za świętą i prawdziwą. Bo jeno miłość prawdy i poczucie obowiązku mogły go przeciw ku podtrzymaniu rozpoczętej rozmowy, gdy wiedział, jak Luter uporczywie trwał przy swoich zdaniach. Być może, iż żywił nadzieję, że słowami swymi potrafi kogośkolwiek przekonać o błędnej nauce Lutera i wykazać, że Luter nie ma Bożego posłannictwa. Dlatego w te się odezwał słowa:

– Gdyby twoje usta były ustami Chrystusa Pana, toćby Pan Bóg przez tysiąc pięćset lat był ukrywał przed ludźmi prawdę i byłby ich umyślnie zostawiał w błędzie, bo od tego czasu jest Kościół rzymski nauczycielem narodów. Atoli takie przypuszczenie sprzeciwia się Boskiej Opatrzności, stąd twoja nauka nie jest od Boga. Przez Kościół katolicki tylko mówią usta Chrystusa Pana.

– Co? Kościół rzymski? Pozwól sobie powiedzieć, co sądzę o rzymskim Kościele. – I z ust reformatora połał się strumień tak bezwstydných bluźnierstw przeciw Kościołowi rzymskiemu, że niepodobna ich ze względów przyzwoitości powtórzyć (9).

Chłopi głośnym krzykiem okazywali, jak podobała im się broń, którą Luter walczył przeciw Kościołowi. Ambroży od dawna wiedział o sposobie walczenia Lutera, aby przeciwnika gwałtownymi napadami i śmiałym szyderstwem otumanić, gdy nie mógł użyć skutecznie broni godziwej. Widział więc swoją porażkę przynajmniej w opinii chciwej krwi tłuszczy, a jednak odważył się jeszcze na obronę swych przekonań.

– Kościół jest zanadto wzniosłą instytucją, by twoje szyderstwo i zelżywość mogły go osiągnąć – mówił odważny zakonnik. – Walki na uczone słowa nie podejmę z tobą, bo sto razy pokonany, sto razy głosisz, żeś zwycięstwo odniósł. Dla złej woli nie ma dowodu. Jednak posłuchaj ostatnich słów człowieka, który umiera za swe przekonania; posłuchaj słów zakonnika, który nosi tę samą suknię zakonną, w jakiej ty ślubowałeś Bogu przed ołtarzem!

– Co? Ty mnie moralności chcesz uczyć? – przerwał Luter rozjątrzony. – Czy zapomniałeś, dlaczego stoisz przede mną i podnosisz głowę przeciwko mnie? Zakonnicy to błazny, w głupocie swej szaleją przeciw słowu Bożemu, i dlatego wszyscy pójdą do czarta. Lepiej być katem, niż mnichem! Mnichy czarownicy i zabobonnik, piekło nimi wybrukowane, i ty mnichu śmiesz mnie pouczać? (10)

Mowa reformatora stawała się coraz gwałtowniejszą, podobną do strumyka wzburzonego, zabierającego i wyrzucającego wszystek brud. Chłopom podobały się takie brudy, i dlatego dawali głośne oznaki zadowolenia. Skończył wreszcie mówca, i ojciec Ambroży mógł przemówić jeszcze. Luter nie przerywał mu więcej, czy zdumiony nadzwyczajną odwagą zakonnika, czy też nie mogąc prędko zebrać myśli w straszliwym roznamiętnieniu.

– Chętnie – przemówił zakonnik – poświęciłbym życie, aby cię ratować, ale nawrócenie twoje prawie niepodobne; otchłań, w którą wpadłeś, nie ma gruntu, bo wściekasz się złością nieprzejednaną przeciw świętej matce twej, przeciw Kościołowi – depreczesz zuchwale Sakramenty święte, szerzysz naukę, która zezwala na zbrodnie i uświęca występki. Spustoszenie i rozdwojenie siejesz w Kościele i państwie, – oddajesz Bogu poświęcone dusze wściekłości uwiedzionego straszliwie ludu. Czy nie widzisz straszliwego swego upadku? Czemuż kłamiesz, że masz posłanie od Boga? Od kogoż masz mądrość? Któż cię powołał do okropnej roboty zniszczenia? Nie pędził cię upór i pycha do takich niegodziwości? Zaślepiony, nieszczęsny człowieku! Nawróć się, nim dzieło twoje zgotuje tobie i milionom zgubę! Alboż nie mówię prawdy? Jeżeli jesteś od Boga posłany, udowodnij twego posłannictwa. Gdzież cuda twoje?

Spustoszenie w Kościele i państwie, pomordowani zakonnicy, zbezczeszczone zakonnice – to twoje cuda!

– Tak, to moje cuda! Precz z nimi! – zawołał rozkazująco reformator; zwiążecie ich, – niech próchnieją uparci, bałwochwalcy!

Ostatnie słowa Lutra zmieszały się z dzikim krzykiem chłopów. Dawno pożądamy krwi wiernych sług Papieża, wzięli Lutra wykrzyknik za upragniony wyrok śmierci. Wypchnęli zakonników z jaskini, a bijąc kijami, prowadzili na górę. Stał tam dąb rozłożysty. Strach było spojrzeć nań, bo na gałęziach wisiało kilka ciał nagich. Do tego dębu, służącego chłopom zbuntowanym za szubienicę, popędzili ofiary rozbewstwienia. Tu, wśród obelg i razów dotkliwych, zdjęli z nich suknie zakonne, odmówili nawet szyderczo prośbie ojca Ambrożego, aby ich nie obnażali, lecz Knopf przyczynił się za nimi, prosząc:

– Zostawcież im tę resztkę szmat, może w tym żądaniu jest iskierka Ducha Świętego. Bo trzeba wam wiedzieć, bracia, że ci bałwochwalcy mimo woli mówili prawdę – niech mają tę ostatnią pociechę! –

Usłuchali chłopów słów proroka, a męczennicy za wiarę tylko przezeń uszli sromoty, dzięki oporowi, jaki stawili Lutrowi, i niechęci, jaką żywił ku niemu Knopf. Tymczasem już przysposobiono powrozy na gałęziach dębu. Zakonnicy uklękli, polecając w okropnej tej chwili duszę Bogu. Założono im powrozy na szyję.

– Podnoś! – wołały wesołe głosy.

Pociągnięto powrozy, a ciała z wolna wznosiły się ku górze.

Knopf zaśpiewał pieśń, której treścią była zguba papieżstwa, a panowanie czystej Ewangelii. Gdy pieśń przebrzmiała i zakonnicy na drzewie zawiśli, a wściekła tłuszcza napasła się widokiem ostatnich drgnień konających, rozeszli się wszyscy.

Luter z jaskini przypatrywał się wszystkiemu. Dopóki chłopów przegradzali go od dębu, ciskał przekleństwa na papieżstwo, ale skoro zobaczył ofiary swego gniewu i spostrzegł, że chłopów fałszywie zrozumieli jego słowa, którymi zakonników na więzienie tylko skazywał, a nie na śmierć, ochłonął z gniewu. Bernard dopatrzył tej zmiany, naglił więc do opuszczenia jaskini i poprowadził obudwóch gości do namiotu, który dla nich na tę noc był przygotowany.



---

### Przypisy:

(1) Tischred. Wyd. Eisl. 62, 177. b.

(2) Religionsg. wyd. Witt. cz. 5, str. 658.

(3) Wyd. Witt. III, str. 10 b. 1550. Niepodobna dla polskich uszu przytoczyć wszystkich wyrazów, których w tym miejscu użył reformator. (Przyp. tłum.).

(4) Buchmann, *Populaer. symb.* cz. II, 390.

(5) Luter tak dalece zapominał się czasem, że Melanchtonowi policzki wymierzał; patrz Skitz i Stud. über die Reform. Schaffh. Hurt. 1846.

(6) Przepowiednie Melanchtona sprawdziły się: dziś protestantyzm liczy przeszło sto różnych sekt.

(7) Luter zmieniał w tym względzie zdanie swe wedle okoliczności. Wedle wydania Wittenb. III. S. 10 b. 1550 Biblia jest najzrozumialszą księgą na ziemi. Wedle Tischr. Wyd. Eisl. str. 4 b. 1566 tylko ten Pismo rozumieć może, który z Prorokami, Janem Chrzcicielem i Apostołami sto lat rządził Kościołem. Tamże na str. 18 tylko sam Luter Biblię wykładać zdolen. W tomie VII wyd. Wittenb. str. 175 tylko "Duch Święty Biblię rozumie". W przedmowie do Hauspostille. Witt. 1531 pisze, że każdy może Biblię rozumieć. W wydaniu Lipsk. Tischr. str. 10 twierdzi, że a. b. c. nie nauczymy się w rozumieniu Pisma św.

(8) Tom II, str. 44 a. 1552.

(9) Ciekawych odsyłamy do dzieł Lutra wyd. Wittenberg. cz. 7. 5. 17. a.

(10) Coloqu. mons. p. 14.



# Diabeł

~~~~~

"Co inni czynić mogą, mocen jestem i ja!
Czy jako niedźwiedź długowłosa się zbliżysz,
Czy przyjdiesz jako tygrys hyrkański,
Nie zadrzą członki moje, jakakolwiek byś przybrał postać".

Shakespeare.

Luter do głębi wzruszony zbliżył się, milcząc, do namiotu sobie przeznaczonego. Bernard wychwalał urządzenia i wygody, o jakie się postarał dla Mistrza. Przy obu ścianach namiotu wygodne stały łoża, pożądane bardzo znużonym podróżnym. W środku namiotu stał stolik, na nim Biblia, niewyciężona broń reformatora przeciw wszelkim napaściom nieprzyjaciół. Nie przepomniął też Bernard o jadłach i napojach, nawet inne rzeczy do przewleczenia przygotował. Dwuramienny świecznik, niegdyś własność klasztoru w Birkweiler, oświecał namiot. Na ziemi leżał piękny kobierzec, jeno że obrazy na nim wyszywane nie odpowiadały celowi, na jaki go przeznaczono, bo wyobrażały mękę Chrystusa Pana, i zdobiły niegdyś ołtarz klasztoru Syjon w czasie Wielkiego Tygodnia. Podobne kobierce okrywały ściany namiotu i nadawały mu pozór kaplicy. Wrażenie psuł tylko wielki puchar i inne świeckie przedmioty. Bernard słusznie wyczekiwał pochwały za staranne urządzenie namiotu, ale Luter ani jednym spojrzeniem nie udarował mozolnego jego dzieła. Skoro tylko wszedł, natychmiast porwał za złoty puchar i kilka razy go wypróżnił, jakby wino miało ochłodzić gorączkę, palącą mu skronie i lica; poczym znużony rzucił się w krzesło. Bernard po cichu rozmawiał z Melanchtonem, dziwiąc się szczególniejszemu usposobieniu reformatora. Filip, znając dokładnie zwyczaj Lutera, prosił, aby Bernard milczał albo namiot opuścił. Bernard usłuchał Filipa, i pożegnawszy Lutera, który mu nawet odpowiedzieć nie raczył, wyszedł.

Melanchton usiadł w kątku, zostawiając reformatora w myślach, w których nawet nie dosłyszał głosu trąby raz po raz się odzywającej. Melanchtonowi zdawało się, że to znak, dany do spoczynku w obozie, i cieszył się, że przecież raz nadchodzi chwila, gdzie mistrz bez przeszkody będzie mógł rozmyślać. Atoli mylił się, bo na głos trąby cały obóz stanął na nogach. Ze wszystkich stron zbiegali się chłopcy do skały, z której Luter po raz pierwszy do nich przemawiał. Z wesołych krzyków wnosząc, zdawało się, że jakiś wesoły

bardzo cel ich zgromadził. Płomienie palących się w dolinie ogni oświecały wszystkich, promienie słońca wolności na sztandarze zdawały się przy nich czerwienieć, symbole zniszczenia więcej przerażające. Dzikie, wesołe krzyki zamieniły się wnet w przytłumiony szmer, bo Knopf wszedł na skałę. Popatrzawszy z zadowoleniem po zebranych, wlepił oczy w niebo i ramiona szeroko rozszerzył. Stał tak długą chwilę. Prawdopodobnie wzywał siedmiu duchów, aby go opanowali i poddawali do ust słowa czyste i nieomyślne. Duchy snadź usłuchały, bo nagle opuścił ręce, oczy poczęły mu prędko biegać, wszystkie członki drżały w jego ciele. Otworzył usta i strumień słów z nich wypłynął, które chłopcy chciwie uchem chwyтали. Mowa zapalała słuchaczy. Duch proroka i na nich przechodził, bo i oni oczy do nieba wznosili, wyciągali ręce, bili pięściami, przy czym niejedni porządnie oberwali się. Ale niepokój, który stąd powstawał, nie przeszkadzał natchnionemu mówcy. Dowodził on wymownie, że każdego jest obowiązkiem wytrwać przy czystej Ewangelii i poświęcić wszystkie siły na zniszczenie rzymskiego Babilonu. W końcu mówił o zburzeniu klasztoru zakonnic w Seelbronn, który mieli zburzyć nad ranem.

– Cieszcie się, synowie Boży! – wołał z uniesieniem, – radujcie się wybrani i chwalcie Boga a Zbawiciela, bo znowu możecie zwrócić prawice wasze na córki Sodomy, które przez długie lata grzeszyły w klasztorze Seelbronn, bo nie pojmowały, co to znaczy: *roście i rozmnażajcie się!* Radujcie się, odważni mężowie Izraela! miecz wasz już doarty nad głowami ich, a ręka wyciągnięta po ich bogactwa! Radujcie się, bo bogate a piękne są córki Sodomy, a Bóg oddał w ręce wasze ich ciała i majątek! Jutro, skoro zabrzmi głos trąby, powstańcie i wyruszcacie przeciw Moab, nie zostawcie kamienia na kamieniu, przetrząsnijcie każdy kącik, bo, mówię wam, bogate są piękne córki Sodomy, złoto i drogie kamienie ukrywają w swych murach, a to wszystko oddał Bóg w ręce wasze!

Tak opisywał Knopf z zastanawiającą wymową bogactwa klasztoru, a słowa jego do tego stopnia porywały słuchaczy, że wiele głosów odzywało się, aby natychmiast wyruszyć. Tego zdawał się Knopf pragnąć.

– Natychmiast chcecie wyruszyć? Czy zapomnieliście, synowie Boży, jaki surowy rozkaz wydał wczoraj wódz naczelny? – mówił Knopf ze złośliwym uśmiechem; bo z siedmiu duchów, które go opętały, co najmniej dwa były duchami chciwości i żądzy panowania. – Nie wiecież, że kara śmierci czeka każdego, któryby w nocy jakikolwiek podjął napad? Zostawcież więc na jutro, co właściwie żadnej nie dozwala zwłoki!

Przypomnienie dyscypliny wojskowej, jaką Rotenek utrzymywał w obozie, przytłumiło nieco rozognioną żądzę, ale zarazem dało wielu zwolennikom Knopfa powód do szemrania przeciw surowości naczelnego wodza.

– Diabli niech wezmą Hilchena! – klął Knoblauch, który należał do zakonu Karmelitów bosych. – Któż go zrobił panem nad nami? Po cóż go słuchamy? Cesarzy, książąt, Papieża deptamy nogami, a ten szlachetka chciałby nam mistrzować? Poczekajcie: drzewa mają gałęzie, a wolni synowie Boży powrozów dosyć, aby wywieszać zakapturzonych papistów!

– Grzegorz prawdę mówi! – odezwał się Geilfus, który był obwieszony miedzianymi pieniążkami, wydającymi za każdym poruszeniem ogromny brzęk. – Hilchen to szelma, jak wszyscy panowie. I on należy do onej wielkiej gromady ludzi, których nam wedle słów Lutra należy pozbyć się co prędzej. To mi dopiero mnich! Widzieliście, jak prędko załatwił się z trzema papistami? Jak żyję, nie słyszałem jeszcze takich tytułów, jakimi Doktor czczył rzymski Kościół.

– A wiecież wy – mówił Szpecht, ubrany w resztę kapy złocistej – że Rotenek chciał mnichom ułatwić ucieczkę?

– Co? mnichom ucieczkę chciał ułatwić? – odezwało się kilka głosów naraz.

– Klnę się na duszę moją, że miał to w myśli – zapewniał Szpecht. – Brat Knopf sam mi o tym mówił, a jemu poddały to duchy. Dziś w nocy chciał ich wypuścić! Ba, nawet przysiągł, że nie będzie więcej przelewał krwi papistów. Nie wierzycie? to pytajcie Knopfa!

To mówiąc wskazał na Knopfa, który, zszedłszy z kazalnicy, stanął między tłumem.

– Prawda, co mówisz, bracie Szpecht, – potwierdził Knopf. – Wódz naczelnny opuścił drogi Boże i błądzi w puszczy kłamstwa.

– Wypowiedzmy mu posłuszeństwo! – zawołał Knobloch i wielu innych.

– Jego godzina jeszcze nie nadeszła – mówił Knopf uroczyście. – Może jeszcze się wyleczy; bo trzeba wam wiedzieć, że cały legion rzymskich diabłów wjechał w niego, i ci prą go i nasadzają przeciw czystej, wolnej Ewangelii.

Po tych słowach opuścił Knopf szanowne zebranie i zwrócił się w inną stronę.

Z radością prawdziwą przysłuchiwał się, idąc, niektórym głosom, które przysięgały Rotenkowi zgubę, a pragnęły Knopfa stawić na czele buntu.

Wolfgang z Hoenfels – boć on to był onym uzbrojonym rycerzem w jaskini ponad głowami chłopów, – przysłuchiwał się słowom Knopfa i mimo woli, widząc i słysząc jego przesadę, uśmiechał się.

– Widzisz, Gizelo – mówił żartobliwie do niewiasty w białej sukni, – nam trzeba teraz żyć duchowym chlebem Ewangelii Lutera. Przecież, – dodał, – jeżeli przez podstęp sługi nie dostaniemy dziś chleba, w nocy zrobię wycieczkę, bo wobec takiej obfitości wszystkiego, jaką tu widzimy, niepodobna umierać z głodu.

– Nie jesteśmy tak biedni, jak sądzisz, kochany ojciec – mówiła Gizela głosem, zdradzającym wielką obawę, by snadź ojciec rzeczywiście nie chciał wybrać się w nocy do obozu chłopów. – Dziś nie potrzeba jeszcze narażać życia, a jutro chłopci się wynoszą, więc i my będziemy mogli opuścić kryjówkę naszą.

To mówiąc, wydobyła dziewczyna kawałek twardego chleba i podała rycerzowi.

– Niech Bóg broni moje dziecko! – mówił wzruszony. – Od dwóch dni nie miałam nic ciepłego w ustach, nawet tę skórkę chleba, którą cię żebraczka udarowała, zachowałam na ostateczną potrzebę. Uspokój się, przetrwamy wszystko, nie pójdę do obozu. Ale zjedz chleb, moje dziecko! Pozwól tylko, bo pewnie będzie za twarde na twoje ząbki.

Kilku kroplami wina, wysączonymi z butelki, zwilżył chleb i podał go Gizeli. Poczęła go jeść, ale pod warunkiem, że i ojciec jeść z nią będzie. Dowód ten dziecięcej miłości wzruszył rycerza do głębi, a smutne położenie, w jakim się znajdowali, okropnie go martwiło.

– Może uda nam się wymknąć stąd, – odezwała się Gizela. – Noc ciemna, a chłopci wnet twardym snem zasną. Skoro tylko wydostaniemy się z obozu, łatwo dostaniemy się do Arnstein.

Wolfgang potrząsnął głową i mówił:

– Ucieczka nasza musi być bezpieczną. Dopóki chłopci nie wyruszą, a my nie pokrzepimy się na uciążliwą podróż, dopóty nie możemy myśleć o opuszczeniu naszego schronienia. Przecież wiesz, jak na nas czyhają!

– Ależ czemuż oni nas prześladują? Gdyby wiedzieli o naszym ubóstwie, pewnie nie trudziliby się dla nas! – mówiła dziewczica, która w naiwności swej najmniejszego nie miała pojęcia, jak daleko sięga złość ludzka. – Gdybyś pozwolił, ojczy, poszłabym do naczelnego wodza, opisałabym mu nasze położenie, a ręczę, że prośby i łzy moje ułagodziłyby go dla nas.

– Tak! – zawołał Hoenfels głosem, który Gizelę zatrwożył. – Gdybyś ty w jego ręku była, ojciec twój za taką cenę otrzymałby nawet konwój bezpieczny do Arnstein. Ale – dodał niewyraźnie, – prędzej tu z głodu umrzesz, niż dostaniesz się w ręce tego diabła!

Szlachetność i nieznajomość namiętności ludzkich nie pozwalały Gizeli zrozumieć słów ojca. Nie pytała się, co znaczą, bo wiedziała, że Wolfgang boleśnie był dotknięty. Zamilkli oboje, a zapominając na chwilę własnych cierpień, przysłuchiwali się burzliwym mowom chłopów. Knopf znowu wszedł na odłam skały i pouczał, jak się mają zachować przy zburzeniu klasztoru. Sposoby, jakie im podawał, bynajmniej nie wskazywały, że mówi w religijnym szaleństwie – owszem, okazywały, że Knopf bardzo był w tym względzie mądrym i doświadczonym: umiał zniszczyć w jednej chwili, na co wieki się składały. Głównie zaś wskazywał drogi, na których mogliby odkryć kryjówki, w jakich mieszkańcy klasztoru prawdopodobnie ukrywają skarby swoje.

– Dobry Boże! – skarżyła się Gizela ze złożonymi rękami i okiem do nieba wzniesionym, słysząc zbrodnicze plany. – Jakiż okropny los spotka pobożne niewiasty! Okrutnicy nie mają litości – bezbronne zakonnice umrą w ich rękach!

– Umrzeć, to najmniejsza! – mówił cicho Hoenfels.

– A jak tam pięknie! – mówiła dalej, przypominając sobie z żalnością kilkudniowy pobyt w klasztorze. – Pokój Boży w tych murach. Na wspomnienie tego domu świętego, który, na pięknej wzniesiony górze, nieba zdaje się być bliżej, uczuwam dziwną tęsknotę, jakoby za własnym domem. I to wszystko ma wkrótce zamienić się w ruiny i popiół? O bezbożni ludzie! Gdyby przynajmniej czuli, jak okropna to zbrodnia mordować niewiasty miłosierdzia, modlitwy, zaparcia się i miłości bliźniego! Ileż to razy znosiły pobożne zakonnice największą nędzę, byle ulżyć mieszkańcom ubogim pobliskich wiosek! Głód znosiły, aby innych karmić! Skąd wezmą biedni pociechę, odzież i pożywienie, gdy zakonnice pomordowane będą? Straszny to los, ale straszniejsze okrucieństwo!

Łza zrosiła piękne oko Gizeli.

– Czemuż – kończyła – dom ten, skąd miłosierdzie służyło obficie, ginąć musi?

– Przewrotność ludzi to sprawa, moje dziecię! – odpowiedział Wolfgang.
– Piekielnej nauki nikczemnego mnicha to skutek. Piekła otchłanie wyrzuciły tego nikczemnika na zgubę przyszłych pokoleń!

– Ach! to okropny człowiek! Gdyś mi go dziś pokazywał, kiedy stał na skale, otoczony krwi chciwymi chłopami, którzy cieszyli się obrzydłą jego mową, przeraziłam się bardzo. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć, mój ojciec, ale wierz mi, że ani zburzenie naszego zamku, ani pochod przez ciemny podziemny ganek, którym uciekaliśmy, nie nabawił mnie tyle strachu, co ten człowiek. Jak też mogą ludzie słuchać go, i do tego jeszcze naukę jego uważać za Boską?

– Jak mogą? – hm! – mówił Hoenfels z goryczą. – Trudno ci to wytłumaczyć. Ludzie właśnie w to chętnie wierzą, czego pragną. Choćby sam diabeł wyszedł z piekła i wołał: "Ludkowie! jam jest prorok Boga – mordujcie zwolenników Papieża, zabierajcie ich dobra – wolni jesteście zupełnie, wierzcie i czyńcie, co wam się podoba" to i wtedy jeszcze diabeł nie będzie ludziom zdawał się czarnym, i będą przysięgać, że to prorok Boży.

– Ależ przecie człowiek nie może być diabłem?

– Ale gorszym od diabła! Gdyby diabeł stanął po jednej stronie, a Luter po drugiej, a mnie wolno było jednemu z nich roztrzaskać głowę, rozbiłbym ją zbiegłemu mnichowi. Belzebub sprawił, że pierwsi nasi rodzice i cała ludzkość wygnaną została z raju; – a Luter, ten piekielny podły człowiek, wypędza ród nasz z świętego państwa rzymskiego, które piękniejszym było ogrodem, niż raj!

– Więc wszyscy panowie mają być wygnani z państwa, ojciec?

– Nie, moje dziecko! Luter raczej państwo wypędza, bo sieje ziarno niezgody i niemocy na ziemi naszej, która wydała sławne pokolenia, i rozrywa święte węzły, które cały naród silnie z sobą łączyły.

Rycerz westchnął przy tych słowach głęboko, a oparłszy się na rękę, patrzył smutnie przed siebie. Gizela zastanawiała się właśnie nad znaczeniem słów ojca, gdy jakieś kroki dosłyszec się dały, które ją niepomału przestraszały. Wtem Just stanął przed nimi, niosąc na plecach ciężki worek.

– Oto żywność na rok cały! – mówił sługa, kładąc przed nimi worek. – Jeśli wam się podobać będzie, panie, wytrzymamy teraz oblężenie przez dwa miesiące, mając worek ten w obronie.

To mówiąc, wykladał z worka chleb, pieczone mięso, szynkę wędzoną i kilka butelek wina.

– Nakładłeś niezłe! – mówił Wolfgang, chciwie spoglądając na potrawy. – Opowiedz, jakim podstępem zdobyłeś to wszystko? Gdzie wpadłeś w ich ręce? Jak obchodzili się z tobą?

– Niedaleko iść mi było potrzeba, panie! – odpowiedział Just, radując się, że dogodził Wolfgangowi, który, podawszy Gizeli najsmaczniejsze kąski, z wielkim również sam zjadał apetytem. – Ani dwóch tysięcy kroków nie uszedłem stąd, gdy napotkałem bandę chłopów, którzy podnieśli okrzyk pełen radości, gdy się dowiedzieli, że ja wasz sługa. Natychmiast związali mi ręce, abym im nie uszedł, i odliczywszy kilka szturchańców, doprowadzili do naczelnego wodza, który zaraz poznał we mnie dawnego znajomego, i dlatego niezawodnie przyjął mnie bardzo grzecznie.

Just przestał mówić, ale bacznie spoglądał na Gizelę, a potem na ojca. Wspomniał na miłość Rotenka i na przysięgę, którą złożył, że będzie pracował nad tym, aby Gizela wzajemną wodzowi odpłaciła miłością. Milczał, bo lękał się, by snadź wypowiadając, co myślał, nie rozgniewał Wolfganga, a nie uraził skromnej i niewinnej Gizeli. Że jednak chciał pozostać wiernym przysiędze, postanowił wybadać przedtem, jak usposobionym był Wolfgang względem naczelnego wodza.

Uprzedził go Wolfgang, bo, przerywając milczenie, zapytał:

– Któż jest właściwie naczelnym wodzem? Jak się nazywa?

– Znakomity to człowiek, choć pozory mówią przeciw niemu. Nazywa się Hilchen Rotenek, ten sam, który ze zmarłym moim panem walczył w wojnie Sikinga przeciw Trewirowi.

– Więc szlachcic? Jak też mogą tacy mężowie – mówił z boleścią Wolfgang – zaprzeć się krwi swojej i łączyć z rozbestwioną tłuszcza chłopów! Mnie się zdawało, że prócz Goetza z Berlichingen, który grabieżą i nierycerskimi postępami już i tak splamił tarczę swoją, żaden ze szlachty nie poniży się do tego stopnia, aby miał łączyć się z chłopami.

– Chłopów już ma dosyć, panie, i właśnie ma zamiar ich opuścić. Widziałem na własne oczy, co dokazywał, gdy przeciw jego woli powiesili łotrzy trzech zakonników. Nie chce również zezwolić napaść na klasztor Seelbronn, bo nierycerska mu rzecz napadać bezbronne niewiasty. Zobaczycie, panie, że młody szlachcic zerwie z chłopami. Urodny to młodzieniec, a Bogu samemu wiadomo, jakim sposobem stanął na czele buntowników.

– Nie chwał mi tego łotra! – odezwał się Wolfgang groźnie. – Z rozmysłem złączył się z chłopami, palił w kraju przez długie miesiące, zabijał własną ręką kapłanów, zakonnice i wiernych, więc za późno kłaść zbrodnie jego na brak rozważy. Aleć tobie wypada chwalić dobrodzieja, choćby jeszcze stokroć większym był łotrem!

– Rotenek z największym szacunkiem mówił o was, panie, i bardzo ubolewał nad zniszczeniem waszego zamku!

– Ubolewał? Ubolewanie tego obłudnika brzmi jak urąganie i szyderstwo z nieszczęścia. Jeśli Bóg pozwoli, pobuduję zamek mój warowniejszy, aniżeli był dawny, ale to wiem, że życia po dziś dzień nie zawdzięczam Rotenekowi.

– Za pozwoleniem, panie, – mówił Just dalej – Hilchen nie chce, aby nas śledzono i brzydzi się grabieżą. Chłopi popełniają zbrodnie, a naczelny wódz zniewolony jest zezwolić na to, czemu przeszkodzić nie może.

– Wybornie chwalić potrafisz! – mówił Wolfgang, potrząsając głową.

– Nie gniewajcie się, panie, na mnie: ale mężowi temu trzeba oddać słuszość. Powiedziałem, że Rotenek ubolewał nad zniszczeniem waszego zamku, a teraz wam powiadam, że bardzo dobrze jest dla was usposobiony. Patrzcież – oto jego wstęga!

To mówiąc, wyciągnął dosyć szeroką czerwoną wstęgę, na której wypisany był łacińskimi literami wyraz "Tetragrammaton" (1). Tajemniczy ten wyraz był w wojnie Sikinga umieszczony na chorągwiach wojskowych i naramiennikach żołnierzy, służył też za hasło dla szlachty związkowej. Rotenek użył go za hasło i w obozie chłopów.

– I po cóż to? – pytał Wolfgang, przypatrując się wstędze.

– Udałem, panie, że jesteście w Luetzelhard – odpowiedział Just. – Wódz uwierzył i wręczył mi ten znak, abym bezpiecznie mógł dostać się do was. Wszystkim on nam w biedzie służyć może. Gdybyśmy w nocy wyruszyli, byłibyśmy jutro po południu w Arnstein.

– Za wiele przykładasz wagi do tej drobnostki – mówił Hoenfels. – Dopóki te łotry przebiegają lasy w naszej bliskości, tak długo bez niebezpieczeństwa wielkiego wyruszyć nie możemy.

– Jak wola wasza, panie! Przecież lękam się, by naszej kryjówki nie odkryto, bo chłopci zamyślają dłuższy czas tu pozostać, aby stąd podejmować napady. Jutro chcą napaść Seelbronn, które w innym zupełnie leży kierunku jak Arnstein. Wedle mego zdania, należałoby korzystać z nadarzonej sposobności i uciekać.

Wolfgang począł rozważać w milczeniu słowa sługi. Spoglądał na Gizelę, boć o jej bezpieczeństwo chodziło mu najbardziej, a gdy rozważył niebezpieczeństwa, jakie ją w drodze spotkać mogły, zasmucił się bardzo i zatrwożył. Atoli dobra rada Justa zwyciężyła.

– Dobrze – odważymy się! Niebezpieczeństwa podróży wielkie, ale i tu pozostać nie możemy.

– Bóg wam zapłać, panie! – zawołał Just uradowany. – Teraz jeszcze oddalę się na chwilkę. Kiedym wchodził na górę, spostrzegłem muła, który kiedyś był własnością starego Opata z Ham. Muł uciekł chłopom, a ja go złapię dla naszej panny.

Wierny sługa odszedł, a Gizela, usłuchawszy rady ojca, udała się w głąb jaskini, aby na posłaniu ze mchu odpocząć cokolwiek, gdy tymczasem Hoenfels przypatrywał się rozbestwionemu chłopstwu.

Przy przeraźliwym głosie piszczałki i trąb wrócili chłopci z okrzykami do obozu. Droga ich prowadziła około namiotu Lutra, który ciągle jeszcze zamyślony siedział przy stole. Myśli jego przybierały straszliwy charakter, a wnet powstała w duszy jego walka, jaka powstaje w duszy człowieka, który chce ująć gryzących wyrzutów karzącego sumienia. Melanchton siedział w jakimś oddaleniu, ale tak, że widział wewnętrzną walkę mistrza, która w obliczu jego się odzwierciedlała. Ze współczuciem patrzył na drgającą twarz Lutra, przecież nie ośmielił się przyjść mu w pomoc. Z doświadczenia wiedział, kiedy pora odezwać się skutecznie, gdy Luter w podobnym był usposobieniu. Dlatego milczał, wpatrując się bacznie w oblicze Doktora, jak lekarz przy łożu w gorączce leżącego oczekuje chwili, w której by skuteczną mógł podać pomoc.

Gdy odgłosy piszczałki i trąb odezwały się w bliskości namiotu, zerwał się reformator przestraszony. Podskoczył i ostro wpatrywał się we drzwi namiotu, trzymając w jednej ręce Biblię, drugą ściskając w kułak, jak gdyby oczekiwał jakiegoś niebezpiecznego nieprzyjaciela, którego zbliżenie się zwiastowały trąby. Stał w tej postawie tak długo, dopóki nie przebrzmiały głosy przeraźliwych instrumentów. Melancton poruszył krzesło – reformator zwrócił się ku niemu, wpatrzył się weń milczący i znowu usiadł. Dumanie rozpoczęło się na nowo, z tą tylko różnicą, że teraz Luter zrywał się często i wymawiał jakieś urywane wyrazy.

Nagle zerwał się gwałtownie, ścisnął pięść, i zwrócony ku jednej ze ścian namiotu, zakrzyknął:

– Milcz, przekłeta bestio! Na mnie zwalasz krew zakonników? Na moją duszę kładziesz życie kapłanów, zakonników i zakonnic? Wspomnij, psie piekielny, jakem cię niedawno Biblią odprawił! Nie zmienisz w niej ani literki! Wstań i odpowiadaj!

Tak krzyczał ciągle, wpatrując się w jedno miejsce, jak gdyby rzeczywiście ktoś tam był obecny.

– Czemuż Pan Bóg nakazał narodowi swemu wygubić Moabitów i nawet naczynia ich spalić? – mówił Luter z miną uczoną, którą zwykł był przybierać, gdy chciał w walce na słowa pokonać przeciwników swoich. – Na cóż ten surowy nakaz? Odpowiedz: aby i śladu nie pozostało po starym bałwochwalstwie. Czyż rzymskie obyczaje nie są gorsze i więcej pogańskie, aniżeli obyczaje Moabitów? Czyż Rzym nie ma więcej diabelskich sług Baala i obłudników, głoszących naukę o dobrych uczynkach? Nie miałżeby Bóg chcieć, aby to bałwochwalstwo mieczem, pożogą, rokoszem było zniszczone? Mów Belzebubie! Nie uciekaj! Tak – umykasz i zostawiasz... (2).

Nie możemy przytoczyć końca mowy Lutera ze względu na przyzwoitość, jaką dla ludzi zachować należy, a której przecież Luter dla diabła nie zachowywał.

– Widziałeś, Filipie, jak diabeł uciekał? – pytał założyciel nowego kościoła i dodał tryumfująco: Tak! – i uderzył dłonią w Biblię: przed tą Ewangelią muszą uciekać diabły, Papież, Turki, popy, tatarskie chany, świnie, osły, smarkacze, błazny i wszyscy krzykacze i pismaki, bo to wszystko diable usta i członki (3).

Melanchton ucieszony, że Luter wreszcie pokonał pokusę – mówił wesoło:

– Nie wróci tak prędko. Niezłą daliście mu odprawę!

– Wystaw sobie, Filipie! głupi czart zarzucał mi, iż trzech owych mnichów powiesiłem! W ten sposób mógłby i Pana Boga oskarżać, że rozkazał zabijać Moabitów, aby bałwochwalstwo raz przecie wzięło koniec.

– Toć diabeł jest kłamcą od początku wieków – odezwał się Melanchton.
– I to kłamie, bo mnichów kazaliście uwięzić, ale nie powiesić.

– Z tym nie przejdiesz – mówił Luter. – Belzebub przebiegła bestia! Powiada on: "Chociaż własnoręcznie nie zabijałeś zakonników, zakonnic, księży i popów, to nauka twoja sprowadziła na nich śmierć okrutną, dlatego sto razy jesteś mordercą! Patrz Filipie, tak mi diabeł dosadza. Ale wszystkie jego sprawy na nic się nie przydadzą. Aby zaś smród, który zostawił, przemienił się w miły zapach, mówmy teraz o mej miłej Kasi, bo nic tak nie gniewa diabła, jak piękne kobiety – ich nie prześladowuje pokusa (4).

Zanim przecież reformator oddał się myślom o pięknej narzeczonej, wypróżnił kielich, który Melanchton po dwakroć nalewał.

– Czy też brat Bernard już zdążył z Kasią do Arnstein? – pytał Marcin. – Brat Bernard zaprawdę wielki drapieżca, podobny na włos Chrystusowi Panu; bo jako Chrystus był drapieżcą w świecie, gdy przez śmierć swoją wydarł księciu ciemności i broń, którą walczył, i to, co posiadał, tak wydarł pobożny Bernard biedną Katarzynę Bora z więzienia ludzkiej tyranii (5). Zobaczysz Filipie, że Kasia bardzo jest piękną, a mnie trawi po prostu żądza, by ją co prędzej oglądać.

– Nie wątpię wcale, że jest piękniejszą, aniżeli ludzie opowiadają! – mówił, pochlebiając, Melanchton.

Atoli Marcin Luter nie słyszał już pochwały, bo diabeł, co tylko odpędzony, znowu wrócił. Reformator porwał się z miejsca przerażony, wlepił oczy w kąt namiotu, gdzie diabeł w okropnej postaci się ukazywał. Melanchton, spojrzawszy w stronę, ku której zwrócił się Luter, zobaczył na podłodze namiotu straszliwą głowę i słyszał, jak szyderczo naśmiewała się z Lutera, który odważnie przeciw złemu duchowi, jak mniemał, wystąpił. Melanchton przeciwnie, pierwszy raz widział nad wszelki wyraz brzydszą postać, drżał więc cały, doznając trwogi, jakiej tylko śmiertelnik na widok piekielnego ducha

doznawać może. Nie znajdujemy nigdzie wzmianki, jak długo Luter patrzył na diabła, bo i Luter w pismach swych, opisując stosunki, jakie miał z diabłem, nie wspomina o tym. I w tej chwili nie miał widocznie ochoty rozpoczynać walki z przeciwnikiem św. dzieła, bo milcząc, porwał Biblię, i tak samo jej użył, jak niegdyś kałamarza w Wartburgu, którym cisnął na diabła, gdy mu przeszkadzał w tłumaczeniu Biblii.



– Czy sądzisz, piekielny smoku, – zawołał – że z pobitymi nieprzyjaciółmi jeszcze wdawać się będę? Uciekłeś, tchórze, na pierwszy strzał, więc masz!

To mówiąc, rzucił Biblię na głowę potwora, który przecież nie umknął, ale rozwarł szeroko paszczę, i pokazał dwa rzędy groźnych zębów. Luter cofnął się przerażony, gdy i słowo Boże nie pokonało tym razem nieprzyjaciela, chociaż przechwalał się, że nim cesarzy, Papieży i wszystkich pobije. Atoli wnet bojaźń ustąpiła rezygnacji, gdy zęby groźne zniknęły, a tylko iskrzące oczy potwora się pokazywały. Jako doświadczony szermierz do ostrzejszej wziął się broni, gdy począł diabłu urągać, w sposób, jak sądził, najskuteczniejszy do pozbycia się czarta (6).

– Cóż twój brat w Rzymie porabia, miły diable? Nie masz jakich nowości z piekielnej Sodomy? Czy zainstalowałeś trzech arcykłamców, onych mnichów *in loco inferni*? Pozdrów mi mile siwowłosego łajdaka, obrzydłego Ambrożego, który mi wyrzucał odszczepieństwo i złamanie ślubów! Teraz może poić się ambrozją i nektarem w twoim państwie, pełnym siarki. Może chcesz go wydobyć z jeziora siarczanego, aby ze mną rozprawiał? Pozwól sobie, miły czarciu, sprowadź Ambrożego czy słyszysz?

Głowa przeraźliwe poczęła wydawać głosy i to w tej samej chwili, kiedy powieszony zakonnik Ambrożego ukazał się we drzwiach namiotu. Na widok tego zjawiska omdlał Melanchton. Reformator zaś, który był przekonany, że czart piekielną siłą Ambrożego wydobył z piekła, aby mu służył w walce z Lutrem, z zimną krwią patrzył na zakonnika. Zwyczajnym był takich zjawisk, a częste, nieproszone wcale napady diabła były dlań zwyczajną zupełnie rzeczą i dlatego pozbył się już onej trwogi, jakiej doznają inni na widok rzeczy tak nadzwyczajnych. Nie uląkł się, ale rozgniewał srodze, bo wiedział dobrze, że diabeł wszystkich używa środków, aby przeszkodzić mu w dziele Ewangelii.

– Jakiś ty łotr! – wyzywał Luter, zwrócony do głowy na podłodze. – Mnie, męża Bożego, mnie, który wydobyłem z błota papieżstwa czyste słowo Boże, który od Boga powołany do urzędzenia na nowo świata i zniszczenia starej Sodomy, mnie, który ogłaszam nieomylnie czystą Ewangelię, mnie, którego późne wieki czcić będą, mnie wciąż prześladujesz, i przyzywasz jeszcze przeciwko mnie pomocników z piekła? Nie, diable! nic mi nie zrobisz! Patrz, śmieję się z ciebie! A jak ci dam szcztka, pęknieś ze złości; bo wiedz, że biedną tę duszę wyrwę z twych szponów.

Po tych słowach zwrócił się do Ambrożego i począł go nawracać.

– Wreszcie przyszedłeś pewnie do rozumu, bracie Ambrożo! Ogień piekielny nauczył cię, gdzie prawdziwa nauka. Ale nie trać nadziei: wyznaj tylko, że moja nauka jest prawdziwym, czystym słowem Bożym, a nauka Papieża kłamstwem i fałszem szatana, a wtedy wnet pójdziesz do nieba.

Zagadnięty wcale jakoś nie spieszył ze zmianą wiary, ale z zadziwieniem patrzył na Lutra.

– Czy wnet? – fukał Luter rozgniewany zwłoką. – Mów, czy przyjmiesz naukę moją?

Ambrożo dał znak głową, że o przyjęciu jego nauki nie myśli. Luter nie posiadał się z gniewu.

– Czy pozostajesz przy twym przeklętym mniemaniu? – wołał Luter głosem, z którego poznać było można, że gdyby jeszcze raz doznał odmowy, nie przepuści więcej. – Powiedz, czy jestem prawdziwym Ewangelistą, czy moje usta są ustami Boga? Czy też jestem, jak twierdzisz zuchwale, kacerzem i burzycielem Kościoła Bożego?

Ambroży schylił głowę na znak, że ostatnie miano, Lutrowi się należy.

– Co? na pośmiewisko wszystkich diabłów tu stać będę? – krzyknął ze złości pieniący się Luter. – Precz z tobą! precz diable! Słyszysz – mówił zwrócony do głowy – rozkazuję ci, weźmij go do piekła! Precz z łotrem!

Szatan natychmiast usłuchał rozkazu reformatora. Zwolna powiększał się potwór, aż wreszcie stanęła w namiocie cała postać najobrzydliwszego człowieka. Jak wściekły, rzucił się potwór na Ambrożego, powalił go na ziemię i utopił długie pazury w szyi zakonnika. Boleśnie zajęknął nieszczęśliwy. Coraz więcej tracąc sił pod przemocą, konać począł. Lutrowi się zdawało, że lucyfer natychmiast odejdzie z ofiarą do piekła, ale jakże się zdziwił, gdy potwór się podniósł i szyderczo się śmiejąc, stanął przed nim. Poznał reformator, że diabeł straszliwie z niego żartował.

– Ktoś ty jest? Jesteś ty człowiek z ciała i krwi, czy osłona diabła? – pytał Luter potwora, który bardzo chciwie spoglądać począł na dzban z winem.

– Jestem Azzo, którego diabłem powszechnie nazywają – odpowiedział potwór głosem odpowiednim brzydkiej jego postaci. – Czy już mnie nie znacie? Toćem ja krzyż niósł w procesji, która was tak ucieszyła!

– Ależ czemu w taki sposób tu przychodzisz? – pytał Luter dalej. – Czemuż z czerwoną głową, podobną na włos do głowy szatana, tak zuchwale lażeś mi w oczy?

– To długa historia! – mówił sapiąc Azzo, przy czym ciągle spoglądał na dzban. – Wprzód gardło wysmarować muszę, bo inaczej na pół drogi utknę, i niczego się nie dowiecie.

– No pijżeż, frant z ciebie nie lada!

Azzo obudwoma rękami uchwycił dzban i lał w siebie wino. Utarł sobie potem, śmiejąc się rozkosznie, usta, i zaczął wyjaśniać cały wypadek.

– Wiecie, iżeście onych trzech mnichów powiesili. Naczelny wódz nie chciał ich życia pozbawić, jeno zamysłał ich potajemnie uwolnić, co przecież niepowetowaną by było szkodą; bo największa rozkosz moja jest patrzeć na papistów wiszących i drgających na gałęziach. Dlatego usiadłem pod dębem i cieszyłem się miłym dla mnie widowiskiem. Wtem nadszedł poważny wódz, zaklął straszliwie i kazał mi natychmiast wszystkich trzech oderznąć. Sam dopomagał mi wniknąć na dąb, a jam pomyślał sobie w duszy: Jeśli jeszcze nie pomarli, to spadając, z pewnością karku nakręcą. Gdy leżeli wszyscy na ziemi, począł wykrzykiwać: och! – ach! hm, hm! poczym z iskrzącymi oczyma zbliżył się do mnie, rozkazał mi wziąć owego łotra umarłego na plecy, i zanieść do waszego namiotu; miałem też powiedzieć, że to wasze dzieło.

Reformator chciał w tym miejscu zrobić jakąś uwagę, ale nie mógł i słowa wymówić, a Azzo mówił dalej:

– Wziąłem tedy wynędzniałego łotra na plecy i dalej w drogę. Wreszcie zaciężył mi bardzo, położyłem go na ziemi i odpoczywałem. Wtem mnich ożył, za com się zresztą nie gniewał; boć mógł sam teraz odbywać drogę; zczekałem więc, dopóki zupełnie nie przyszedł do siebie. Gdyśmy się zbliżyli do namiotu waszego, pobiegłem naprzód, by wam opowiedzieć, co się stało, ale że drzwi znaleźć nie mogłem, dołem chciałem się wcisnąć. Ależ jak strasznie patrzaliście tam na mnie! Wnet odeszła mnie ochota pozostania tam dłużej, i gdybyście mi nie byli rozkazali posłać tego mnicha do piekła, byłbym sobie na czworakach uszedł z namiotu. Otóż i historia. Długa była i zupełnie wysuszyła mi gardło.

Pochwycił znów za dzban i wypił resztę wina. Luter rozkazał wynieść Azzemu trupa, sam zaś błądy przechodził się ze spuszczoną głową po namiocie.

– Śliczna awantura! – przemówił wreszcie. – Miałbym ochotę jeszcze dziś stąd wyjechać.

– I ja bym chciał wydostać się chętnie z obozu – odezwał się Melanchton, – ale noc tak ciemna i straszna, że moglibyśmy łatwo znaleźć grób w jakiej przepaści.

– Nikt temu nie winien, jeno wódz przeklęty. Po cóż mi tego bałwana kazał wnosić do namiotu? To moje dzieło, powiada. Tak samo gadał mi diabeł. Do tego jeszcze ów potwór, podobniuteńki do czarta! Ale, miły diable, nie zastraszysz mnie tak, jak w wieży w Wittemberdze (7). Całe zdarzenie tak dziwne, że bodaj zdarzy się komu podobne w drodze do narzeczonej, ale to żart tylko.

Jakkolwiek Luter wszystkie zbierał siły, aby nie pozwolić tryumfować diabłu i chociaż zbił jego zarzuty dowcipnie i gruntownie, jak mniemał, to jednak z głębokim westchnieniem położył się do łóżka z tym mocnym postanowieniem, że o świcie wyruszy w dalszą drogę do Arnstein.

Przypisy:

(1) *Stud. und Skiz. z. Gesch. d. Reform.*

(2) Luter mówi dosłownie o stosunku swym do diabła w następujący sposób: "Diabeł często mnie już chwycił za głowę, ale zawsze musiał mnie puścić. Powiedziałem mu, coś zacz? toteż rzucił się na mnie, ciężko trapiąc, tak, iż nie wiedziałem, czy żyję, czy nie, do rozpaczony mnie doprowadzał". *Tischred.* Wyd. Lipskie, str. 3. – "Gdy przebudzę się w nocy, jużci diabeł przy mnie; dysputuje ze mną i podsuwa rozmaite myśli, aż się nie obrócę i powiem mu". Wyd. Eisleb., str. 280. a. b. – "Potem zarzucił mi diabeł: gdzie podziałeś klasztory? Jam mu na to: zamknij... – patrz sobie, gdzie twoi bluźniercy". Lipskie wyd., str. 220 i 221.

(3) *De Conciliis.* Wit. cz. II, 504. Wyd. Jen. cz. 5, str. 316. Polski język nie posiada wyzwisk, którymi miotał Luter, a i tak już za wiele przytoczonych dla polskiego ucha. Trudno je przecież pominąć, gdy pragniemy rzeczywisty charakter Lutera przedstawić czytelnikowi. (Przyp. Tłum.).

(4) Doellinger, *Reform.*, cz. III, str. 287.

(5) Nachlese aus. M. Luth. Schr., 592.

(6) Oto są własne jego słowa: "Jeśli nie mógł pozbyć się diabła Pismem św., odpędzałem go urągówiskiem i żarcikami, a gdy mi sumienie obciążała mówiłem doń: Diabło! Narobiłem w spodnie, czyś już powąchał, dopisałeś to już do innych mych grzechów? Również mówiłem mu: Miły diabło! Czy mało krwi Chrystusa za moje grzechy, a jeśli mało, proszę cię, proś Boga za mną". Wyd. Eisl., str. 290.

(7) Przypomina tu Luter tę chwilę, kiedy w Wittemberdze chciał wypędzić diabła z pewnej dziewczynki, przy czym diabeł tak go nastraszył, że począł krzyczeć i oknem chciał wyskoczyć. (Varill. loc. cit. I. 14, p. 31).



Napaść na klasztor zakonnice

~~~~~

"Wy, przyjaciele ludu, pójdźcie za mną  
To za wolność, pokażcie się mężami:  
Ani lord, ani szlachcic żaden ostać się nie powinien".

*Shakespeare.*

Trąby i piszczałki już o świcie dawały pobudkę do wyruszenia przeciw klasztorowi Seelbronn, rokoszanie, po największej części ubrani zupełnie, przeleżeli na ziemi noc całą. Bo suknie ich służyły za skrzynie, w których chowali to wszystko, czego, oczyszczając kościoły i klasztory z błota papieżstwa, nie zniszczyli, ale owszem uznali za godne poszanowania. Dlatego nigdy nie rozłączali się ze zdobyczą. Na pierwszy odgłos trąb cały oddział był gotowy do pochodu.

Na czele postępował poważnie Jan Knopf, trzymając w ręku żelazem okutą maczugę, którą nazwał różdżką Aarona, a którą rozbijał drzwi klasztorne i zabijał bezbożnych Moabitów. Za nim szło około 1000 chłopów uzbrojonych tylko w siekiery i topory, bo nie spodziewali się w klasztorze bezbronnych zakonnice oporu. Przy odgłosie dzikiej muzyki opuścili obóz, wyszydając tych, którzy z bojaźni przed naczelnym wodzem, nie zgadzającym się na zniszczenie klasztoru, w napaści nie chcieli mieć udziału. Skoro tylko opuścili obóz, ucichła muzyka, a podzieleni na kilka oddziałów, biegli chciwi krwi i łupu przez bory do bezbronnego klasztoru zakonnice.

– Trzeba nam było wziąć osły i muły – mówił Geilfuss, jeden z towarzyszków Knopfa; – bo bodaj uniesiemy złote i srebrne przedmioty, których mnóstwo wielkie nagromadziły te czarownice w klasztorze.

Przy tym ocierał pot z czoła, bo ciężar zabranych przedmiotów, a schowanych w sukniach, coraz więcej czuć mu się dawał.

– Najprzód szukajcie królestwa Bożego, a reszta wam przydana będzie – pouczał Knopf, patrząc z pewną pogardą na obładowanego towarzysza. – Kto nie ma szeląga w kieszeni, nie potrzebuje osła ani muła! Ale skoro niebieskie Syjon ugruntowane będzie, wtedy mieszkać będę w jednym z dwunastu pałaców, których kamienie złoto, a podwoje drogie kamienie!

– Ja zadowolę się najpiękniejszym zamkiem w państwie – zapewniał Knoblauch – zamieszkać w nim i dobrze żyć będę. Dostatek już długo wysługiwałem się pysznym panom, którzy teraz przez nową Ewangelię staną się naszymi sługami.

– A kto nam będzie służył – pytał Szpecht – kiedy wszystką szlachtę wymordujemy? Gdyby ode mnie zależało, nie zabilibyśmy ani jednego szlachcica. Niech żyją, a będą sługami naszymi. I zakonnice moglibyśmy zostawić przy życiu, aby mogły zostać naszymi służącymi.

Jan Knopf zatrzymał się, spojrzał z wyrazem wyrzutu na mówiącego i rzekł:

– Czy chcesz ulec pokusie pięknych córek Moabitów? Nie wiesz, co napisano: "wyniszcz je z sługą i służebnicą, niewiastą i dzieckiem, i sprzęty ich spalisz"? Tak mówi Pismo, a kto przeciwnie Pismu św. działa, niech będzie wyrzucon z obozu synów Bożych.

– Nie napisanoż też w Piśmie, że sto żon mieć wolno? – pytał Hopp, człowiek wysoki, z czerwonym nosem, wywróconymi wargami, zdradzający, wedle zdania fizjonomistów, wiele zmysłowych chuci.

– Prawda. Dawid i Salomon mieli wiele żon; gdy będziesz królem, możesz i ty przybrać żon sto – mówił Knopf rozgniewany, że Hopp ośmielił się mówić o Biblii, do której sam tylko prorok prawo mieć sądził.

– Czyśmy nie królami? – zawołało kilka głosów naraz. – Czyż nie powiedział wielki prorok z Wittenbergii, iżemy kapłanami, królami, panami?

– Czyż nie wyłożył jasno – mówił Geilfuss, – że cesarze, książęta, panowie, pozbawieni są godności, bo nie przyjmują czystej Ewangelii, i że my jesteśmy panami tego świata (1). I na cóż przydałaby nam się nowa Ewangelia, gdybyśmy nie mieli być wolnymi, jeno znowu sługami? Królami jesteśmy w państwie Syjon, a kto mówi, iżemy sługami, temu wnet roztrzaskam czaszkę!

– Geilfuss dobrze mówi! panami i królami jesteśmy! – wołało wielu.

– A jeżeli jesteśmy królami – wnioskował Geilfuss – to niech brat Hopp weźmie sobie sto żon, tak samo jak Salomon i Faraon.

Knopf wiedział dobrze, że niebezpiecznie by było sprzeciwiać się w rzeczach, nad którymi wyuzdane chłopstwo dysputowało, dlatego postanowił na ten raz wyrzec się przywileju, mocą którego sam tylko mógł Pismo wykładać.

Że jednak nie mógł zataić w sobie zupełnie gniewu nad zuchwałością chłopów, odezwał się ironicznie:

– Jeśli kobiet pożądamie, weźmijcie ich sobie sto – do tego nie potrzebujecie wcale być królami! Czyż prorok z Wittenbergii nie pozwolił wam brać żon, ile chcecie? (2)

– Właśnie, że pozwolił – odezwał się Hopp – a gdyby nie był pozwolił, wtedy Ewangelia jego nie byłaby warta ani szeląga; wtedy lepiej by było pozostać przy Papieżu.

– Sto kobiet – wtrącił żartobliwie Knopf – to twardy orzech. Sto kobiet chce jeść, nie pozwoli się postawić w kącie jak lalki, jeśli nie będziecie bogatymi królami, wtedy sto kobiet nie zostawi wam włosa na głowie. Nie pouczyłże was Luter, jak te sto żon utrzymać?

– O pouczył! – zawołał Hopp. – Kiedy prorok mówił: "komu mało żony, niech weźmie służbę" wtedy otworzyły mi się oczy. Dziś tu, jutro tam – pomyślałem sobie – stu braci w jednym mieszka miejscu, każdy ożeniony czy rozumiecie, chłopcy? – wszak jest sto żon.

Głośno pochwalono odkrycie Hoppa; nawet Knopf nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– No tak, to rozumiem! – mówił Geilfuss. – W porównaniu z dawniejszymi czasy jesteście królami i wolnymi panami. Pod przeklętym panowaniem Papieża trzeba było zadowolić się jedną żoną, ani odpędzić jej nie mogłeś, choć miałeś jej po same uszy. Teraz, bracia, jesteście zaprawdę książętami, cesarzami, bo mamy wolny wybór. Wszakżeż Luter zrobił z nas królów, którzy żyją w słodkości i radości serca swego. Raczej diabłu się oddam, niż wrócę więzy papieżstwa, – mówił Szpecht. – Trzeba było pracować, cienkie piwko spijać, rybami się żywić, w czasie postu się głodzić, aby zwalczać, jak mówili mnichy, cielesne chucie. Dziś nam inaczej grają: kobiety, pieniądze, dobra, wolność, a wszystkiego w dostatku!

– Ach, a dobre uczynki jak nas dręczyły! – zawołał Knoblauch. – Strach mnie brał, piekło stawało przed oczyma, gdym choć tylko kurkę ukradł sąsiadowi, albo zaklął siarczyście.

– To ustało, jesteśmy wolni, możemy czynić, co nam się podoba. Jakżeż to mówi mnich z Wittenbergii? "Grzesz śmiało, ale wierz a mocno!" – wołały rozmaite głosy.

– Od stworzenia świata nikt lepszego nie zrobił wynalazku! Sama wiara, o jakże to korzystny skarb! – mówił Hopp. – Morderstwa, cudzołóstwa, drapiestwa, wszystkie łotrostwa, które zwolenników Papieża do piekła wtrącają, wedle nowej Ewangelii topią się we krwi Chrystusa Pana! Luter niech żyje! Luter niech króluje – vivat!

Tak wołał a z nim setne głosy, tak iż bór brzmiał cały odgłosem imienia reformatora.

– Chwalcie sobie Lutra – wtrącił Knopf. – Wyzywać Papieża i diabła umie bardzo dobrze. Ale jeżeli twierdzi, że jego usta są ustami Bożymi, wtedy kłamie. I moje usta są ustami Chrystusa, a kto moją naukę potępia tego Bóg potępi.

Stanęli właśnie wszyscy na wzgórku, z którego piękny przedstawiał się widok. W bliskości, na wysokiej górze, która sama jedna wśród urodzajnych wzniosła się niw, pokazał się klasztor Seelbronn. Na widok tych starych, poważnych murów, które po raz ostatni promienie wschodzącego słońca ozłociły, wzniesli chłopci okrzyk największej radości. Wielu wdzierało się na górę z krzykiem radosnym i bronią dobytą. Nadzieja ogromnego łupu wprawiała ich w rodzaj szału, w którym śpiewali i skakali. Knopf nie śpiewał; pochwały Lutra bardzo źle usposobiły zazdrosnego proroka. Wolno wchodząc na górę, zobaczył z drugiej strony góry uzbrojony oddział chłopów, którzy zdawali się oczekiwać oddziału Knopfa.

– Patrzcież, to dziarski oddział z Kirchtal! Czy mieliby zamiar dzielić się z nami? – zawołał Geilfuss zazdrośnie. – Ledwo nasza praca się opłaci, i jeszcze się dzielić? Czyż już nie ma więcej klasztorów w niemieckim państwie?

– Seelbronn do nas należy – odezwał się Knobloch. – Niech mi się tylko odważy ktoś z nich sięgnąć choćby po jeden szeląg z klasztoru!

Tymczasem zbliżył się do obcego oddziału, który wybornie był uzbrojony. Hełmy nawet i pancerze błyszcząły w słońcu. Rokoszanie głośnym okrzykiem się powitali. Geilfuss zadowolił się zupełnie, gdy posłyszał, że oddział z Kirchtalu wcale nie ma zamiaru zabierać skarbów z Seelbronn, a uspokojony, wnet przyjaźń zawarł z nimi.

– A do licha! co za piękną panienkę prowadzą ze sobą! – zawołał Hopp, wskazując na dziewczę, jadącą na ślicznym rumaku w pośrodku oddziału, i patrzącą ze wzgardą na krzyczącą tłuszcę.

Zdaje się, że w podróży wpadła w ręce rokoszan. Ci zaś wcale się nie gniewali, gdy mogli zabrać jaką znakomitszą osobistość i zatrzymać tak długo, aż nie złożyła znacznego okupu. Położenie niebezpieczne nie gniewało pięknej dziewczicy, nie przelękła się też wcale, ale na ślicznym obliczu widoczne były niechęć i wzgarda. Poruszała się z taką pewnością, z takim spokojem, jakby nie w niewoli była, ale raczej prowadziła zbrojny oddział. Przy boku jej jechał człowiek bardzo przyzwoicie ubrany, któremu, sądząc po wybladłym obliczu, nie było obojętnym wcale położenie, w jakim się znajdował.

Podczas gdy Hopp usiłował zbliżyć się do dziewczicy, zwrócił Knopf, uwagę na przedmiot, który zdawał mu się godnym więcej baczości, niż piękna kobieta. Skoro tylko, jak zwyczaj kazał, przywitał się z oddziałem i kilka słów dobitnych wyrzekł o wolności i czystej Ewangelii, zwrócił się do dwóch jeńców, którzy ze związanymi i wskutek tego opuchłymi mocno rękoma szli z oddziałem. Ubiór sam wskazywał, że to wielcy panowie. Ze wzgardą spoglądali po wszystkich, gdy Knopf zawołał:

– Oj, dwóch szelmów schwytaście, dwóch łotrów największych! Co chcecie zrobić z nimi? Może chcecie ich wsadzić w klatki i żywić jak inne wielkie pyszne zwierzęta? Tak, tak, moi zacni panowie! – mówił, zwrócony do jeńców – wnet wielkich panów będzie mniej w niemieckim państwie, niż niedźwiedzi! Dlatego byłoby dobrze, gdybyśmy kilku żywo schwytaли i osadzili w klatkach.

Głośny śmiech nagroził ten żart Knopfa.

– Co myślicie, bracie Knopf? – mówił Eisenhut, dowódca oddziału z Kirchtalu.

– Oddział z Eszbach wydał nam ich; mnie się zdaje, że najlepiej będzie, jeżeli ich razem z innymi panami przepuścimy w piątek przez różgi. Wszystkie oddziały chłopów, rozrzucone w Turyngskim borze, zbiorą się na to widowisko (3).

– Mnie się zdaje – przerwał Knobloch – że lepiej zostawić im życie, aby byli naszymi sługami.

– Ale kogóż tam macie? – pytał Geilfuss, wskazując na rumaka. – Czy to zakonnica, czy córka jakiego księcia? Tej przecież byłoby szkoda na różgi.

Chociaż krzyk nie pozwolił dziewczicy dosłyszeć słów Geilfussa, to przecież widząc, że wszystkich wzrok zwrócił się na nią, spuściła, rumieniąc się, oczy ku ziemi.

– Schwytaliśmy ją na drodze – odpowiedział Eisenhut. – Ponieważ wszystko, co nie chodzi w chłopskim ubraniu, jest wyjęte z pod prawa, zabraliśmy ją; sto złotych wykupu zawsze przyniesie.

– Piękne stworzenie, zaprawdę! – mówił Knopf, zbliżając się do rumaka, zmartwiony w duszy, że wysoki wykup nie w jego dostanie się kieszeń. – Jak wam na imię, piękna pani? – zapytał szyderczo, schylając głowę.

– Niepotrzebne wcale pytanie – odpowiedziała bez trwogi dziewczica. – Nie dosyć że napadacie bezbronnych podróżnych, jeszcze wyszydzacie ofiary waszych gwałtów. Tym razem nie ujdzie wam sprawka na sucho!

– A! do kata! Toć ona mówi, jakby cesarzową była! – zawołał Geilfuss. – A czy wiesz, ty gołąbko, że nam diabli do tego, kim ty jesteś? U nas nie ma cesarzy, ani książąt, ani panów, a jeśli co wnoszę z pięknej twej twarzyczki – przeznaczoną jesteś jakiemu paniątku, to niech sobie poczeka, aż nam się podoba za dobrym okupem wydać jego miłą.

Dziewica zarumieniła się mocno na gburowate uwagi, a spojrzawszy pogardliwie na Geilfussa, spuściła oczy ku ziemi.

– Milcz, Geilfuss! grubianin z ciebie! – mówił Eisenhut. – Póki żyć będziesz, nie będziesz miał powodzenia u kobiet. Znam się na tym lepiej od ciebie – mnie zaraz powiedziała imię swoje, i gdyby nie ta sowa – tu wskazał na towarzysza dziewczicy – już dalej byłbym w jej łaskach. Może zyskam jej względy, a skoro przychylną mi się stanie, bez wykupu stąd wyjedzie, nieprawda, Kasieńku?

– Wstydź się, bracie! – odezwał się Knopf, któremu pieniądze wykupu wciąż brzmiały w uszach. – Z kobietami nie wdawaj się, kiedy jeszcze tyle potrzeba nam usunąć ze starego papieżstwa. My tu przepasani i uzbrojeni stoimy, aby zniszczyć gniazdo piekielne, a potem w walce z panami przelewać krew, która Jehowie miłą będzie ofiarą, a ty z babami jeździsz po świecie! Nie jestże napisane, że kobiety zepsuły serce Salomona tak, że odstąpił od Boga swych ojców, a udał się do bożyszczów? Chcesz być mędrszym od Salomona?

Pamiętaj sobie, co Duch Święty mówi przeze mnie: ta piękna Moabitka odwróci serce twoje od czystej, wolnej Ewangelii, a zwróci je do bożyszczka papiestwa!

– Nie bój się, oświecony Knopfie! – odpowiedział Eisenhut. – Najmniejszej nie mam ochoty zostać papistą, dopóki bogate jeszcze istnieją klasztory i piękne zakonnice. Mniejsza o to: niech sobie Kasia jedzie; już i tak prawie za wiele patrzałem w filuterne jej oczęta, które mogłyby człowieka doprowadzić do odstępstwa, zwłaszcza jeżeli jest Moabitką.

– Bardzo słusznie! – pochwalił Knopf. – Jeśli przejdzie próbę, niech sobie jedzie. Ale wpierw niech przypatrzy się sądowi, jaki Jehowa uczynił w gniewie swym nad bałwochwalcami. Jeśli tam, w górze – mówił, wskazując na klasztor – nie wypędzimy z niej wszystkich diabłów papieskich, to i piękne oczęta nic jej nie pomogą. Bracie Geilfuss, patrz, aby ci się nie wymknęła! I tego łotra w czarnym płaszczu miej na oku. Teraz naprzód! – uderzcie w trąby! Naprzód! synowie Boży! – wołał Knopf uradowany, że jemu dostanie się bogaty okup.

Rokoszenie wyruszyli. Geilfuss prowadził rumaka, przy którym ciągle postępował towarzysz dziewczicy.

Knopf stanął przy Eisenhucie.

– Dokąd wy właściwie idziecie? – pytał.

– Najpierw pójdziemy po oddział z wsi klasztornej – odpowiedział Eisenhut. – Potem ruszymy przeciw chłopom opata z Mersfeld, którzy nie chcą się z nami łączyć i nawet bronią popów. Zagramy im tak, że będą musieli z nami tańczyć (4).

– Z tego widać, że wasz naczelnik ma Ducha Bożego, gdy tymczasem naszego diabli opętali – mówił Knopf. – U was aż miło, ale nam trzeba by chyba zostać papistami, gdybyśmy tańczyli wedle przeklętej piszczałki Roteneka.

– Ale co najgłośniejsza – mówił Eisenhut dalej, – gdy się wszystkie oddziały zbiorą, napadniemy hrabiego z Arnstein. Podskubiemy go trochę, a przede wszystkim nawiedzimy bogaty klasztor, który zostaje pod jego opieką.

– Takie wasze plany? – zawołał Knopf zdziwiony. – Chcecie się odważyć na Wenera z Arnstein? To za wiele! – i kiwał głową. – Wenera da wam się we znaki. Ma on ciągle cały oddział zbrojnych sług; przy tym siedzi w takim gnieździe, że chyba diabeł tam się dostanie.



– My do niego nie pójdziemy, byle on do nas nie zeszedł – mówił Eisenhut ze śmiechem. – Nam wcale nie chodzi o zażartego pana, nam chodzi o to, abyśmy bogactwa klasztoru zabrać mogli, a w tym pewnie nam będzie chciał przeszkodzić!

– Wiesz co, bracie? – mówił Knopf po krótkim namyśle, a z twarzy jego widać było, że trapi go straszna zazdrość na wspomnienie, iż kto inny ma się obłowić łupem z bogatego klasztoru. – Hrabia niezawodnie ze swymi krukami uderzy na was i niejedna głowa spadnie z karku, dlatego po bratersku was wspomóżemy. Zresztą koniecznym jest, aby rozproszone oddziały się połączyły, bo rozchodzi się smutna wieść, że jakiś Jerzy Truchzes z synami Baala strasznie dokucza synom Bożym.

– Dobrze – zawołał ucieszony Eisenhut. – Na środę bądźcie gotowi, a ja mnichem będę, jeżeli nie zdobędziemy klasztoru i hrabiowskiego zamku!

Umówiwszy się bliżej o miejsce zboru, rozeszli się. Eisenhut w jedną stronę, Knopf z oddziałem swoim w drugą pospieszył. Bliskość klasztoru, a raczej żądza posiadania nagromadzonych tam bogactw, u wielu też gorliwość w szerzeniu nowej Ewangelii i niszczeniu papieżstwa dodawały chłopom coraz więcej bodźca do pośpiechu. Towarzysz dziewicy usiłował kilkakrotnie pomówić z towarzyszką, ale zawsze Geilfuss, idący między nim a Katarzyną, stawał w drodze. Wreszcie wjechali w wąziuteńki przesmyk, tak, że Geilfuss musiał pozostać w tyle, nie mogąc iść po boku.

– Na miłość waszego narzeczonego zaklinam was – mówił cicho towarzysz – nie dajcie się poznać, bo inaczej oboje zginiemy! Nie zapominajcie, że te oddziały należą do owych fanatyków, którzy na własną rękę wykładają Ewangelię, i tak samo nienawidzą wielkiego reformatora, jak Papieża!

– Znadto jesteś trwożliwy, panie Koppe! – odpowiedziała Katarzyna. – Ludzie ci oczywiście mało mają okrzesań, skłonni są do gwałtów, ale zresztą nie są zdolni szkodzić tym, którzy nie mniej od nich brzydzą się papieżstwem. Jeśli chłopci sami Biblię tłumaczą, jak powiadasz, to tylko korzystają z prawa, które im wywalczył wielki Marcin Luter, którego więc nie mogą nienawidzić, jak wam się zdaje, ale kochać i poważać go muszą; boć mąż ten, wszelkiego godzien podziwu, zerwał ich pęta i uczynił ze sług, z niewolników, ludzi wolnych!

Słowa te z wielkim mówiła uniesieniem, dając poznać, jak wysoko ceni reformatora.

– Mylicie się, pani! – odpowiedział Koppe. – Stosunek wasz z Lutrem sam jeden starczy do ściągnięcia na nas najokropniejszego prześladowania. Zamilczcie, na Boga, i nie powiadajcie, do czego was Niebo powołało!

W słowach Koppego tyle było trwogi, że Katarzyna mimo woli się rozśmiała. Z wdzięczności przecież dla wiernego towarzysza podróży obiecała, że zamilczy o tym, co go tyle nabawiało trwogi.

– Lecicie jak szaleni! – zawołał Knopf, który zadyszany stanął przy boku Koppego. – Każdy chciałby pierwszym być u diabłego gniazda, ale bez ducha onego, który Knopfowi zawsze właściwą wskazuje drogę, nikt tam nie wnijdzie, ani nie znajdzie, czego szuka.

– Klasztor opasany wysokim murem, – zauważył Geilfuss – ma też mocne bramy. Napracujemy się przy nich niemało.

– Mocne zamki zdobywaliśmy, – mówił Knopf, – a nie mielibyśmy tej jaskini starego Babilonu zdobyć? Mnie zostaw troskę! Złożymy dzisiaj Jehowie ofiarę, nad którą niebiescy aniołowie radować się będą. Ołtarzem będzie pałacy się klasztor, ofiarą zakonnice – te czarownice i przeklęte sługi diabelskie!

– Czy wiele już podobnych ofiar złożyliście Panu – zapytała Katarzyna, której niewieście uczucie, na samą myśl o strasliwym zamiarze, bardzo było zranione.

– O bardzo wiele! – odpowiedział Knopf. – I myślę, że nie prędzej pójde do nieba, dopóki wszystkie mnichy i mniszki nie będą w piekle. Ale czemuż pytasz się o to? Czybyś chciała wystąpić w obronie zakonnic?

– Wcale nie! – odparła Katarzyna. – Zakony razem z haniebnymi ślubami dawno mi już zbrzydły. Atoli, wedle mego zdania, byłoby więcej w myśl Ewangelii nawrócić zakonnice, aniżeli je spalić albo powiesić.

– Zupełnie słusznie! I dlatego właśnie zabrałem cię, abyś je nawróciła – zapewniał Knopf. – Sam nie będę się kalął Moabitkami. Ale jeżeli nie porzucą bałwochwalstwa, tedy: "pobij je ostrzem miecza!" mówi Pismo!

Koppe doświadczony, poznał od razu, że Knopf jest z rodzaju onych fanatyków, którzy dają się porywać namiętnościami, co prędzej więc postanowił z tego skorzystać.

– Wybór wasz nie mógł być lepszym, bracie Knopf – jest on zarazem jasnym dowodem, że macie Ducha Bożego. Ale ten duch powinien wam być objawić, że moja siostra – tu dziewica ze zdziwieniem spojrziała na towarzysza – jest w ręku Boga wybranym naczyniem. I ja szczęśliwym się czuję i dziękuję Opatrzności, która sprawiła, że mogłem poznać proroka, którego sława po całym państwie rozszerzona.

To mówiąc, zsiadł z konia i prosił, aby Knopf usiadł na nim, bo czuje się niegodnym siedzieć na koniu, gdy wielki prorok piechotą idzie. Knopf nie posiadał się z radości na wieść, że jego sława rozeszła się po świecie. Przytłumił jak mógł uśmiech radosny, wywołany pochlebstwem, i poważnie odrzucił propozycję Koppego. Przebiegły Koppe poznał, że we właściwą uderzył strunę, i ceną małego pochlebstwa zupełnie sobie zjednał Knopfa.

– Gdyby Eisenhut był was zabrał z sobą – zapewniał Knopf – nie bylibyście wydostali się z rąk jego bez wielkiego okupu. Ale mnie poddał Duch, że jesteście gorliwymi sługami czystej nauki, dlatego wydarłem was z rąk jego. Skoro tylko napasiecie wzrok wasz całopaleniem, jakie ofiarujemy Jehowie, pojedziecie bogato udarowani bez wykupu do domu. Mamoną brzydzę się bardzo.

Tu skłamał prorok, bo tylko żądza sławy przytłumiła w tej chwili zbytnią chciwość jego. Pod suknią nosił wór, w którym nie chował szelągów ani rzeczy małej wartości, jak inni nie dosyć mądrzy, ale mieścił w nim złoto i perły, które zdobiły święte naczynia w kościołach.

Rokoszanie stanęli tymczasem przy górze, na której wznosił się klasztor. Jedni, nie patrząc wcale drogi, szli wprost na klasztor, drudzy trzymali się wąskiej drożyny i niszczyli z rozkoszą stojące tu i owdzie stacje męki Pańskiej. Stacje te były z kamienia bardzo starożytnego, a dla sztuki było ich zniszczenie niepowetowaną stratą. Patrząc na chłopów, niszczących wszystko, zdawało się, że już nic nie ma pozostać w dawnym porządku, ale że wszystko ma być zniszczone, przestawione, przemienione. Prześliczny ogród poza murami klasztoru zniszczono w okamgnieniu. Siekierami wyrąbywali krzewy, wyrwali kwiaty, tłukli szkła, a to z wściekłością, której opisać niepodobna. Co pierwsi zostawili, następni niszczyli do szczętu. Z krzykiem i hałasem stanęli przed furką klasztorną i natychmiast zabrali się gorliwie do jej wysadzenia.

Knopf odróżnił się od chłopów. Spokojnie, z uroczystym jakimś uśmiechem, wchodził na górę. Przysłuchiwał się, jak Koppe sławił wielkiego proroka Turynгии i wmawiał weń, że jemu jest przeznaczony urząd państwa

Syjon po upadku zupełnym papieżstwa. Pochwały były tak jaskrawe, że prorok raz po raz badawczo spoglądał w oczy pochlebcy, ale Koppe z taką powagą przemawiał, tak zgrabnie rzecz umiał ułożyć, że Knopf musiałby być nie tyle zarozumiały i więcej mądry, by się mógł poznać na podstępnie.

Skoro weszli na górę, zaprowadził Knopf nowych znajomych w miejsce, skąd całe widowisko mogli mieć na oczach, i dokąd im obiecał przysłać wszystko, co najlepszego znajdzie się w sklepie i spiżarni klasztoru. Poczym udał się do wrót klasztornych, w które uderzono z całą siłą i gwałtownością. Runęła wreszcie brama z trzaskiem, chłopstwo jak potok wlało się na podwórze klasztorne. Chciwymi oczyma śledzili wszędzie, ale żywej duszy zobaczyć nie mogli: wszędzie najpiękniejszy porządek, nic do rabunku i grabieży – a przed nimi wspaniały kościół, dzieło sztuki XIII stulecia. Na kościół tedy uderzyli. Cały fronton kościoła prześliczny przedstawiał widok. Od dołu do samej góry wyrzeźbione były z kamienia malownicze grupy ludzi, zwierząt i roślin. Po bliższym rozpatrzeniu się poznać w nich mogłeś wypadki najważniejsze z Pisma św., od stworzenia świata począwszy, aż do żywotów Świętych Pańskich Kościoła katolickiego. Wszystko z przedziwnym oddane wdziękiem, a z takim wyrazem, że na pierwszy rzut oka wiedziałeś, iż masz przed sobą świątynię żywego Boga. Do chłopów atoli inaczej przemawiały prześliczne posągi: im się zdawało, że wołały na nich, aby zniszczyli bałwany papieżstwa, czego też z rozkoszą dopełnili. Wściekli, rzucili się na wyborne dzieła sztuki. Wnet szczątki ich pokryły ziemię, gdy inni bramą kościoła dobywali się do wnętrza.

Knopf poznał, że przez bramę, okutą mocno, trudno będzie dostać się do kościoła. Oglądał się więc za innym wniścieniem. Zobaczywszy okno klasztoru, tuż do kościoła dotykające, rozbił je maczugą i z wielką zręcznością wskoczył do celi. Prędko ją przebiegł, nie zwracając wcale uwagi na obrazy Świętych, które napotykał, a które w innym czasie byłby z pewnością zniszczył, biegł prędko, z widoczną znajomością położenia, przez kilka cel, wskoczył na ganek, rozbił małe drzwi i znalazł się w zakrystii. Tu otworzył maleńką szafkę, wzgardził stojącym tam złotym kielichem, ale porwał kluczyk, otworzył drzwi, prowadzące do kościoła, i sunął do prezbiterium, gdzie zakonnice, zakryte welonami, na klęczkach się modliły, przerażone każdym uderzeniem siekiery do tego stopnia, że nawet nie spostrzegły wchodzącego Knopfa. Knopf nie zatrzymał się wcale, otworzył co prędzej tabernakulum i wyciągnął puszkę, drogimi kamieniami wysadzoną. Najpiękniejsze kamienie z wielką znajomością rzeczy natychmiast wydobył i z zadowoleniem schował do worka. Poczym zamknął tabernakulum i pobiegł otworzyć drzwi szturmującym.

Z tryumfującym krzykiem wpadli chłopci do kościoła, biegnąc wprost do ołtarzy. W okamgnieniu zniknęły srebrne lichtarze. Relikwie Świętych, odarte z ozdób bogatych, deptali na podłodze i zabrali trzy przepyszne kielichy. Knopf z maczugą stanął przy tabernakulum i przypatrywał się z zadowoleniem robocie rozbestwionej tłuszczy. Wreszcie zrzucano obrazy ze ścian. Złoczone ramy znalazły się w krótkim czasie w fałdach szerokich sukien chłopskich, obrazy same uległy zniszczeniu. Do wielkiego ołtarza nie dopuścił Knopf nikogo. Dopiero gdy wszystko w kościele było zniszczone, rozbił sam tabernakulum i porwał w świętokradzką dłoń kielich. Powoli zdjął przykrycie i złośliwie się śmiejąc, wpatrywał się w Najświętszy Sakrament. Podniósł potem kielich w górę i zawołał:

– Patrzcież, bracia, tu największa zgroza papieżstwa! Tym okłamywał antychryst ludzkość! Marcin Luter w tym jednym nie zbłądził, gdzie powiedział: "Msza jest przeklętym bałwochwalstwem – mniej by mnie bolało, gdybym był wszetecznikiem albo zbójcą, niż że przez piętnaście lat bluźniłem Chrystusowi, ofiarę składając Mszy" (5). Bracia! to prawdziwy potwór, który pozostawił po sobie tyle złego. Precz z potworem!

To mówiąc wysypał Najświętsze Hostie na głowy chłopów, którzy klnąc, deptali Ciało i Krew Zbawiciela (6), przy czym tak krzyczeli, że jęki zakonnic, patrząc z krwawym sercem na znieważenie najświętszych rzeczy, przebrzmiewały niedosłyszane.

Knopf zapytał o dwóch, którzy najpierwsi wdarli się do klasztoru, i nagroził ich gorliwość puszką i monstrancją.

– Moja nagroda – mówił z dumą, – to zburzony dom starego Babilonu, i drgająca jeszcze ofiara na ołtarzu Pana!

Tu wskazał na drżące zakonnice, do których natychmiast zbliżyło się nielitościwe chłopstwo, sprośnymi dowcipami raniąc dziewicze serca bezbronnych ofiar.

– To wszystko do niczego! – odezwał się Knoblauch ze śmiechem, widząc podeszłe wiekiem i długim umartwieniem wychudłe niewiasty. – Ledwo na szubienicę zdadne!

– Jeno wolno, bracie Knoblauch! – zawołał Hopp – tam oto jakaś piękna gołąbka! – I wskazał na smukłą zakonnicę, która wpadła w lubieżne jego oko.

Kłęcząca nachylona ku ziemi, trzymając chusteczkę przed twarzą. Podczas, gdy chłopcy inne zakonnice okropnie poniewierali, podniósł Hopp kłęczącą i gwałtem oderwał jej chustkę z twarzy, ale wnet odskoczył z największym przerażeniem. Bo zakonnica piękna oberznęła sobie górne wargi i tak zeszpecona, blada z bóleści i strachu, podniosła łzawe oko na bezbożnika. Wiedzieli okrutnicy, czemu niewinna dziewczica tak straszną zadała sobie ranę, ale dla nich nie było już nic świętego i wspaniałego, – bohaterski uczynek zakonnicy jeszcze ich więcej rozwścieklił. Tylko wiecznie trwająca nienawiść złego ku cnocie może do podobnych popychać czynów, jakich się chłopcy dopuszczali. Złość odebrała im godność ludzką, a popychała do zbrodni, które zamilczeć potrzeba.

Knopf poił się widokiem bóleści i katuszy, na jakie wystawione były zakonnice. Gdy prawie wszyscy rozbiegli się, aby dokonać zniszczenia, odezwał się do nich surowo:

– Godzinę macie czasu! Jeśli po upływie tego czasu, nie wyrzeczecie się bałwochwalstwa i nie uznacie, że ja, Jan Knopf, jestem prorokiem Boga, znajdziecie się wnet w szponach diabła.

Odszedł, zamknąwszy drzwi za sobą.

Chłopcy przeszukali tymczasem wszystkie kąty klasztorne; uderzali w ściany, szukając zamurowanych skarbów, i gdzie najmniejszy posłyszeli odgłos, natychmiast robili otwór, ale nigdzie nic znaleźć nie mogli. Żywności było wiele, ale złota daremnie szukali. Taki zawód okropnie ich rozgniewał, a że nie mogli na czym innym, na obrazach, wiszących w celach, się mścili. Ręce, nogi, skrzydła aniołów wylatywały oknami na dowód, że chłopcy wierni są życzeniu reformatora i gorliwie "oczyszczają wszystko z błota papieżstwa".

Najstaranniej atoli przeszukali sklepy. Za małe one były, aby wszystkich pomieścić mogły, wywlekli więc kilka beczek i w krótkim czasie je wypróżnili. Nagłe picie wnet zawróciło głowy, a pijana tłuszczka już nie umiała nałożyć hamulca słowom ani uczynom. Wielu krzyczało, aby im wydać zakonnice, ale na widok okropny tych najnieszczęśliwszych istot, cofali się z przerażeniem. Inni pooblóczyli suknie kapłańskie i naśladowali w nich święte czynności służby Bożej. Inni okryli się welonami zakonnicy i przysięgali, że spalą stare czarownice. Ale i na takich nie zbywało, którzy rozważniej brali się do dzieła i starannie pakowali zabrane przedmioty, aby z nowej Ewangelii nie tylko przemijającą mieli radość, ale i dłużej trwające bogactwa.

---

### **Przypisy:**

(1) *Stud. u. Skiz. Luth. Verbind. d. Bauern.*

(2) *Von. ehel. Leb. Wit.*, cz. II, 6.

(3) *Stud. u. Skizz. d. Edlen v. Weinsberg.*

(4) Mieszkańców wsi, którzy nie łączyli się z rokoszanami, zmuszano do tego gwałtem, albo w razie oporu mordowano ich najokropniej. – Joseph Edmund Jörg, *Deutschland in der Revolutionsperiode* (od 1524 do 1546).

(5) *Tischr.* Lipsk, 234. b.

(6) Jörg, *Deutschland in der Revolutionsperiode* (od 1524 do 1526).

---



# Okropny widok

~~~~~

"Tłum odarty, bez serca, bez litości,
chłopów tłuszcza to wojsko jego".

Shakespeare.

Koppe, stojąc przy boku pięknej swej towarzyszki, przypatrywał się okropnej robocie chłopów, niszczących wspaniałą kościół. Długo wpatrywał się w tę piękną gotycką budowę, a patrząc na jej zniszczenie, nie mógł utaić w sobie głębokiej bólesci. I rzeczywiście tylko wściekła zagorzałość ewangelików mogła niszczyć wszystkie dzieła papieżstwa, wydierać potomności najpiękniejsze dzieła sztuki. Nie wielkością zadziwiał kościół, bo obliczony był prawie li na małą gromadkę mieszkańców klasztornych, ale wysokie gotyckie okna, smukła, a starannie wykończona prześliczna wieża, ozdoby gzymsów nad oknami i drzwiami, jednym słowem myśl przebijająca w całej budowie, robiły ogromne wrażenie. A chociaż dom ten Boży stał na ziemi, wszystko w nim zdążyło ku niebu, jakoby tam była ojczyzna tego ducha, który znakomite to dzieło sztuki stworzył. Budowniczy snadź, układając plan budowy, w modlitwie szukał natchnienia, dlatego dzieło jego było jakoby z kamienia wykute nabożeństwo, jakoby modlitwa uwieczniona.

Gdy Koppe tak rozmyślał nad kościołem, towarzyszka zupełnie innym oddawała się myślom. Z oblicza jej biła jakaś niespokojność. Uniesienie dla reformatora, z jakim niedawno o nim mówiła, ustąpiło miejsca jakiejś dziwnej powadze. Szybkimi krokami przechadzała się w tę i ową stronę, a gdy ją doleciały głosy dzikiej wrzawy, zdawało się, że jakieś wyrzuty ją trapiły. Prędko wybiegła naprzeciw Knopfa, gdy zobaczyła, że zbliża się z dzbanem wina i koszykiem, pełnym potraw.

– Gdzie są zakonnice? – pytała Katarzyna gwałtownie, tak, że Knopf aż stanął z podziwienia. – Czy już wyrzekły się swoich błędów?

– Ach! prawie byłbym zapomniał o nich! – odpowiedział Knopf. – Prawda! toć to ty miałaś te Moabitki nawracać!

– Tego chcę, przyjacielu, i zobaczysz, że nie na darmo trudzić się będę!

– Aż do sądnego dnia możesz nawracać – mówił Knopf ze śmiechem. – Zesiwiałły one w papieństwie, nie pozwolą, choćby tak miłej, jak ty, dzieweczce wyrwać się ze szponów diabła. Ale rób, co chcesz. Wpierw atoli może skosztujesz coś z mych potraw?

– Potem – mówiła Katarzyna z przyciskiem, i kazała się koniecznie prowadzić do zakonnice.

Choć niechętnie, zaprowadził ją jednak Knopf do kościoła. Cokolwiek tylko uchylił drzwi, tak, że Katarzyna ledwo się wcisnęła, i natychmiast je zamknął. Sam zaś powrócił do Koppego, aby przy jadle i picciu usłyszeć kilka słów pochwały.

Spustoszenie w kościele niemałe wrażenie zrobiło na Katarzynie.

Przeraziła się zaś na widok ofiar, które więcej już leżały, niż klęczały w ławach. Zwolna zbliżyła się do nich, i nie wiedząc co począć z sobą, stanęła przed nimi, kilkakrotnie pragnąc przemówić, ale słowa zamierały jej na ustach, a przerażenie się wzmagało. Wreszcie podniosła przełożona, wiekiem poważna, mdłe oko ku niej, a chociaż jej widok jeno miłosierdzie mógł wzbudzać, zadrżała Katarzyna przed jej wzrokiem, jako drży zbrodniarka przed sędzią, który zdaje się przenikać jej wnętrze. Wszystkich dobywała siłą, aby się uspokoić, i tak wreszcie drżącym głosem rozpoczęła swą naukę:

– Smutny wypadek zmusza mnie do oglądania nieszczęścia waszego, pobożne niewiasty; ale w tym, zda mi się, Boskie jest zrządzenie, gdyż mam środki, za pomocą których mogę was okrutnej wyrwać śmierci.

Na słowa łagodne a troskliwe, podniosły zakonnice powoli głowy i poczęły się wpatrywać w mówiącą.

– Nasza śmierć już postanowiona, moje dziecię! – odezwała się przełożona. – Ale z radością jej wyczekujemy, bo umieramy za wiarę katolicką.

– Wiary wam nikt wydzierać nie chce – mówiła dalej Katarzyna – wyrzeczcie się tylko waszych ślubów, które nie są z woli Boga, jeno wymysłem Papieża.

– Choćby też nasze śluby – odrzekła zakonnica – nie były zalecone przez Założyciela naszej św. religii, to przecież nie wolno nam się przemieszczać ciężkim obowiązkom i łamać przysięgi, którą złożyłyśmy uroczystie przed ołtarzem Pana! Wiarolomne zakonnice, to niegodne stworzenia; Bogu skłamały i Zbawicielowi, któremu wieczną przysięgły miłość!

Słowa te bardzo dotknęły Katarzynę; spuściła oczy ku ziemi i nagle się zmieniła.

– I ja zastanawiałam się często – mówiła Katarzyna dalej – nad dowodami, jakie przytaczają uczeni mężowie, aby wykazać, że śluby nie mają znaczenia. Może i wy niewinnie trwacie dotąd w błędzie – nie schodźcie więc z tego świata dla pobożnego obłędu...

– Z zupełnym przekonaniem umieramy – odpowiedziała zakonnica poważnie. – My wiemy, że trzeba umrzeć, bo gdy chodzi o wybór między odszczepieństwem a śmiercią, zawsze ostatnią wybieramy. Nie dla pobożnego obłędu umieramy: czterdzieści lat noszę zasłonę, miałam więc czas do zastanowienia się. Cieszę się, że czterdzieści lat jestem oblubienicą Pana, że nikogo innego nie szukałam, ani nie miłowałam, jeno Jego samego.

Ciepło i namaszczenie, z jakim przemawiała zakonnica, więcej niż zarzekania się wszelkie przekonywały, że stanowczo dla świętej sprawy śmierć ponieść pragnie. Katarzyna wzruszona była taką mową. Błada i drżąca oparła się na krawędzi ławy. Widać było na jej obliczu, że uczuła, jaka wina ciążyła na jej duszy; sumienie poczynąło się budzić.

Z okropnego położenia wyrwali ją chłopci, którzy się wdarli do kościoła.

– Czyż nie powiedziałem, że na próżno będziesz się trudziła – zawołał Knopf.

– Teraz odejdz, czas łaski minął! Umrzeć muszą i pójść do piekła, gdzie będą się smażyć do dnia sądnego!

Katarzyna wybiegła co prędzej. Rokoszanie jeszcze tu i owdzie przeglądali sprzęty, aż ich Knopf z kościoła wydalili. Sam też wyszedł po chwili, zamknąwszy drzwi, prowadzące z kościoła do klasztoru.

Niedługo potem gęsty dym wydobywał się przez dach, płomień poczęły ogarniać wiązanie, pokrycie pękało i na wszystkie rozpryskiwało się strony. Z trzaskiem zawalił się dach, wiatr przerzucił ogień na budynki klasztorne, które w kilku miejscach od razu palić się poczęły.

Chłopi radowali się na widok zupełnego zniszczenia. Zaśpiewali pieśń wolności i cieszyli się, że rzymskie bałwochwalstwo ginie. Wrzaskliwe ich śpiewy łączyły się z łoskotem zapadających budynków, a oni nie zważając na wpadające w dziedziniec żarzące się głownie, tańczyli w koło, jak demony piekielne wśród ognia. Knopf stał na uboczu, przypatrując się, z piekielnym

uśmiechem, z założonymi rękoma oczekiwał ostatniej chwili swych ofiar. Przytłumiony łoskot, a potem przerażający trzask zwiastowały, że sklepienie kościoła się zapadło i zgmiotło zakonnice. Wiązanie dachu na kościele runęło do kościoła, a wysokie słupy dymu i ognia wzniosły się ku niebu. Wieża tylko z kamienia pozostała i czarne mury na świadectwo dla potomnych, jakie barbarzyństwo tu gospodarowało, i gdzie cnota i wiara zwycięstwo odniosły.

Dokonawszy zniszczenia, zabierali się chłopci ze zrabowanym łupem do powrotu. Koppe przyprowadził konie, które pasły się poza murami klasztoru. Katarzyna chwiejąc się, dosiadła rumaka. Przejeżdżając około bramy kościoła, dojrzała wśród dymiących się zgliszczy przywalone zakonnice, widok których ją na nowo wprowadził w trwogę. Koppe z niemałym zdziwieniem patrzył na zmienione rysy pięknej towarzyszkii. Na pytanie, co by jej było, nie odebrał odpowiedzi. I gdyby sam nie był prowadził rumaka Katarzyny, bodaj bez przypadku byliby wyjechali z ruin klasztornych.

Knopf prędko znalazł się przy nich

– Prześliczny poranek, nieprawda? – zawołał, zarzucając maczugę na ramię. – Ale coż to tam za hołota? – mówił gniewliwie, wskazując na gromadę ubogich i kalek, wchodzących na górę z okropnym narzekaniem i płaczem.

Z gromady uderzała najbardziej wysoka niewiasta z dwojgiem dzieci. Błada, z czerwonymi oczyma, stała boleścią zdjęta, patrząc na przechodzących, aż nie dopatrzyła Knopfa.

– Czego chcesz ode mnie, kobieto? – pytał Knopf, gdy się zbliżyła do niego. – Czy prorok Jan ma ci wskazać drogę, która do nieba prowadzi? Albo czy mam uleczyć chromych i ślepych mocą prawej Ewangelii? Później przyjdźcie. Dopóki choć jeden tylko papista żyć będzie i gniew Boży sprowadzać na ziemię, Knopf, prawy ewangelista Boży, apostoł i prorok nie będzie czynił cudów.

– Co – ty cuda chcesz czynić? – wołała niewiasta zastępując Knopfowi drogę. – Nie chcę od ciebie cudów, ale chleba dla moich dzieci, które jadły ze stołu klasztornego, a któryś ty spalił!

– Cierpliwości, kobieto, czekaj! – mówił Knopf. – Wnet będziesz jadła chleb państwa Syjon, abyś ty i dzieci twoje nigdy nie łaknęły.

– Co mówisz, łotrze? ty proroku kłamstwa, ty antychryście! – krzyczała rozgniewana niewiasta. – Czy ty nas przyodziejiesz, czy ty nas nakarmisz?

– Precz, szatańska babo! – zawołał Knopf. – Przepuść mnie, albo ci łeb rozwalę!

– Bij, morderco! bij, ty psie piekielny! – krzyczała niewiasta z rozpaczą.

– Powróć nam zamordowane zakonnice, oddaj nasz chleb, nasze życie!

– Złam kark, przebrzydły morderco! – wołał chromy, podnosząc groźnie krukiew.

– Czy wymyjesz co dzień rany nóg moich? Czy masz maści na ich zagojenie? pokarm na zaspokojenie mego głodu? Przeklęty potworze! zabij nas, jak zabiłeś święte i niewinne dziewice!

– Klątwa na ciebie – mówił inny ubogi. – To dla ciebie ma ginąć żona moja z głodu, która na krwotok cierpiąc, przez dwanaście lat jadła chleb z klasztoru. Wszystkich nas gubisz, więc przekleństwo na cię i biada!

Cała gromada biednych otoczyła Knopfa, coraz więcej się ścieśniając, tak, że Knopf począł wołać o pomoc, bo rozpacz biednych, ich skargi bolesne, widok wybladłych i chorowitych tych ludzi nabawiały go ogromnego strachu.

Knoblauch nadbiegł z małym oddziałem ludzi, a bijąc niemiłosiernie biednych przyjaciół klasztoru, uwolnił Knopfa.

– Diabeł wjechał w tych psów papieskich, – klął Knopf. – Mnie się zdaje, że wcielone diabły przyszły z piekła, aby bronić tego gniazda Baala. W samą porę przyszli – urągał – mogą teraz spalone kości wydobyć ze zgliszczy, oprawić w drogie kamienie i złoto i cześć im oddawać.

Po tych słowach biegł co tchu za Koppem, który z towarzyszką bardzo zręcznie wydobył się z tłumu.

– Papiści przybiliby mnie do krzyża, gdyby mogli – odezwał się Knopf. – Dwadzieścia najmniej klasztorów spaliliśmy, a zawsze trzeba nam się było ucierać z tym łajdactwem, które żyło z klasztoru. Porządni, poczciwi ludzie nie bronią klasztorów; szlachta łupi, ewangelicy łupią, wszyscy, którzy mają ducha Bożego, łupią, a ten motłoch tylko występuje w ich obronie, bo żył z ich kuchni.

Koppe który uważał za rzecz konieczną utrzymać Knopfa w wesołym usposobieniu, odezwał się do niego:

– Prawie by wam tak było poszło, jak Zbawicielowi, gdy go żydzi wyrzucili z miasta i ukamienować chcieli. Zawsze prawdą pozostanie słowo, że nic nie znaczy prorok we własnej ojczyźnie! Imię wasze brzmi aż nad Renem, gdzie pieśni i hymny układają na cześć waszą – a tu chciałby przewrotny lud was kamienować!..

Taka pochwała rozbroiła Knopfa zupełnie.

– Braci nad Renem wnet poznam – mówił – bo w krótkim czasie muszą wszyscy synowie Boży się połączyć, aby stoczyć bitwę wielką z papistami. Skoro ich pobijemy, przy czym pomagać nam będą zastępy niebieskie, uderzymy na Rzym. Zepchniemy potwora o siedmiu rogach ze stolicy, poczym nastaną złote czasy miasta Syjon. To mi duch objawił, którego jestem ustami i prorokiem.

Stanęli właśnie u stóp góry, gdzie drogi się rozchodziły. Chłopi, z wyjątkiem małej garstki, która została ku obronie proroka, poszli naprzód. Katarzyna, zamyślona bardzo, nie byłaby się wcale sprzeciwiała, gdyby ją Knopf chciał wziąć do obozu chłopów, ale towarzysz jej okropnie się trapił niepewnością, czy prorok nie zmieni przypadkiem postanowienia, i nie zmusi ich do pójścia z sobą do obozu. Atoli nadspodziewanie wszystko inny, pomyślny wzięło obrót.

Skoro Knopf porozumiał się z Knoblauchem i Greilfussem, przemówił do Koppego:

– Pójdziemy jeszcze z wami trochę drogi, bo papiści, widząc was samych, mogliby jeszcze napaść!

Z podzięką przyjął Koppe opiekę i postępował z Knopfem tą samą drogą, którą przyszedł oddział z Kirchtalu.

– Dokądże właściwie jedziecie? – pytał Knopf.

– Do Wittenbergii – odrzekł Koppe, – aby uczcić onego męża, którego odwaga i moc utorowała drogę słowu Bożemu i chrześcijańską wolność do dawnej wyniosła godności.

Oblicze proroka zasepiło się. Koppe poznał natychmiast, że pomiędzy prorokiem a reformatorem naprężony panuje stosunek.

– Luter ma dobre serce, – mówił Knopf, obracając mocną dłonią maczugę – ale duch Boży poczyna odeń odstępować wskutek pychy niepohamowanej, w której zawsze chce być górą. Jemu się zdaje, że sam jest opanowany przez ducha prawdy. Nikt, powiada, nie może mu się sprzeciwić: ani cesarz, ani Papież, ani nawet prorok Jan Knopf. Ma się za nieomylnego, a przecież jeden jest tylko nieomylny, mianowicie ten, który otrzymał obietnicę – a tym ja jestem.

– Z wami – wtrącił prędko Koppe, – nie będzie się reformator spierał. Bo chyba, ślepym by był, gdyby nie miał widzieć ducha, który wieje z wszystkich waszych słów i uczynków.

Knopf nie wspomniał, jaką walkę przeszedł z reformatorem.

– Zupełnie nie odmawiam mu objawienia. Ale światło, którym jest oświecony, nie jest zbyt wielkie, a duch kłamstwa nadał go, gdy twierdzi, że każdy może wyklądać Biblię. Po cóż przychodziłaby moc z wysokości na wybranych, gdyby wszyscy mieli ducha?

– O ile ja wiem – odrzekł Koppe – reformator zupełnie podziela wasze zdanie, bo i on uczy, że tylko mogą ci wyklądać Pismo św., którzy mają ducha.

– Tego nie naucza! – zawołał Knopf gwałtownie, i nieledwie że nie poruszył sporu z reformatorem. Bał się przecież osłabiać powagi swej w oczach Koppego, dlatego zamilczał, czego doznał, ale z namaszczaniem wyrzekł: – Oby Luter został przy tej nauce! Atoli nie zostanie przy niej, bo duch mi mówi, że Luter upadł głęboko, że zbłądził, że więc nie może być nieomylnym. Dlatego żał mi ludu chrześcijańskiego, który sądzi, że słyszy prawdę z ust, które kłamią.

Koppe nie sprzeciwiał się, i milcząc odbywali podróż. Knopf udawał, że z duchem rozmawia: mruczał coś z cicha, przewracał oczy, przekręcał głowę, tak, że Koppe aż zadziwił się, iż Knopf w tak poufałym stosunku zostaje z nadziemskimi duchami. Nagle zwrócił się fanatyk do przebiegłego towarzysza Katarzyny i powiedział:

– Duch mi mówi, że jeżeli pojedziecie do Arnstein, zastaniecie tam reformatora.

Koppe osłupiał na takie objawienie, a patrząc w poważne rysy fanatyka, byłby prawie uwierzył, że z góry odbiera natchnienia.

– Zaprawdę – mówił – dar proroctwa w was podziwu godzien. Tak mocno jestem przekonany o prawdzie waszej przepowiedni, że pojedziemy do Arnstein, aby zjechać się z Lutrem.

– Bardzo dobrze! – odrzekł Knopf. – Możecie też reformatorowi obwieścić, co mi Pan powiedział: że dumnego hrabiego i zatwardziałego karmelity nie nawróci do czystej Ewangelii! Jeżeli chcecie ująć zguby, uchodźcie prędko z Arnstein bo kamień na kamieniu tam nie pozostanie.

Ostatnie słowa objawienia zdumiały Koppego. O dyspucie Lutra z karmelitą, o zabiegach jego, aby pozyskać hrabiego Wenera w Arnstein dla nowej nauki, mógł Knopf bez osobnego objawienia wiedzieć, bo w kraju mówiono o tym powszechnie. Zastanowiła tylko Koppego druga część objawienia, że zabiegi Lutra będą daremne, i że Knopf z taką pewnością mówił o zaczepieniu Wenera przez rokoszan. Czyby chłopcy rzeczywiście postanowili byli zniszczyć Wenera? Ta myśl zaprzętała Koppego i chciał jakimkolwiek sposobem dojść prawdy, ale Knopf nie odzywał się więcej w tej materii.

– Objawienie Boskie powinno nam wystarczać – mówił uroczyście – badać niepotrzebnie nie powinniśmy. Otóż tam Arnstein! – i wskazał w dali na ciemno rysujące się mury warownego zamku, leżącego wśród gór. – Mieszka tam potężny hrabia, z którego czysta Ewangelia powinna by zrobić prawdziwego chrześcijanina. Dotąd broni zakonnic, mnichów, klasztory, pości i uczęszcza na mszę i inne błazeństwa rzymskiej Sodomy. Były to rzeczy święte w czasach, gdy Papież i biskupi byli nieomylni. Ale jakżeż upadła świętość Papieża i Babilonu, odkąd pragnąca ludzkość nie pije z kałuży kłamstwa rzymskiego, ale z czystego źródła prawdy.

– Wyrażenia wasze przeciw rzymskiemu Kościołowi – wtrącił Koppe – są równie dobitne, jak wyrażenia reformatora; ja sądzę, że one są wielkim darem Ducha Świętego.

– W tym się zgadzamy – potwierdził fanatyk. – Tak samo sobie życzę, aby wszystkich papistów diabli wzięli, jak reformator Wittenbergii. Dobrze on mówi, gdy twierdzi, że lepiej mieć sprawę z Turkami i Tatarami, jak z papistami, bo to wszystko ślepe i głuche bałwany. Ale diabeł natchnął Lutra, że każdy może wyklądać sobie Pismo św., i że on sam jest prawdziwym

reformatorem. Przecież ja od dzieciństwa mam ducha Bożego, gdy tymczasem Luter wiele lat siedział w habicie, i dotąd jeszcze nie potrafił dobitnego dać dowodu, że ma posłanie od Boga!

Koppe śledził bacznie, jakie też wrażenie ta nagana reformatora wywrze na towarzysze. Ale ta, w ciągłych myślach zatopiona, zdawała się wcale nie słyszeć, co Knopf powiedział. I Koppe nie sprzeciwiał się, choć Knopf coraz gwałtowniej występował przeciw Lutrowi. Począł mu już i urągać, gdy naraz przerwał rozmowę Knoblauch, który biegnąc prędko, już z dala dawał rękoma jakieś znaki.

Zła droga nie pozwalała pospieszyć. Konie szły wolno i ostrożnie. Chłopi, chciwi zdobyć, zostawili więc Knopfa z nowymi znajomymi, a sami naprzód pospieszyli. Okolica coraz więcej stawała się lesistszą i dzikszą, droga prowadziła często nad przepaścią, tak, że Koppe kilka razy schodził z konia i rumaka towarzyski za cugle prowadził. Często schodziły się też tak góry, że tylko wąziutka zostawała ścieżka. Tu i owdzie sterczały nagie skały ponad dęby rozłożyste, albo też rozbite w sztuki, tamowały przejście przechodniowi. W innym znowu miejscu trzęsawiska napotykali, po których bardzo ostrożnie iść było trzeba. Poza nimi zaś rozciągały się małe doliny, poprzerzynane strumyczkami, z których sarny trwożliwe i dumne jelenie piły czystą wodę, a wystraszone widokiem człowieka, zwolna chowały się w gęstwinę, przypatrując się ciekawie rzadkiej w tym miejscu istocie. Cała okolica nosiła na sobie znamię dzikiej ale pięknej przyrody, która wywołuje w człowieku podziwienie i zniewala nieraz i największego samoluba do wyznania, że wiele rzeczy zanadto jest pięknych na świecie, iżby li tylko nędzemu służyły człowiekowi.

Gdy Knoblauch tak się zbliżył, że już dosłyszeć było można jego wyrazy, wskazał na kamienistą, bardzo przykrą drogę, prowadzącą na wysoką górę, a niknącą wśród dwóch skał, które jakby olbrzymie dwa słupy strzegły wąskiego przejścia. Trzech podróżnych postępowało nią z wielkim mozołem, ale pospiesznie. Chłopi niedaleko od nich się zatrzymali, nie wiedząc, czy napaść podróżnych, czy nie.

– Mistrzu Janie, patrzcie jeno! – zawołał Knoblauch. – Niech wam duch powie, czy to nie papiści? Ten oto znak nam dali, mówiąc, że go mają od naczelnego wodza.

To mówiąc, podał mu wstęgę z tajemniczym słowem "Tetragrammaton", którą Rotenek wręczył Justowi, jako znamię, iż mogą bezpiecznie odbywać

podróż. Na widok wstęgi, ucieszył się Knopf bardzo. Poznał natychmiast, że to hasło Roteneka, i wnet poczynił wnioski, które ogłoszone chłopom, mogły stać się bardzo dla wodza niebezpieczne. Zamierzył Knopf najpierw podejrzenie rzucić na Roteneka, a potem pozbyć się rywala:

– Rzeczywiście, bracie Knoblauch – odezwał się Knopf – to papiści, trzymajcie ich!

Sam puścił się za podróżnymi, i chłopci gonili, ale im więcej krzyczeli za nimi, aby stanęli, tym więcej ci przyspieszali kroku. Dwaj pierwsi z uciekających już dotarli do wąwozu, a rycerz sądząc po znakach, które dawał, i głosie, naglił do większego jeszcze pośpiechu. Już zniknęła za skałą biała suknia niewiasty, siedzącej na mule, który na górzystej tej drodze ogromne oddawał usługi. Rycerz uzbrojony stanął u wniścia wąwozu, bo widział, że ucieczka niepodobna. Chłopi już go dosięgali. Dobył miecze, i na środku wąskiej drogi, stanął oczywiście z myślą, aby bronić przejścia.

– Patrzcież, to zażarty Wolfgang z Hoenfels! – zawołał Knopf, dobiegając zmęczony. – Teraz widzicie, z kim Rotenek się wdaje! Czy nie widzicie, że to łotr, który uwodzi synów Bożych kłamstwem? Takiego człowieka jeszcze dłużej chcecie mieć wodzem? Jeszcze dłużej chcecie być służalcami zakapturzonego papisty?

– Precz z nim! – krzyczeli chłopci. – Nie będzie nas dłużej za nos wodził!

– Że łotr – to więcej jak pewna! – potwierdził Wolfgang, ciesząc się w duszy, że chłopci nie zważali na uciekających, i natychmiast zawiązał rozmowę z Knopfem, aby dać Gizeli czas do ucieczki.

– Dobrze! jeżeli tak – za sto złotych będziesz wolny – mówił Knopf. – Ale jeżeli nie wyznasz w obozie, że Rotenek porozumiewał się z tobą tajemnie, wtedy zapłacisz trzysta złotych wykupu.

– To za wiele! – odparł Hoenfels.

– Za wiele? A nie byliż to chłopci przez lat 40 twoimi sługami? Czy praca ich rąk nie napelniła twoich skrzyń?

– Że to, co mówisz nie prawda, tak dobrze wiesz jak ja, boć niedawno przeszukaliście cały mój dom.

– A jednak razem ze skarbami swymi nam uciekłeś. Widocznie diabeł ci dopomagał! Ale słuchaj! niczego ci nie będziemy pamiętać, ani nie wspomnimy o tym, żeś synów Bożych przez lat 40 obdzierał, tylko wyznaj, że w przyjaznych stosunkach zostawałeś z Rotenkiem.

– Nigdy chłopów nie odzierał, – zapewniał Wolfgang. – Gdyby przeklęty mnich z Wittenbergii nie był im w głowie przewracał, długo jeszcze bylibyśmy żyli w zgodzie i pokoju.

– Przeklęty mnich z Wittenbergii? – powtarzał z uśmiechem Knopf. – Prawie bym przepowiedział, że my obadwaj jeszcze będziemy przyjaciółmi. Równy sposób zapatrywania się tworzy przyjaciół, a ja przysięgam, że Luter i Rotenek to przeklęte dwa łotry. Czy odważysz się powiedzieć to Rotenkowi w oczy?

– Czy się odważę? Z największą rozkoszą rzuciłbym w oczy Rotenkowi waszemu wszystkie przezwiska diabła – odpowiedział Wolfgang ponuro.

– Musisz pójść z nami! – mówił Knopf uniesiony. – Schowaj miecz i ciesz się, że możesz Knopfowi, w którym siedmiu duchów mieszka, wyświadczyć przysługę.

Hoenfels milcząco patrzył pogardliwie na fanatyka, i gwałtem tylko tłumił w sobie uczucia, które nim miotały.

– Idźcie sobie swoją drogą i ja pójdę moją. Jeśli przyprowadzicie przede mnie waszego wodza, powiem mu, że większy łotr, niż wy wszyscy. Ale dla waszej przyjemności ani kroku nie zrobię.

To rozgniewało chłopów. Zmierzyli broń do piersi rycerza, i Wolfgang przysposobił się do obrony.

– Mnie go zostawcie! mnie! – wołał Knopf, podnosząc maczugę. – Zobaczycie, jak się sprawię z pyszałkiem. Ani zbroja, ani pancerz mu nie pomogą. Jeszcze raz cię pytam: chcesz być mądrym i pójść z nami, albo chcesz pozostać ślepy i ucuć różdżkę Aarona na czaszce?

– Mój miecz pierwszej chce się rozpoznać z czyjąkolwiek głową, która i tak już dawno powinna była być w ręku kata – mówił Wolfgang, wcale nieustraszony.

Walka się rozpoczęła. Knopf obracał w powietrzu maczugą, nacierając na przeciwnika. Ze znajomością rzeczy uderzał, tak, że tylko zbroja rycerza zasłoniła go od dotkliwych razów, które z pewnością byłyby śmierć przyniosły. Ale zbroja ciążyła też nadto i nie pozwalała rycerzowi poruszać się swobodnie, tym bardziej, że długie posty i uciążliwa podróż już i tak go bardzo osłabiły. Knopf z wielką swobodą się poruszał, uderzał gwałtownie, a zgrabnie unikał cięcia. Chłopi podziwiali męstwo proroka, i zdawało im się, że duch dodaje mu mocy. Skoro Wolfgang poznał, że ze zręcznym przeciwnikiem sprawa, ograniczył się li tylko na odpieraniu razów, upatrując dogodnej chwili, aby, gdy przeciwnik mniej będzie ostrożny, skutecznym cięciem zakończyć walkę. Odpowiednia chwila nadeszła. Wolfgang zamierzył się mocno, świsnął miecz w powietrzu, spadł z brzękiem, ale nie na głowę Knopfa, lecz w skałę, i rozprysł się w kawały. Knopf rzucił się na bezbronnego i z pomocą chłopów skrupował mu ręce.

– Daj mu pokój! włos nie spadnie z głowy jego! – wołał Knopf wspaniałomyślnie, gdy Knoblauch począł rycerza policzkować. – Mąż ten dzielnie walczył, i gdyby moc z góry go nie była pokonała, wszyscy nie bylibyście go przemogli. Teraz do obozu! Izrael dowie się, że dotąd Moabita nim dowodził.

Koppe przypatrywał się wraz z towarzyszką zaciętej walce. Sławił męstwo zwycięscy w dobieranych wyrazach. Ale nie słuchał ich Knopf, bo paliła go żądza, aby co prędzej odkryć chłopom, że Rotenek jest papistą, a tym samym pozbawić go dowództwa.

– Dalej nie możemy pójść z wami! – mówił. – Dziś jeszcze musi zapaść wyrok na Roteneka, tego oszukańca. Trzymajcie się tej drogi, ona zawiedzie was do Arnstein!

Podawszy rękę Koppemu na pożegnanie, oddalił się z chłopami w inną stronę, i wnet zniknął w gęstym lesie. Koppe tymczasem jechał z cierpiącą towarzyszką wolno pod stromą górę, ciesząc się, że uszedł niewoli.



Zbiegłe mnichy

~~~~~

"Cnoty męża wsławionego  
Nie płac złotem, ni mamona,  
Pieśnią wielbij, co zacnego,  
Akordami, co nie toną.  
Dzięki Bogu, że mi dano  
Sławić męża, z cnoty znane".

*Buerger.*

W tym samym dniu, kiedy Gizela uchodziła z ojcem i Justem drogą ku zamkowi Arnstein, do którego i Koppe zdążył z Katarzyną i Lutrem z Melanchtonem, odpoczywała niedaleko pysznego zamku mała drużyna w cieniu rozłożystych buków i dębów. Sześć osób składało towarzystwo, z nich cztery widocznie stanu duchownego, bo habit nosiły.

Siedzieli razem, oparci plecami o drzewa. W ręku ich puchar, w środku wiele jadła i mały sądek, z którego czerpiąc wyśmienitego nabierali humoru. Żartowali, śmiali się, poczynali śpiewki, których treść nie bardzo odpowiadała szacie zakonnej. Za przedmiot dowcipów, bardzo nieraz tłustych, służyło im życie klasztorne, przy czym bynajmniej siebie nie oszczędzali, dawniejsze skromne życie w klasztorze nazywali głupstwem, a sławili obecne życie, którego nie ścieśniały prawa. Złośliwie odzywali się o dyscyplinie kościelnej, ale za to mało słów mieli na wyniesienie czystego Słowa Bożego, które wyszło z zakonu Augustynianów.

Niedaleko od nich stał mąż, oparty o skałę, którego ponure a poważne oblicze w zupełnym było przeciwieństwie do wyuzdanych a weselących się mnichów. Fałdzista suknia, jaką nosić zwykli kaznodzieje nowej Ewangelii, okrywała wysoką jego postać. Broda na wpeł posiwiała, spadająca daleko na piersi, i poważne rysy twarzy nadawały mu podobieństwo pustelnika; ale śmiała postawa, ruchy, oko pełne odwagi zdradzały, że to człowiek rycerskiego rzemiosła. Przy nim stała mocna laska, zakończona śrubą; jeno końca ostrego jej brakło, a w potężny przemieniłaby się oszczep. Rękojeść błyszczała z pod sukni, która zresztą widocznie dla niepoznania, kim był on mąż, okrywała pancierz rycerski.

Oko jego spoczywało właśnie na ruinach wieży, która ukazywała się ponad zielonymi koronami drzew. Może przypominał sobie podanie, które krążyło wśród ludu o tej wieży, a które dziwnie stosowało się do obecnego położenia państwa. Wedle tego podania wszedł tą wieżą Fryderyk Rudobrody do podziemnego zamku, gdzie tak długo będzie zostawał, dopóki państwo niemieckie zupełnie nie nachyli się do upadku. Dopiero wtenczas przebudzi się ze stuletniego snu i żelazną ręką wesprze chwiejące się filary świętego państwa rzymskiego. Razem z nim powstaną bohaterzy, którzy podniosą sławę i powagę niemieckiego państwa do dawniejszego znaczenia. Zaprawdę mąż, który wpatrywał się w ruiny, przedstawiał obraz takiego bohatera: bo rzetelność, odwaga i siła były z całej jego istoty.

Szóstym wreszcie w tym gronie był młody chłopak, który przyniósł w worku obok leżącym jadło i napój dla rozkosznych mnichów.

– Czy jeszcze daleko do Arnstein? – pytał go Klemens, w którego rysach odbijało się wiele łotrostwa.

– Tam, z tej góry, widać już zamek – odpowiedział chłopak – a od niej jeszcze mała mila drogi.

– Bóg ci zapłać! – mówił Klemens, a zwrócony do mnichów, rzekł: Wierzcie mi, bracia, że gdybym nie kochał tak szczerze Beatrycy, nie byłbym w jednym dniu ośmiu godzin drogi uszedł.

– Patrzcie go! Miłość godzinami mierzy! – mówił Bernard ze śmiechem.

– A czemu jej nie mierzysz milami, zakochane hrabiątko? Można by potem na grobowym kamieniu twoim napisać: "Tu spoczywają zwłoki szlachetnego hrabi Heidek, któremu z miłości pękło serce!".

– Już wyrachował, ile godzin poświęcić miłości Beatrycy – odezwał się Sebastian.

– Miłość godzinami mierzona bardzo mi podejrzanie wygląda – sprzeciwiał się Ignacy. – Naprowadza ona na myśl, że wnet się skończy szlachetne uczucie.

– Powiadają – zawołał Ignacy – że miłością gorejące serce Klemensa byłoby płomieniem wybuchło, ale Luter w sam czas ogień zagasił. – Powiedz nam tak szczerze, Klemensie, badał Bernard, czy też Beatryca zaspokoi zupełnie wygórowane twoje nadzieje?

– Nie, niech nam powie, jak wysoka, jak szeroka i jak głęboka jest jego miłość ku wybranej! Ręczę, że przysięże na to, iż miłość jego tak jest wysoka jak firmament niebieski, głęboka jak morze, szeroka jak plecy opata w St. Alban w Spirze!

Podczas gdy rozkoszni zakonnicy głośno się śmieli, Klemens surowo na nich spoglądał, czym ich więcej jeszcze pobudził do śmiechu.

– Przysięgnę jej – mówił uroczyście, – że miłość moja ku niej wieczna, i dlatego ani wysokością, ani głębokością, ani szerokością jej mierzyć nie można.

– To mi przysięga! tak, to mi się podoba!

– Czy też jeno samego Amora nie zawstydzili swoją przysięgą.

– Ciekawym, gdzie jej się nauczył? Widocznie, że to natchnienie, boć w świętych murach klasztoru nie byłby nauczył się tak grzesznych rzeczy.

– Co też sobie myślał ojciec jego, kiedy go mnichem robił? – dziwił się Sebastian. – Przecież to mógł wiedzieć, że go ani post, ani włosiennica, ani dyscyplina nie zrobią zakonnikiem.

– Czy to wy nie wiecie, że jeszcze przed narodzeniem się już był do klasztoru przeznaczony? – objaśnia Bernard. – Ojciec jego już zrobił testament; wtem ku wielkiemu przerażeniu rodziców przychodzi na świat Klemens. I cóż było robić? Tytuł hrabiowski niewiele mu pomógł, darmo nim żyć! Straszliwy rzeczywiście wypadek! W klasztorze jedyna nadzieja: stał się mnichem. I rzeczywiście, gdyby Luter nie był ogłosił, że śluby zakonne to diable czysto żarty, byłby Klemens został wybornym zakonnikiem, boć już z urodzenia mnichem jest (1).

– Zaostrzajcie sobie ostre języki na mojej osobie! – odezwał się Klemens. – Mnie służyło przynajmniej prawo zostać zakonnikiem, ale gdyście wy przyobłoczyli habit, sam diabeł straszliwie się zdziwił. Ojciec chciał mieć z dziecka swego zakonnika, i jestem zakonnikiem od stóp do głowy; ale w was ani odrobiny zakonnika! Nic, jeno cielsko, i cielsko i jeszcze cielsko. A choćbyście też byli się biczowali wedle reguł zakonnych, choćbyście też postem i biczowaniem samego św. Franciszka byli prześcigli, choćbyście przez umartwienia byli tylko kośćmi, skórą powleczonymi i robili najpobożniejsze miny, zawsze bylibyście stanowi zakonnemu przynieśli zgubę i hańbę!...

Wszyscy trzej wpadli razem na Klemensa.

– Czy nie widzisz, iż idąc w zaloty do Schoenfeld, idziemy za prądem czasu? – mówił Bernard. – Gdybyśmy byli się ośmielili myśleć o bożku miłości, czyżby nie była nam się wedle nauki Lutra dostała w nagrodę kobieta? Ale ciebie już pono od pięciu lat jakieś delikatne niteczki wiążą z Beatrycą, a jeśli prawda, co mówią, to dlatego tylko wstąpiłeś do klasztoru, aby te delikatne nici na mocne zamienić więzy, ale dopiero wtenczas, gdy z dóbr klasztornych dostanie ci się cząstka, bez której trudno obejść się ojcu rodziny (2). Więc tysiąc zbiegło się powodów, dla których tym samym podlegasz klątwie. Wedle praw kanonicznych, powinniśmy unikać cię jako kacacza i trędowatego, i zakląć piękną Beatrycę, aby tobą wzgardziła.

– I cóż tam, toć ona nie lepsza od niego! – odezwał się Sebastian. – Mówią, że już miała jakieś związki zanim zasłonę przyjęła, i podobno w dniu obłóczyn przysięgła prywatnie, iż zostanie luterką, aby nad przepaścią zakonnego życia, w którym nie ma nadziei wydobyć się na świat, mieć most, prowadzący do zakazanego drzewa, którego pożądała. Pisała podobno wiersze na wszystkich ścianach klasztornych, pozwoliła po kryjomu rósć włosom, jeno niestety, podobno w czerwone wpadają.

– Zdadzą się zupełnie dla siebie!

– Śliczna para!

– Ale tego pewnie nie wiecie – mówił Bernard – że Beatryca już od czterech lat nie dostawała rozgrzeszenia. Dlaczego – pewnie się domyślicie. Nawet cud nie nawrócił zatwardziałej. Bo podobno ściany celi, słysząc ciągle wzdychania jej do Klemensa, zarumieniły się ze wstydu i czerwone pozostały dotąd. I to jeszcze, że Dominik, który w klasztorze przewodził ćwiczeniom duchownym, a którego miano za świętego, nazwał Beatrycę aniołem ciemności. Nawet z ćwiczeń duchownych wychodziła gorszą, aniżeli przedtem; życie jej było zgorzeniem dla całego klasztoru, trucizną sączyła w serca pobożnych niewiast, a stąd uzasadniona obawa, że w pierwszych dniach małżeńskiego pożycia zatruje naszego Klemensa.

– Pozwalajcie sobie do woli! – odciął się Klemens – za to dostaniecie się pod młot Augustianina z Wittenbergii. Pokaże się wtedy dowodnie, że i Luter nie potrafi wybić nic więcej z waszych mózgownic, jak sieczkę. W głowie sieczka, dalej brzydkie nic. Bardzo wątpię, czy najgrubsza miotła reformatora potrafi was z brudu oczyścić.

– Co? Lutrem nam grozisz? Jeśli chcesz, to ci wnet przyślemy na kark Siegfrieda.

– Na Boga, tylko mi o nim nie wspominajcie! – bronił się Klemens, patrząc trwożliwie w stronę, gdzie stał rycerz zadumany. – Dajcie mi z nim pokój. Morałami zawsze dobry humor nam psuje. Już, gdy go zobaczę, krew w żółć i ocet mi się zamienia.

– Doprawdy? – odezwał się silny głos z poza drzewa – i w tej chwili ukazał się rycerz, którego się Klemens tak lękał, a który przysłuchiwał się niespostrzeżony rozmowie zbiegłych mnichów. Zbliżywszy się, popatrzył dumnie po zbiegłych mnichach. Klemens trzymał właśnie w ręku naczynie z winem, ale przerażony widokiem niespodziewanego gościa, pić się nie ośmielił.

– Czy rzeczywiście mój widok takim strachem was nabawia? Jeżeli tak, to bardzo żałuję, że mimo woli byłem towarzyszem waszej podróży.

– Darujcie, Siegfriedzie! – prosił Klemens. – Opowiadaliście mi niedawno o wypadku, o którym ze dwa tygodnie jeszcze śnić będę, tak było okropne, przerażające. Zresztą kto chce jechać do Arnstein na dysputę, niejedno musi umieć przełknąć: na razach nie będzie zbywało. Walka będzie tym zaciętszą, im silniejsi występować będą przeciwnicy.

– Karmelita podobno o wiele przewyższa nauką i bystrością Ekiusza, który w Lipsku tak z błotem zmieszał Augustianina. Cieszę się na tę walkę – mówił Sebastian – już teraz widzę, jaki ogień będzie pryskał z ust reformatora.

– Ten człowiek nie zapiera się swego początku – wtrącił Siegfried ironicznie; – rzeczywiście, że chyba piekło tego łotra wyrzuciło.

– Co mówisz, bezbożny człowieku! – zawołał z udanym uniesieniem Klemens. – To, co każdy człowiek nazywa świętym, ogniem Ducha Świętego, to wy diabłu przypisujecie? Czysta Ewangelia na próżno, jak widzę, będzie zlewać na was łaski.

– Nie wiecież wy, że Luter w całym państwie uchodzi za największego proroka! – twierdził Bernard.

– I za apostoła Chrystusowego! – dodał Sebastian.

– I za założyciela królestwa Syjon! – kończył Ignacy.



– Że jego usta są ustami Chrystusa, że wszystkich biskupów ziemi i Papieża przewyższa nieomylnością, że rogatemu w Rzymie wyrывa zęb po zębie; że stary Kościół razem z państwem Niemieckim przezeń ginie, a trzydziestu królów powstaje w miejsce jednego cesarza!

Siegfried, oparty o drzewo, przysłuchiwał się obojętnie rozmowom mnichów, dopóki nie wspomnieli o stosunku Lutra do państwa. Wzmianka o tym zdawała się najdrażliwszą w nim poruszać stronę, bo poważne dotąd jego oblicze przybrało wyraz większej jeszcze powagi. Oko przerażającym zajaśniało blaskiem, a ręka mimo woli chwyciła za rękojeść.

Przecież wzburzenie przeminęło szybko jak błyskawica, ulegając silnej nadzwyczaj woli. Rycerz na nowo oparł się o drzewo, zapatrzył się w ziemię, i zdawał się dalszej przysłuchiwać rozmowie.

Ponieważ Klemens, lubiący swary, ujmował się za państwem przeciw Lutrowi, wnet nowa wszczęła się sprzeczka. Klemens znowu pierwszy się odezwał:

– Trzydziestu królów w miejsce jednego cesarza! – a choćby też i stu, ba! tysiąc takich słomianych postawił królów, wszyscy razem nie znaczą tyle, co jedyny cesarz niemiecki. Jeśli Luter do tego stopnia rozum stracił, że takie żywi zamiary, wtedy przysięgam, że on jest rodzicem onego podania o stworzeniu jakimś o stu głowach, a bez ciała.

– Daj nam na to dowody, albo gniew Lutra na głowę twoją!

– Nic łatwiejszego – odpowiedział Klemens. – Cesarz jest głową państwa niemieckiego. Ale nie myślcie, że to głowa, jak wasze dynie, które na ramionach nosicie. Ciałem do tej cesarskiej głowy jest państwo, mocne w członkach, niezwyciężone. Jedną nogą opiera się na północy, drugą na południu, ramionami sięga od wschodu do zachodu, i żadna siła im się oprzeć nie zdolna, gdy zechcą co zagarnąć. Dlatego dostał się cesarzowi przydomek: "pomnożyciela państwa". Nadto jaśnieje to ciało majestatem i sławą: jego żyły to złotem płynące strumienie, jego ścięgna to pospolite ruszenie, a gdy się poruszy, drży ziemia cała i słucha rozkazów jego.

– Idźże sobie, szalony jesteś z takim rzeczy rozumieniem, czy co? – zawołał Bernard.

– Wcale niezły obraz – mówił Erfenstein do siebie.

– Pozwólcieź mu, niech mówi, jeśli mu się nie powiedzie lepiej z potworem, Lutra przypuścimy na niego – odezwał się Ignacy.

– Teraz przychodzi potwór z głowami bez ciała – mówił Klemens uroczyście. – Precz z głową państwa! Posadźcie cztery inne głowy w jej miejsce, przywieście do ramion, do nóg, do piersi, do brzucha, do pleców same tylko głowy, niech ich będzie, jak Luter chce, trzydzieści – pozwólcie, aby te głowy nawzajem się gryzły, niech jad ich zawiści wsiąka w ciało państwa, aż zatrute będzie zmuszone oprzeć się w słabości na kruchych krukwiach – a obok tego postawcie olbrzymie ciało z rycerską głową, ta niech zmarszczy groźnie brwi, iżby zadrżał okrąg ziemi. Powiedzcież teraz: czy Luter nie pozbawiony jest rozumu, jeżeli z ciała państwa chce wyrobić stugłowy, schorzały, wynędzniały potwór?

– Wywinął się znamienicie, musimy mu przyznać słuszość – powiedział Ignacy.

– Więc na szubienicę z reformatorem!

– Powieśmy zdrajcę państwa! – zawołał Bernard, wychylając kielich.

– Nie, bracia! – odezwał się Klemens, – na tron posadźcie wybornego mnicha. Choćby Luter nic więcej nie był uczynił, jak tylko to, że śluby zakonne posłał do diabła, już by tego był godzien. Bo czyżby nie było na ziemi istotnego piekła, gdyby Luter nie był zrobił cennego odkrycia, że śluby zakonne i czystość są wymysłem szatana?

– Poczynam cię poważać, młodzieńcze – odezwał się Erfenstein – mniejsza o to, czy żartem, czy na serio przemawiałeś, ale scharakteryzowałeś doskonale położenie, w jakim znalazło się państwo z winy Lutra. Prawie z ust mi brałeś słowa.

– Dzięki ci, Panie – mówił Klemens żartobliwie – a cóż pozbawia mnie zupełnej twojej przychylności?

– Twoja wiarołomność! Przysięgę złamałeś, obowiązków nie dopełniasz – odpowiedział Erfenstein.

– To nie prawda! – odparł Klemens.

– Czy śluby zakonne nie są przysięgą i obietnicą? – pytał Siegfried.

– A niech sobie będą.

– Więc?...

– Więc dlatego mnie chcecie nienawidzić i znieważać? Na was ta zniewaga pada bo wiedzieć wam trzeba, że przysięgać na coś, o czym człowiek nie wie, że jest głupstwem, to ludzka słabość, ale zaprzysiężonego głupstwa dotrzymać, gdy się je poznało, to więcej niż błazeństwo.

– A kto to powiada, że śluby są głupstwem?

– Mąż rozumniejszy ode mnie i od was, doktor Marcin Luter.

– Czy takiego samego jesteś zdania, choć ten mąż rozumny tak utrzymuje? Bądź otwartym, – mów szczerze – pytał Siegfried, patrząc przenikliwie na Klemensa.

Klemens nie mógł znieść takiego spojrzenia i ku ziemi wzrok spuścił.

– Bogu dzięki, nie możesz tego powiedzieć! Widzę z zawstydzenia się twego, że inaczej, lepiej myślisz. I dlaczegoż tedy przekładasz naukę pysznego i zuchwałego mnicha ponad głos własnego sumienia? Po cóż chcesz, aby wyrzuty sumienia zatruwały ci żywot? Nie gniewaj się na mnie: usłuchaj rady starego człowieka, i pozostań wiernym twemu stanowi.

– Zanadto czarno widzicie wszystko, rycerzu! – wtrącił Bernard.

– Do tego jeszcze psujecie dobry humor Klemensowi, którego li tylko piękna Beatryca naprawić będzie mogła.

– Może w końcu go i nawróci – odezwał się Ignacy, – aby sam zabrał piękną dziewczeczkę.

– Nie zazdrościcież mu tej radości, Siegfriedzie! toć i wy pono piliście słodkie wino z brzuchatych pucharów, i poiliście się słodczą małżeńskiego pożycia.

– Sądzę, że za stary jestem na wasze żarty – odparł Siegfried, oburzony na wskroś mową i gestami zbiegłych mnichów. – To, com powiedział, oparte jest na przekonaniu, i wasze szczęście miało na celu. Czy atoli żenienie się z zakonnicami może wam przynieść szczęście, przekonam was łatwo.

– Czy jakie zdarzenie nam opowiecie? – zapytał Ignacy.

– Oczywiście.

– Czy długa to będzie powieść?

– Bardzo krótka! – odpowiedział Siegfried, i nie zważając na niezadowolenie, z jakim przyjęto jego słowa, tak mówił dalej: Niedawno siedziałem nad brzegiem Renu, czekając na przewoźnika. W bliskości sterczały opalone ruiny klasztoru. Ewangelicy widocznie po swojemu tu gospodarowali niedawno, bo jeszcze z kościoła wznosiły się kłęby dymu. Nagle zjawiała się wśród ruin dziwna postać, prędko obiegła klasztor, weszła rozwaloną bramą, poczym ujrzałem ją na oknach w dawnych celach zakonnicy. Widziałem ją chodzącą po sterczących wysoko murach. Jedno potknięcie a śmierć niezawodna! Na chwilę mi zniknęła. Ale wnet ukazała się na filarach. Snadź spostrzegła mnie, bo w zuchwałych skokach biegła przez zwaliska do mnie, zostawiając na krzakach kawały sukni. Okropny obraz kobiety stał przede mną: Trzymała na rękach dziecko. Sina jego twarzą zdradzała, że gwałtowną zginęło śmiercią. Nogi kobiety krwią znaczyły ślady, a na mnie patrzyła błędnym okiem.

– Gdzie jesteś, Macieju? – gdzie jesteś? – wołała drżącym głosem. – Dawno już dzwoniли do chóru, godzina naszej ucieczki minęła!

Grożąc, zbliżyła się do mnie, już obawiałem się, czy szalona nie napadnie na mnie.

– Jam nie Maciej – odezwałem się – przypatrz mi się dobrze.

– Co, zdrajco!? Patrz na to dziecko, nie poznajesz go? I zaprzeczasz, że sama wiara starczy do zbawienia? Czy dobre uczynki nie są grzechami śmiertelnymi, czy morderstwo nie jest cnotą, a śluby nie są wymysłem diabła?

Obudwoma rękoma pochwyciła dziecię i poczęła je dusić. Potem śmiała się głośno, ale wnet znowu przybrała poważną postawę i mówiła:

– Przypatrz mi się, – jam jest Urszula, oblubienica Pana! Nie mówi św. Paweł: "kościół Boga święty jest, a tym wy jesteście, – przeklęty, kto go znieważa!". Ale cicho św. Pawle – mówiła do mnie, jakobym był św. Pawłem – cicho, a pamiętaj sobie te słowa: "wiara sama zbawia!".

– Śmiała się strasznie, a potem pobiegła na wysoką skałę, u której stóp szumiały wody gwałtownego potoku. Z samego wierzchołka wpatrywała się w głębię. Wiatr rozwiał długie jej włosy i szamotał fałdami sukni. Małą chwilę stała nieruchoma, poczym rzuciła dziecko do rzeki i sama za nim z rozwartymi ramionami poskoczyła. Przewoźnik opowiadał mi potem, że obląkana była zbiegłą zakonnicy, oddała rękę swą mnichowi, i wkrótce rozum straciła. To często się

dzisiaj zdarza – mówił przewoźnik – że jeżeli zakonnicy i zakonnice pozostają wiernymi ślubom, ewangelicy ich zabijają; a jeśli odpadną, tracą rozum! Głupi świat, zaprawdę! – mówił stary człowiek, potrząsając głową. – Zanim więc pojmiesz Beatrycę za żonę – kończył rycerz, – dobrze by było, abyś rozważył, czy nauka Lutra, gdy w śluby małżeńskie wstąpisz, da ci pewność, że one nie będą bezbożne i diabelskie.

– Nie powiedziałem wam – mówił Klemens – że pan Siegfried przywiedzie was do upamiętania? A gdybyście jeno słyszeli opowiadanie jego, jak chłopcy w Weinsbergu różgami bili szlachtę na śmierć, jak zakonnym osobom urzynali nosy i uszy, i przysięgali, że wszystkim papistom karku nakręcą! Ile naliczyliście oderzniętych nosów i uszów w klasztorze Bruk? Nie byłoby ich czterdzieści co najmniej? (3)

– Nie liczyłem ich – odpowiedział Erfenstein – ale to wiedzieć wam trzeba, że zacne zakonnice same siebie kaleczyły, aby ująć hańby i zgwałcenia. Żadna z nich nie dostała pomieszania zmysłów, bo nie obciążały ich duszy ani krzywoprzysięstwo, ani świętokradztwo, ani inne zbrodnie, do których Ewangelia Lutra niedobrym mnichom otwiera drogę.

Wszystka krew zbiegła Klemensowi do głowy. Miał już na języku surową odpowiedź gotową, ale ukazanie się dwóch podróżnych na drodze, prowadzącej do doliny, wypowiedzieć mu jej nie pozwoliło.

Marcin Luter, bo on był jednym z podróżnych, zobaczywszy suknie zakonne, zatrzymał konia. Z przyczyn łatwych do odgadnięcia niechętnie spotykał się z zakonnikami, którzy pozostali wiernymi ślubom. W tej chwili zdawało mu się, że takich spotyka, a że droga tuż obok nich prowadziła, zachmurzył się mocno.

– A tośmy się znowu wybrali! We wszystkich kątach gnieździ się ten przeklęty, diabelski ród. Uważaj tylko, jak będą wyć i krzyczeć, gdy mnie poznają! Patrz, jak kryją głowy!

– Niech sobie wyją i krzyczą, mistrzu! – odpowiedział Melancton – my sobie obok nich przejedziemy. Co nam do ich krzyku?

– Gdyby się tylko na tym skończyło, śmiałybym się z ich krzyku, ale diabeł niech mnichom wierzy. I otóż trzymaj się dobrze: już szturm przypuszczają!

Oprócz Siegfrieda, wybiegli wszyscy mnisi naprzeciw Lutrowi, który tak był przestraszony myślą, iż w ręce papistów się dostaje, że nie widział wcale, z jaką radością zbliżali się doń mniemani nieprzyjaciele. Luter zdobywał się na odwagę, której trudno mu było nie przyznać, gdy poza sobą obronne jakie czuł ramię, a w którą uzbrojony, nie lękał się cesarza ani Papieża, ale nie mógł ukryć strachu, który go ogarnął, gdy blisko siebie zobaczył nieprzyjaciół (4). Prędko zrozumiał, w jakim był niebezpieczeństwie. Już zdawało mu się, że jest w rękach czyhających nań papistów, gdy Klemens z największą pokorą witać go począł.

– Widzimy w tym oczywiste zrządzenie Boże – mówił – że my acz niegodni, przecież wierni, możemy wam towarzyszyć do Arnstein, chociaż i to wiemy, że wolicie, czcigodny Mistrzu, w apostołskiej skromności podróżować sami bez świętego otoczenia.

Podobała się taka mowa Lutrowi, a cześć i uwielbienie, z jakim go witano, nagrodziła mu chwilę strachu, jakiego doznał.

– Z wszelką wdzięcznością przyjmujemy waszą ofiarę, jeno ubiór wasz nabawił mnie kłopotu, bo sądziłem, że nie bardzo miłych spotykam towarzyszy.

– *Mundus vult decipi*, – świat chce być oszukanym – odpowiedział Klemens. – Suknie nasze mają nam wpierw posłużyć w oczach hrabiego w Arnstein, a potem rzucimy je na zawsze. Bo wiedząc, że jedziecie do Arnstein, aby nawrócić hrabiego, my także tam jedziemy i spodziewamy się, że będziemy świadkami waszego świętego zwycięstwa nad karmelitą.

– To w ręku Boga! – odpowiedział Luter nabożnie. – Przecież nie lękam się wcale, i samego Papieża zwycięzę czystą Ewangelią.

Z wszelką gotowością usłuchał zaproszenia Bernarda, który starał się przekonać podróżnych, że na dalszą drogę posilić się wypada.

Całe towarzystwo wróciło w dolinę, ocienioną drzewami. Konie pały się na bujnej łączce.

Wyborne wino i wesołe towarzystwo wprawiły Lutra wnet w on rozkoszny humor, na którym mu przy ucztach nigdy nie zbywało. Przy takich sposobnościach nie przebierał w żartach, a zdania, które wypowiadał przy stole, zdawały się przyjaciółom jego tak ważne, że zebrali je w osobną księgę, noszącą dziś tytuł: *Tischreden – Mowy przy stole*. Oczywiście, że przyzwoitością nie odznaczają się wcale. Nie radzę też dawać tej księgi w ręce onych dusz

pobożnych, które upatrują w Lutrze świętego albo proroka. Bo mowy te nie miały być kazaniami, jeno wyrazem rozkosznego usposobienia przy biesiadach, w których Luter z wielu współczesnymi bardzo sobie lubował. Usłudni mnisi przytoczyli kamień, okryli go suchym mchem i prosili reformatora, aby na nim zasiadł. Oparty o drzewo, w gronie wiernej drużyny, zapomniał nie tylko o trudach podróży, ale i o wielkim znaczeniu swej osoby.

– Kto by to był myślał, Filipie? – mówił wesoły Luter – że prawie u celu naszej podróży spotkamy się z tak wybornym towarzystwem? Przysłowie i tu się sprawdza: "po deszczu słońce świeci!". Albo jak mówi Pismo: "Bóg dobry prowadzi sługi swoje przez cierpienie i radość", czego widoczny dowód w podróży naszej.

– Czy was co niemiłego spotkało? – pytał ze współczuciem Bernard.

– To by mnie wcale nie dziwiło – odezwał się Ignacy; – boć rzecz pewna, że piekło czyni na świętą waszą osobę zasadzki. Oby niebo zawsze was miało w opiece!

– O tym możemy rozmawiać – mówił Luter tajemniczo. – Jeszcze nigdy nie ubiegał się tak diabeł za smacznym kęsem, jak za mną. Ale daremny trud! I służalec jego w Rzymie znalazł we mnie kęs, którego połknąć nie może. Gdybym był mniej ciętym, dawno byłby nas wszystkich Papież diabelski pożarł i połknął.

Nisi ego fuissem mordax  
Papa fuisset vorax.

Ale we mnie znalazł jeża z ostrymi kolcami (5).

W głos rozśmiali się mnisi. Porównanie wesołego Doktora wywołało wnet uśmiech na poważnym obliczu Siegfrieda, który uważnie przysłuchiwał się z poza drzewa, – ale uśmiech wzgardy.

Bernard spojrzał właśnie na niego, a nachylony do Klemensa, szeptał mu do ucha:

– Zobaczysz, jak się zemszczę na naszym moraliście! Reformator wypędzi mu z głupiej głowy strachy.

– Czart nie jest waszym największym nieprzyjacielem, czcigodny mistrzu, – mówił ze czcią zwrócony do Lutra.

– Zakapturzeni papiści chodzą po świecie, starają się zwodzić pobożnych ludzi, którzy wedle nowej Ewangelii porzucili habit i celę, i doprawdy źle byłoby z wami, gdybyście się w ich ręce dostali.

– O tym z doświadczenia mówić mogę – odezwał się Klemens. – Niedawno taki papista na mnie zasadzki czynił. W jaskrawych kolorach odmalował mi zbrodnię, jakiej się dopuszczają mnisi, którzy waszą przyjmują Ewangelię, – i spojrział na Siegfrieda, który rozumiał widocznie, że Klemens chce go wciągnąć w spór z reformatorem, bo skrzyżował ręce i ostro wpatrywał się w mowę. – Już prawie łotr zwyciężył, i byłby mnie przywiódł do upadku. W ślicznym świetle wystawił klasztory: nazwał je podporą niemieckiego państwa, bo umyślnym ubóstwem pouczali rzeczywiście ubogich, że i w ubóstwie można być zadowolonym. Śluby świętą nazwał sprawą, i tak pochwalnie przemawiał o habitach, że je prawie na nowo pokochałem.

– Cóż sądzicie, czcigodny mistrzu, o takich ludziach? – pytał Klemens, patrząc na Siegfrieda.

– Takich uważać należy za pomocników diabła i sług jego – odparł Luter i napił się, wedle chwalebego zwyczaju, do Melanchtona.

– I tu sprawdza się słowo św. Piotra – mówił łagodny Filip – diabeł, przeciwnik wasz, krąży jako lew ryczący, szukając, kogo by pożarł.

– Gdyby Papież nie był głupi i zatwardziały, powinien by nazwać klasztory twierdzami nie państwa, ale diabła – twierdził Luter.

– A cóż na to powiecie, uczony Mistrzu, że zakonników przyrównał do najzacniejszych rycerzy niemieckiego państwa? Ich zwycięstwa stawiał wyżej niż zwycięstwa cesarza Rudobrodego; – bo, mówił, Rudobrody zwyciężył wiele wojsk murzyńskich, zakonnicy zaś samych siebie zwyciężają, a to więcej znaczy, aniżeli podbicie połowy świata.

Tak mówił Klemens, patrząc na Erfensteina, któremu rumieniec oburzenia już począł twarz oblewać. Niewiele potrzeba było przycinków, aby go wciągnąć do walki.

– Tak – odezwał się Ignacy – Karmelitów nazwał aniołami w ludzkim cielesie, bo dla ubogich żebrzą chleba. Wielka będzie nędza między ubogimi, mówił, jeżeli zakonników zabraknie.

Luter uśmiechnął się złośliwie, i widać było po iskrzących oczach, że miał coś ważnego w myśli. Wreszcie odezwał się znowu:



– Gdyby bałwany choć trochę miały mózgu w głowie, nie nazywaliby zakonników bohaterami, ale tucznikami diabła. Bo Karmelici to wszy, a Dominikanie pchły, które Bóg dobry wsadził w kożuch Adama (6).

Mnisi w głos się rozśmieli. Erfenstein zaś rzucił kilka pogardliwych spojrzeń na reformatora i postąpił krok dalej.

– Już go mamy! – szeptał Klemens sąsiadowi w ucho. – Patrz, oczy mu błyszczą jak węgle żarzące.

– Jeszcze jedno ukłucie – odezwał się Bernard – a dzik powstanie z legowiska.

Ale obeszło się bez tego, bo Siegfried już stanął przy Lutrze. Z dumą patrzył na zbiegłych mnichów, a z oblicza jego więcej było wzgardy, niż przystało na poważnego rycerza.

– Bardzo się pomyliliście! – mówił, zwrócony do Bernarda i Klemensa. – Czemuż nie miałbym i wobec Lutra wystąpić z moim zdaniem? boć nie co innego było celem waszych przymówek! Więc pamiętaj, Doktorze – mówił zwrócony do Lutra, – ten bałwan, którego tak wyśmiałeś, ten osieł papieski, to ja, Siegfried Erfenstein! Gdybyś był szlachcicem i równym mnie, wyzwałbym ciebie jak zwyczaj każe, i ukarałbym twoje szyderstwo, ale że jesteś tylko zbiegłym mnichem, pytam ciebie, dlaczego to zakonnicy są tucznikami, wszami i pchłami? Bardzom ciekawy słyszeć przyczynę...

Siegfried zamilkł, a złożony ręce na krzyż, patrzył przenikająco na reformatora, oczekując odpowiedzi.

Luter tymczasem mierzył niespodziewanego nieprzyjaciela od stóp do głowy. Wnet spuścił oczy ku ziemi, widząc, że przegląd nie bardzo korzystnie dlań wypadł.

– Z moich zdań nikomu tłumaczyć się nie potrzebuję, jeno samemu Bogu, którego jestem ewangelistą.

– Taki wybieg nic nie znaczy. Mnie chodzi o powody, dla których rzucałeś urągawisko, więcej znamionujące apostoła diabła, aniżeli Ewangelistę Pańskiego.

Doktor nie mógł powstrzymać gniewu. Zerwał się z miejsca, i stanął z iskrzącym wzrokiem przed rycerzem.

– Co?! – zakrzyknął namiętnie. – Diabła apostoł? ty nim jesteś! A czyż ja cię pytałem, dlaczego przeklętych mnichów nazwałeś aniołami?

– Jakie powody mam do tego, mogę ci zaraz powiedzieć – odpowiedział Siegfried spokojnie.

– Zachowaj je sobie, piękne to będą rzeczy! Ale skądże ten Säufred w wasze dostał się towarzystwo? (7) Nie wstydzicież się włączyć ze sobą takiego towaru, który nie zdałby się nawet dla żyda?

– Przypadkiem zesłaliśmy się! – odrzekł Klemens zadowolony, że się pomścił. – Siegfried dąży także do Arnstein.

– Do Arnstein? Tego jeszcze trzeba! Ani jednej nocy nie przepędzę pod jednym dachem z łotrem, który urąga pomazańcowi Pańskiemu.

– Jeno powoli, Doktorze! – odezwał się Erfenstein. – Ku waszej szkodzie okaże się, kto z nas dwóch z większym zadowoleniem opuści zamek hrabiowski. A jakkolwiek będzie, szlachetniejsze mnie tam wiodą pobudki, niż ciebie.

– Ach tak? więc widzę przed sobą pomocnika Karmelity? Dobrze, zbierzcie sobie wszystkie gadziny z rzymskiej Sodomy, dla wszystkich znajdzie się w czasie walki miejsce na ziemi.

Zmierzył jeszcze raz Erfensteina z pogardą, poczym usiadł i wypił jeden puchar, który mu Bernard usłużnie podał.

– Głupi! – odezwał się rozjątrzony Doktor – chce słyszeć powody, dla których szydzimy z klasztorów, onych gniazd, gdzie ryczące leżą się osły! Widać, że nie wahał smrodliwego powietrza klasztorów, gdzie nocą i dniem napełniają Panu Bogu uszy modlitwami. Boże wspomóż! – westchnął pobożnie; – jakżeż okropnie dręczył Papież, istny kat, sumienie modłami, postem i umartwieniem! A przecież całe zgromadzenie jego namaszczonego zakonników, zakonnic i księży nie było niczym więcej, jeno rechtaniem żab, które na nic się nie zda (8).

– Dziwne rzeczy! – odezwał się Siegfried. – Nazywasz się Boga apostołem, a szydzisz z modlitwy. Czy sądzisz, że modlitwa jest niedobłą rzeczą, grzechem?

– Grzechem? – powtarzał złośliwie reformator. – Grzechem! – hm, biegnij do Rzymu i spytaj swojego Papieża, co jest grzech? Przysięgam, że ten błazen nie wie tego! Wiercie mi, towarzysze, że nasze dzieci więcej umieją, niż Papież, kardynałowie i cały dwór rzymski. Toć Papież z całą swą szkołą żaków nie rozumie ani jednej prośby w Ojcie nasz (9).

– Czy to prawda, uczony Mistrzu – pytał Klemens – że chcecie odrzucić zupełnie Modlitwę Pańską?

– Wielką miałbym do tego ochotę – odpowiedział Luter – boć i innym nie pójdzie lepiej jak mnie. Jeśli mówię: "święć się Imię twoje" to mi na myśl przychodzi: przekłete, wzgardzone niech będzie imię papistów! Jeśli mówię: "przyjdź królestwo twoje", to myślę: przekłete, zburzone być musi królestwo Papieża! Gdy mówię: "bądź wola twoja", jużci muszą pomyśleć: przekłete niech będą, niech się w niwecz obróć wszelkie plany i myśli papistów! Patrzcież, tak się modlę każdy dzień ustami i sercem. Aby przypadkiem i innym dzieciom Bożym tak samo się nie stało, byłoby zbawiennym porzucić modlitwę (10).

– Rzeczywiście jesteś apostołskim mężem! – mówił Siegfried.

– Nie tylko dobre uczynki odrzucasz, ale i modlitwę. Ciekawym, jakie też zdanie twoje o ślubach? Może one zwalczą łaskę u ciebie.

Ironia, uderzająca ze słów Erfensteina, połączona ze wzmianką o znienawidzonych ślubach, do wściekłości doprowadziła Lutra.

Ręka jego wyciągnięta trzęsła się, usta drgały, a język odmówił chwilowo posługi.

– Jakie moje zdanie o ślubach? – i patrzył w oczy groźnie rycerzowi – czy masz mnie za błazna?

– Przedmiot, myślę, za poważny do żartów.

– Dobrze – usłyszysz więc co są śluby, bo mnie się zdaje, że na twoim sumieniu ciąży coś takiego. Pamiętaj tedy: śluby są przymierzem z diabłem i jego wynalazkiem. Najgorsze wszetecznicze, bo zakonnice, łączące się z diabłem przez pogańskie panieństwo, stają się jego oblubienicami (11). Pamiętaj to sobie; schowaj do kieszeni przepis, abyś na wszystkie czasy wiedział, co sądzić należy o ślubach.

– Niech Bóg broni! – odparł Erfenstein, który długo tajonym wybuchnął gniewem. – Twoje plugastwo nie zwala mej kieszeni. I ten człowiek uchodzi za reformatora! Ten człowiek – mówił z coraz większym ogniem – ten człowiek rozdmuchuje płomień rokoszu w państwie, przywołuje Turków i Tatarów przeciw cesarzowi i Papieżowi! Ten człowiek wstrząsa filarami świętego rzymskiego państwa, rzuca rozpaloną głównię niezgody do chat, zamków i pałaców, zaleca wiarołomstwo chłopom, zakonnikom, księżętom; nawołuje do buntu wszystkie klasztory naszego narodu! Nieszczęsny, lepiej, gdybyś się nie był narodził! Podwójnie nieszczęsny zaślepiony naród nasz niemiecki, który wierzy takiemu uwodzicielowi!

Erfenstein coraz więcej się zapalał, z ocz ognień mu tryskał, ściśnioną pięścią zamierzył się na Lutra, który zadrzał przed groźnym rycerzem. Filip pobladł i Klemensowi odechciało się żartów. Ostatni trwożliwie spoglądał raz na Lutra, drugi raz na Siegfrieda, lękając się krwawego starcia.

– Miarkujcie się, Siegfriedzie! – mówił uspokajająco. – Luter nie zaszkodzi niemieckiemu państwu. Skoro tylko będą usunięte niektóre nadużycia, wróci znowu dawny pokój. Co zaś klasztorów dotyczy, toć sami widzicie, że potrzeba w nich niejedno oczyścić.

– Oczywiście! – odpowiedział Erfenstein. – Gdyby klasztory nie były zniewalane do przyjmowania złych ludzi, którzy do niczego nie są zdolni, a najmniej do bronięcia sławy i dobrego imienia, gdyby klasztory nie były szpitalami panów, z pewnością na wieki zachowywałyby dawną cześć i sławę.

– Zupełnie słusznie! I dlatego właśnie potrzeba je zreformować – odezwał się Bernard.

– Toć Luter tylko nadużycia chce znieść – mówił Klemens.

– Co? – zawołał Siegfried. – Czy nie dosyć jasno się wyraża? Przecież wszyscy wiedzą, do czego dąży! Ten człowiek żył długie lata w klasztorze, a nie wie dotąd, jakie znaczenie ma klasztorne życie.

– Czy może chcesz być moim nauczycielem? – pytał Doktor, kłaniając się szyderczo.



Erfenstein zmierzywszy go ze wzgardą, odpowiedział:

– Twoja pycha żadnej nie przyjmuje nauki. Zanadto głęboko siedzisz w błocie becznych nauk, abyś mógł pojąć, co szlachetne. Jakżeż mógłbyś zrozumieć, jakie znaczenie ma życie klasztorne, kiedy rozkosz i wyuzdanie są twoją Ewangelią? Rób tak dalej! Skoro tylko świat stanie się ewangelickim, gdy wszystko tylko będzie chciało używać rozkoszy, a twoja trucizna przeniknie na wskroś naród cały, skoro poniżona będzie szlachta do tego stopnia, że sława niczym będzie dla niej, a brzęk złota wszystkim; skoro nie będzie więcej dobrowolnego ubóstwa w klasztorach, dokąd uciekali się książęta, mieniając purpurę i koronę na włosiennicę; skoro człowiek ubogi nie będzie miał przykładu, jak znosić ubóstwo, a bieda stanie mu się nieznośnym ciężarem dlatego, że musi sobie rozkoszy odmówić światowej, wtedy bywaj zdrów pokoju, wielkości i potęgi potężnego niegdyś państwa niemieckiego!...

Siegfried mówił z takim zapalem, słowa jego płynęły z tak głębokiego przekonania, iż niepodobna, by miały nie wywrzeć wpływu. Zbiegłe mnichy słuchały z uwagą słów, z których każde dobrze było wpiern rozważone. Reformator patrzył ponuro w ziemię, gryził wargi i kłął w duchu papistę, którego postawa zmuszała jeśli nie do czci, to przynajmniej do bacznej uwagi.

Gdy wreszcie podniósł głowę, aby odpowiedzieć na poczynione zarzuty, już Erfenstein zdążył drogą do Arnstein.

– I Bogu dzięki! pozbyliśmy się go, – mówił Klemens! – Błazen wiele nam narobił nieprzyjemności.

– Wcale nie powinniście go byli ucierpieć pomiędzy sobą – odparł Luter. – Pierwszy wniosek, który zrobię w domu hrabiego, będzie się domagał wydalenia tego Säufrieda!

– Póki żyć będę, nie zapomnę tej chwili radosnej – śmiał się Klemens. – Ścieliście go porządnie! Konał prawie ze złości.

– Z takimi osłami nie można przebierać, – mówił reformator – kija koniecznie użyć potrzeba!

Mnichy śmiały się i wnet dawne wesołe usposobienie wróciło. Nie ruszyli się pierwaj z miejsca, aż dopiero gdy do kropli wysączyli sądek wina. Poczaj wynagrodzili chłopaka obficie, i bez przewodnika w dalszą wybrali się drogę.

---

### **Przypisy:**

(1) Wielkim nadużyciem w owych czasach, przeciw któremu Kościół katolicki występował, był zwyczaj szlacheckich rodzin ubiegania się dla dzieci o bogate beneficja, bez względu czy mają powołanie do stanu duchownego, czy nie. Toteż nie dziw, że tacy urodzeni duchowni wstyd i hańbę przynosili swemu stanowi. Nie rozumieli znaczenia, jakie ma życie klasztorne, i życiem nieodpowiednim świętemu celowi sprawili, że klasztory nazywano "szpitalami szlachty".

(2) Bernard ma tu na myśli oną zwyczajną manipulację możnych, którzy, zagrabiwszy dobra klasztorne, członkom klasztoru aż do końca życia znaczne wypłacali sumy.

(3) W Weinsbergu zamordowali chłopci okrutnie hrabiego Ludwika z Helfenstein z trzydziestu rycerzami. Po straszliwych mękach rozerznęli im brzuchy i tłuszczem smarowali sobie trzewiki, skóry zaś ich obnosili na dzidach. – *Stud. und Skiz. z. Gesch. d. Reform.*, str. 272.

(4) *Stud. u. Skiz. z. Gesch. d. Reform. Mart. Luth. Charak.*, str. 175-177.

(5) *Tischr.*, Wyd. Lips., str. 202 v.

(6) *Tischr.*, Lips. wyd., str. 350.

(7) Luter przekręcał imiona swych nieprzyjaciół. I tu ze Siegfrieda zrobił Säufrieda. *Sau* znaczy świnia. W polskim języku niepodobna oddać tej gry wyrazów.

(8) *Tischr.*, Artykuł o modlitwie. Lips. wyd., str. 212.

(9) *Papsthum vom Teufel gestiftet*. Część VII, 555.

(10) *Tischr.*, Lips. wyd., str. 213.

(11) *Klosterges.*, 194 i 200 p.



## Miejsce walki

"Gwałt mi zadać chcecie, – i nie wstydzicieź się pastwić nad słabą niewiastą?"

Z dawnego dramatu.

Na szczycie gór niespodziany widok przedstawił się podróżnym. Właśnie naprzeciw nim, na górze tysiąc stóp wysokiej, wznosił się zamek hrabiego. Skały z czerwonego kamienia były mu fundamentem, który daleko sięgał w spokojne jezioro, co jakby oko całej prześlicznej okolicy jaśniało w górach. Około zamku nie było rowu ani wału, stroma skała zupełnie dostateczną była obroną. Na wschodniej tylko stronie łączyła się skała z wysoką górą, warowna wieża broniła tu od napadu. W środku wieży była brama, zwodzony most łączył zamek z górą. Nad bramą błyszczał herb hrabiowski, dalekich sięgający czasów. U sklepienia bramy przymocowane były żelazne kraty, ostro zakończone, które w razie napadu straszliwą stawiąły zaporę każdemu, któryby aż dotąd dotrzeć się ośmielił. Nadludzkie siły snadź budowały olbrzymią tę warownię, a właściciel zamku nie zaprzeczał podaniu, iż olbrzymy budowały takie mieszkanie dla jego przodków. Na cztery strony wznosiły się wysmukłe wieże, nie dla obrony przeciw nieprzyjaciołom, ale dla ozdoby zamku. Najwyższa z nich, tak nazwana strażnica, dosięgała prawie 200 stóp. Z niej wystawał ponad powierzchnię jeziora maleńki, ledwo na dwie osoby wystarczający balkonik. Bez trwogi niepodobna było stojącemu na balkonie spojrzeć na dół, bo mała poręcz zdawała się być za słabą obroną, aby kogo uchronić od upadku w okropną przepaść. Hrabia Werner często tu przebywał, dając bez przeszkody wolny bieg myślom, albo pojąc się prześlicznym widokiem. Pomiędzy południową i północną wieżą błyszczały wysokie okna z okrągłymi szybami, w których odbijały się promienie słońca, gdy jeszcze gruba mgła pokrywała jezioro. Okna te oświecały wielką salę, w której przebywali słudzy zbrojni hrabiego w czasie pokoju.

Na południe od Arnstein wznosił się w prześlicznej równinie, oblanej wodą jeziora, otoczony ogrodem i murem, bogaty klasztor zakonnic Schoenfeld. Już od dawna zwrócili rokoszanie nań uwagę i pożądali jego bogactw. Ale ostry miecz opiekuna powstrzymywał chciwe zapędy. Werner ciągle miał dostateczną ilość zbrojnych, aby stawić czoło rokoszanom. A wielu chłopów, z oddziału piekielników, którzy odważyli się pójść do Arnstein i podburzać mieszkańców, przypłaciło śmiałość śmiercią, a ciała ich wisiały na postrach drugim na gałęziach starych lip w samym środku wsi. Jakkolwiek Werner występował groźnie przeciw rokoszanom, przecież posądzano go, że klasztor chce zabrać i przywłaszczyć sobie jego dobra. Osoby z bliskiego otoczenia hrabiego miały nawet podsłuchać hrabiego, krótko przed przybyciem Lutra, jak sobie układał, że skoro Luter zwycięży w dysputie karmelity, zniesie klasztor. Inni dodawali jeszcze, że dysputa jest tylko zamaskowaniem dawno dojrzałego planu, aby zabranie klasztoru jakkolwiek zdawało się usprawiedliwionym. Bo i czemuż, mówili, nie miałyby hrabia zabierać, kiedy inni książęta i panowie zabierają? Po cóż ma klasztoru bronić i wreszcie doczekać się, że ktoś go uprzedzi?

Trudno dociec, czy podobne przypuszczenia były zgodne z usposobieniem Wenera. To przecież pewne, że Lutra propozycja, aby dysputę urządził, bardzo mu była miłą, chociaż z tego bynajmniej nie można wnosić, że przechylał się do nowej nauki, bo dysputy takie często się odbywały i były niejako rozrywką. Reformator zaś, wybierając Arnstein na miejsce spotkania się z narzeczoną, działał z wielkim wyrachowaniem: znał on wpływ karmelity na hrabiego; wiedział też, że pozyskując hrabiego dla nowej nauki, zyska potężny filar do śmiałej budowy. Przyjmując dysputę, w której spodziewał się pokonać karmelity i udowodnić, że rzymski Kościół jest pochodzenia diabelskiego, miał nadzieję, że nawróci hrabiego. Zwycięstwa słusznie się spodziewał, bo już sto podobnych przeszedł walk, a z każdej, jak twierdził przynajmniej sam – bo w rzeczywistości inaczej było – wyjąwszy dysputę w Lipsku, wychodził zwycięsko.

Milcząc, zatrzymali się podróżni na szczycie góry i podziwiali zuchwałe siedlisko hrabiego

– Pana tego zamku nikt nie ruszy! – mówił Luter – i dlatego właśnie naszym być musi. Jeszcze wiele wojowników i zamków musi połączyć się z nami, nim zupełnie osiągniemy zwycięstwo.



– Pozwólcie, że poprowadzę wam konia! – mówił Ignacy usłużnie, biorąc za cugle – droga pełna kamieni, nierówna i spadzista; łatwo moglibyście mieć wypadek.

– Weźmij konia! – odpowiedział Luter, zsiadając ostrożnie. Widok zamku wystarczał, aby reformatora poważnie nastroić. Bo gdy dotąd wesoło rozmawiał z młodymi mnichami, teraz począł usuwać się od rozmowy, która zdawała mu się dziecinną i małej bardzo wagi. Wyprzedził nawet towarzyszy, ciągle spoglądając na zamek.

– Czy też ją zastanę? – mówił do siebie, podwajając kroku, na myśl, że wnet uściśnie narzeczoną. Ale miłosne uczucia mieszały się z trwogą. Może miłą spotkały jakie nieszczęścia? Może zaniechała podróży? Tak bojaźnią i znowu nadzieją przejęty doszedł aż do jeziora.

– Pilnie baczcie na Klemensa! – zaczął znowu Bernard. – Zbliżamy się do jeziora; trzymajcie go mocno, bo skoczy w wodę i popłynie do umiłowanej!

– Szczęście, że tylko w winie pływać umie; woda go nie utrzyma – odparł Sebastian.

– A co powiecie, przyjaciele, jeżeli Beatryca już kogo innego wybrała? – sprzeciwiał się Ignacy. – Dawno już dziwię się nad jej złym gustem.

– Nad złym gustem? Być może, że z was który lepiej jej do gustu przypadnie – odciął się Klemens. – Gdyby zaś to nie nastąpiło, i gdyby ani Beatryca ani która inna nie miała ze złego gustu okazać przychylności moim towarzyszom, wtedy zadam im proszku miłosnego, który tak jest skuteczny, że sama Wenus zakochałaby się w takich wystruganych bałwanach. Nie traćcie więc nadziei, żaden z was próżno nie odejdzie.

Stanęli nad brzegiem jeziora.

– Jak się tu przeprawimy? – pytał Luter.

– W gęstwinie, ot tam, jest czółno – odpowiedział Sebastian; – czy go nie użyjemy?

– Żadną miarą – bronił Klemens. – Toćby nam się trzeba rozdzielić; pójdźmy raczej razem około jeziora.

– Bardzo niegrzeczny hrabia – mruzczał Bernard. – Wie przecież, jaki go zaszczyt spotyka, gdy Luter odwiedza jego gniazdo sępie, a jednak nie widać żywej duszy, aby nas przepawiła.

– Pan Werner nie wie, kiedy przybędę – uniewinniał Luter. – Nadto przeklęty karmelita prowadzi go na pasku, dlatego nie można się spodziewać, aby się zbyt gorliwie mną zajmował. Gdybyście byli widzieli wjazd mój do Wormacji! Całe wsie i miasta wychodziły mi naprzeciw! Biedacy bez mała pod koła mego wozu się nie rzucali! Miłość ich dla apostoła Pańskiego tak była gorąca i słodka, jak miłość hrabiego zimna i gorzka.

– Siądźcie na konia, czcigodny Mistrzu! – mówił Bernard. – Tam oto, prześliczna droga prowadzi nad brzegiem do zamku. Choćby też okręty hiszpańskie były gotowe na nasze przyjęcie, wybrałbym bez namysłu piękną aleję ponad jeziorem.

Propozycja podobała się. Puszczono się drogą ponad jeziorem. Wnet całe towarzystwo znikło wśród drzew, śmiechy tylko wesołe jeszcze się rozlegały.

Zaledwo mnisi w pierwszym zakręcie drogi zniknęli, wyszedł w tym samym miejscu, skąd odjechali, z gęstwiny człowiek. Gdy gałęzie rozsunął, ukazał się tuż nad brzegiem obraz Najświętszej Maryi Panny w maleńkiej kapliczce, ukrytej w gęstwinie. Widać, że człowiek ten modlił się, bo jeszcze leżała książka na kamiennej ławce przed kratką kaplicy.

Fałdzista suknia biała, sięgająca aż do kostek, paskiem ściągnięta, okrywała wysoką postać nieznanego. Suknia była z grubej materii, jaką przepisują reguły dla osób zakonnych. Długi różaniec u pasa, a wytarte paciorki wskazywały, że często ich używano. Nogi miał gołe, sandały tylko broniły przed cierniem i ostrymi kamyczkami. Głowa wygolona, mocno opalona, widocznie nigdy nie była okryta. Korona białych włosów otoczyła głowę, na piersi spadała długa srebrna broda. Chociaż w wieku, przecież prosto trzymał się starzec, szedł poważnie zatopiony w myślach. Wychudła twarz pokazywała, że surowej przestrzegął ascezy, która obliczu jego nadawała onego miłego wyrazu, jaki wywoływać zwykło zwycięstwo nad namiętnościami ludzkimi. Jasne oko, ono czyste zwierciadło nadzwyczajnej pokory, o której świat pogański nic nie wiedział, a która jest nagrodą za trud szlachetnych ludzi, wesoło patrzyło w świat. Mężem tym był karmelita Dominik, kapelan zamku Arnstein i spowiednik w klasztorze Schoenfeld.

Stanął zwrócony ku stronie, w którą Luter pojechał, i wlepił oczy w ziemię. Bałwany jeziora cicho szumiały tuż obok niego. Zdawało się, że ustający śpiew ptaków i szum tajemniczy w wierzchołkach drzew podzielały boleść męża, która powoli uwydatniała się na jego obliczu.

– Hrabia nie może dopuścić się krzyczącej niesprawiedliwości – to niepodobna – mówił sam do siebie. – Uczciwość nie pozwoli mu zniszczyć pobożnej fundacji ojców, nie mówiąc już o niegodziwej nauce Lutera – której przewrotność Werner zna doskonale. Zna? A po cóż kazał mu przybyć? Po cóż nakazał, abym bronił nauki katolickiej? Szermierka bezowocna na słowa nie może go przecież rozweselać – czegoż tedy chce dopiąć przez dysputę?

Umilkł, i w uczciwości Wenera szukał rozwiązania zagadki na korzyść klasztoru. Bliski szelest wyrwał zakonnik z poważnych myśli. Biało ubrana niewiasta jechała powoli na mule, którego prowadził sługa. Byli to Just i Gizela.

Kilka kroków przed Dominikiem zsiadła Gizela z muła. Z bojaźnią patrzyła na zakonnik, powoli zbliżała się do niego, aż dobrotliwym spojrzeniem zupełnie ją ośmielił. Widząc to oblicze, pobiegła do niego.

Just trzymał muła, patrząc z niedowierzaniem na zakonnik, ale wnet niedowierzenie ustąpiło. Zdjął z uszanowaniem czapkę z głowy i oczekiwał, jaki skutek mieć będzie rozmowa Dominika z Gizelą.

Zakonnik z wielkim współczuciem przysłuchiwał się opowiadaniu Gizeli o zniszczeniu zamku Hoenfels, o pojmaniu Wolfganga. Łkając, opisywała dziewczyna wszystkie wypadki ubiegłych co jeno dni.

– Uspokój się, córko – mówił starzec. – Chłopi wydadzą z pewnością drogiego ojca twego za mierny okup.

– To samom powiadał, czcigodny ojcze! – przerwał Just. – I mnie chłopi pojмали; naczelný wódz uwolnił mnie: i to z czystego szacunku dla mego pana. Myślę, że Rotenek jeszcze prędzej wypuści na wolność mego szlachetnego pana.

– Ale ile zniewagi będzie musiał znosić, zanim dojdzie do obozu, i dostanie się pod opiekę Rotenka! – mówiła Gizela z boleścią i znowu płakać zaczęła.

– Przecież widzieliśmy z góry – odpowiedział Just – że rozwiązali mu pęta, i rzeczywiście chyba diabłami byli, gdyby takiemu panu mieli dokuczać.

– Więc byłeś w obozie chłopów, dobry sługo? – pytał zakonnik po pewnym namyśle.

– Tak jest, czcigodny ojcze! Umyślnie dałem się pojmać, i niewoli mej jak najlepiej użyłem: naczelny wódz przyjacielem stał się moim.

– Rotenek, szlachcic, w rycerskiej niewoli trzyma jeńców, skoro tylko może spodziewać się okupu – mówił Dominik dalej. – Nie chciałżebyś wrócić do obozu i wypytać się w imieniu hrabiego Wenera, ile by wykupu żądali? Moim zaś staraniem będzie pozyskać dla tej sprawy Wenera.

Just zamyślił się, nie wiedząc, co robić. Przypomniawszy sobie, jakiego podstęp użył wobec wodza; przez pojmanie Wolfganga kłamstwo wyjdzie na wierzch. Jakżeż miał się odważyć stanąć przed wodzem?

– Nadzieja wykupu sprawi z pewnością, że Rotenek po ludzku będzie się obchodził z jeńcem – mówił zakonnik – spokojnie tedy uwolnienia jego wyczekiwać możemy.

– Pojmuję, jaki wasz zamiar! – odezwał się wreszcie Just, zdecydowany własną osobę poświęcić, aby pana ratować – skoro tylko nasza panienka będzie bezpieczną w zamku hrabiego, natychmiast udam się w drogę. Ale któż to tam? – spytał nagle – wskazując na drogę, gdzie właśnie ukazał się Luter z towarzyszami. – Kto to jest? Bodaj nie mnichy i to pewnie zbiegłe.

Obawa odbiła się w tonie sługi i w spojrzeniu, jakie rzucił na Gizelę.

– To Marcin Luter – odpowiedział zakonnik z westchnieniem.

– Luter? – zawołała dziewczica przerażona, i natychmiast stanął przed nią obraz straszliwego człowieka, którego kazanie takim obrzydzeniem ją przejęło. Łatwo być mogło, że będzie zniewolona z nim bliżej się spotkać? Może towarzysz ojca przedstawi ją wnet reformatorowi? Tysiąc głosów zdawała się słyszeć w piersi, które jej odradzały, aby nie stanęła w gościnie w Arnstein.

Spostrzegawczemu oku zakonnika nie uszła trwoga Gizeli.

– Moja córko – mówił – jeżeli nie przypada ci do usposobienia pobyt w hałaśliwym Arnstein, znajdziesz w Schoenfeld u zakonnic bardzo gościnne przyjęcie.

– Bardzo dobrze! To zupełnie wedle mej myśli – odezwał się Just. – Gdzie zbiegłe mnichy się zbierają, jak w Arnstein, tam zacnej dziewicy nie bardzo do twarzy.

– Oświadczenie wasze bardzo mnie uspakaja, czcigodny ojcze! Pragnę zupełnej osobności aż do powrotu mego ojca.

– Ażeby wnet powrócił, ja się postaram – powiedział sługa, siadając na muła. – Nad ranem stawię się tu, wezmę cenę wykupu, a nim słońce po raz drugi oświeci kopuły zamku, będzie pan mój gościem hrabiego; – pożegnawszy się, odjechał, chociaż zakonnik namawiał go, aby wprawdzie posilił się nieco.

– Dzielny sługa! Niezawodnie dobrze się sprawi – mówił Dominik. – Nim dwa dni przejdą, szczęśliwie wszystko się skończy, a dopóki to nie nastąpi, ja będę ci ojcem, moje dziecko!

W słowach i w całym braniu się zakonnika tyle było szczerości, że Gizela zapomniała chwilowego opuszczenia, w jakim zostawała, i oddała się z dziecięcym zaufaniem pod opiekę ojca duchownego.

To wzniosłe stanowisko katolickich kapłanów, którzy wolni od węzłów krwi mogą powierzonym sobie duszom zastępować ojca, jak wielkim jest dobrodziejstwem dla społeczeństw! A chociaż zdarza się czasami, że któryś z kapłanów zapomni o swych ślubach i podepcze je, jak to Marcin Luter uczynił, to jednak dobre skutki przewyższają o wiele szkodę, jaką z niezachowania celibatu Kościół ponosi.

Miły uśmiech rozlał się na obliczu Gizeli, patrzącej za zakonnikiem, który zwrócił się właśnie ku miejscu, gdzie stało czółno. Odwiązał linę i przyciągnął czółno bliżej brzegu, gdzie z łatwością można było dostać się do niego.

– Dziś samemu mi trzeba być przewoźnikiem – mówił z uśmiechem. – Zwyczajnie Herman ten urząd sprawuje, ale dziś zajęło go polowanie.

Gizela wsiadła w czółno na siedzenie, które Dominik naprędce przygotował, i właśnie odbijali od brzegu, kiedy z lądu doleciało ich wołanie. Koppe z Katarzyną zjeżdżali z góry.

Zakonnik zatrzymał się i badawczo przypatrywał się przybyszom. Oko jego zasmuciło się, gdy spojrzął na Katarzynę.

– To ona – ta nieszczęśliwa Katarzyna Bora! – mówił z cicha.

– Nie przewieźlibyście nas przez jezioro, czcigodny ojcze? – wołał Koppe, wskazując na zamek.

– Na koniach dojedziecie w trzy kwadranse do zamku. Ale jeśli wolicie jechać wodą, postaram się o prom, abyście razem z końmi przeprowić się mogli.

– Bardzo wam dziękuję, czcigodny ojcze! – odpowiedział Koppe, schodząc z konia. Twarz jego przybrała wyraz zadowolenia serdecznego, gdy tymczasem zakonnik mocno się zasmucił. Katarzyna dostrzegła zmianę w obliczu karmelity. Domyśliła się, że nie tylko jej osoba, ale i bliższe stosunki życia jej nie są mu obce, że więc jej widok wcale mu nie był pożądanym. Namiętne przywiązanie do nauki Lutra przyczyniło się bardzo do gwałtownego zniesienia klasztoru Nimptsch, w którym składała śluby zakonne. A jednak nie okazał karmelita niechęci dla osoby, z powodu której tyle stało się zniszczenia i zbrodni. Smutek i boleść wyrażały się na jego obliczu, ilekroć spojrzął na Katarzynę, ale właśnie ta niema rozmowa dziwny wpływ wywierała na narzeczoną Lutra.

Koppe zbliżył się aż do czółna.

– Nie moglibyście nam powiedzieć, czcigodny ojcze, czy Marcin Luter już przybył na zamek?

– Człowiek, o którego pytacie, już przybył! – odpowiedział Dominik, patrząc nie na Koppego, ale na Katarzynę. Poczym spojrzął ku ziemi i westchnął.

Zbiegłej mniszce nie uszło uwagi to westchnienie. Ciężko jej się zrobiło, a gdy spojrziała ku Schoenfeld, zdawało się, że plan jakiś dojrzał w jej głowie.

– Już przybył? Bogu dzięki! – radował się Koppe. – I wam dzięki za radosną nowinę! Pojedziemy drogą nam wskazaną, bo nim prom nadejdzie, niemało upłynęłoby czasu.

To powiedziawszy, dosiadł konia, Katarzyna zaś zsiadła z rumaka i pewnym krokiem zbliżyła się do czółna.

– Czy nie chcielibyście mi wyjednać pozwolenia, abym mogła kilka dni pobawić w klasztorze Schoenfeld? – pytała zakonnika.

– Z całego serca, moja córko! – odpowiedział starzec, i natychmiast rozjaśniło się oblicze jego.

– Czego chcesz? – zawołał Koppe przestraszony. – Do klasztoru chcesz pójść? Czyś zmysły straciła?

Zeskoczył z konia i zastąpił Katarzynie drogę do czółna.

– Nie przekraczaj danego ci pełnomocnictwa, panie Bernard! – groziła Katarzyna. – Wolna moja wola wybrała cię za towarzysza podróży, ale nie na opiekuna moich kroków i uczynków.

– Prawda! – mówił Koppe, nie usuwając się z miejsca – ale w tym razie postępujesz bez zastanowienia się.

– Mylisz się; wszystko bardzo dobrze rozważyłam!

– Wiem już, wiem! Temu łotrowi musieliśmy wpaść w ręce! Zburzenie Seelbronn wpłynęło na twoje usposobienie.

– Raczej powiedz, że bohaterska śmierć zakonnicy otworzyła mi oczy.

– O! co ty mówisz! Diabła to tylko sprawka! A wspomnij na twoje dawniejsze postanowienia; tych powinnaś dopilnować.

– Bezwstydny jesteś!

– To nie, ale stanowisko, jakie względem ciebie zająłem, nakazuje mi, abym nie dozwolił na nic, co by się sprzeciwiało dobrej sprawie.

– Zwalniam cię niniejszym od obowiązków; Schoenfeld jest obecnie celem mojej podróży, a nie Arnstein! – mówiła Katarzyna z przyciskiem.

– Czyż koniecznie twym postępowaniem chcesz sprowadzić upadek klasztoru? – pytał Koppe. – Czy sądzisz, że możesz bezkarnie przeniwierzyć się kochankowi, którego raz sobie wybrałaś? Czyż nie rozbije bramy klasztornej, a jeżeli będą wzbraniać się wydać ciebie, czyż gniew jego nie zniszczy całego klasztoru?

– Tego nie zrobi! – wtrącił Dominik. – Bo oprócz wszechmocnej obrony Boga znajdzie klasztor opiekę potężną w hrabim Wernerze. Nie lękaj się tedy nieszczęścia, i pozwól towarzysze czynić, co jej się podoba.

– Ale wy nie wiecie wszystkiego, wy jej nie znacie – przekonywał Koppe. – Gdyby mi pewne względy nie nakazywały milczenia, gdybyście przeczuwali, jakie stanowisko zajęła Katarzyna Bora, z pewnością ze mną byście się zgodzili, by snadź jej postępek nie sprowadził nieszczęścia na piękny klasztor.

– Wiem wszystko! – odpowiedział zakonnik, i nie patrząc wcale na Katarzynę, mówił dalej: czemuż przeszkadzasz nawróceniu się nieszczęśliwej niewiasty? Obalamucona przez fałszywych przyjaciół Pisma, rozdarła zakonną zasłonę, złamała śluby, złożone Bogu, aby zawrzeć inne z odstępca; czemuż jej nie pozwalasz żałować i pokutować? A choćby też razem z nią przyszło nieszczęście i zniszczenie na klasztor, nie mógłbym i nie chciałbym wzbraniać jej w nim pobytu, bo zbawienie jednej jedynej duszy więcej warte, niż świat cały. Trwaj więc w twoim postanowieniu, moja córko! Ratuj duszę swoją. Wyrzecz się na zawsze grzesznego związku z Lutrem.

Koppe osłupiał. Słowa zakonnika i na Katarzynę wywarły wpływ wielki. Daremnie chciała ukryć wzruszenie: łzy potoczyły się z jej ocz, gdy Dominik odezwał się jeszcze z serdeczną prośbą:

– Bądź stałą, córko! Zostań wierną Oblubieńcowi, którego wołanie i prośbę może po raz ostatni słyszysz przed drzwiami serca twego. Wszakżeż wszystkiego ci chce zapomnieć, i pragnie miłować nawróconą, jak ją miłował dawniej.

Koppe dosłyszał głębokie westchnienie Katarzyny, widział jej łzy, a ten widok zmienił go zupełnie. Zrzucił owczą skórę, a przywdział skórę rozjuszonego wilka.

– Cicho, zdrajny mnichu, cicho! – zakrzyknął na zakonnika. – Złe nas sprowadziło w to miejsce. Jeśli nie przestaniesz pracować dla diabła, przysięgam, że siwą głową odpowiesz za wszystko!

Dominik przyjął obelgę i groźbę spokojnie.

– Wstydz się! – mówiła Katarzyna oburzona. – Dobroć pobożnego tego męża nie upoważnia cię wcale, abyś miał go znieważać. Na zupełną zasługujesz wzgardę. Idź, gdzie chcesz; ja pójdę, kędy wola moja mnie powiedzie!

To mówiąc pobiegła do czółna. Koppe przytrzymał ją.

– Przemocą powstrzymam głupie twoje zapędy! A jeśli ten zdrajca ośmieli się bronić cię, Bóg mi świadkiem, że to żelazo utopię w jego piersi.

I dobył długiego noża na Dominika, który stał nieporuszony.



– Puść mnie, nędzniku! – wołała Katarzyna, wydzierając się z rąk Koppego. – Puść mnie, bezwstydnny człowieku! Ustąp podły sługo! – i gwałtownie szarpała go za brodę.

– Szarp – szarp dłużej! – naigrawał się Koppe, nie spuszczać oka z zakonnika. – Z tobą się uporam, a dopóki pomoc z zamku nie nadbiegnie, nie ujdiesz mi z pewnością.

W zamku widocznie dopatrzono nierównej walki, bo kilku mężów biegnęło szybko ku jezioru. Katarzyna byłaby prawdopodobnie zmuszona zmienić postanowienie, ale niespodzianie zjawiała się dziwna bardzo pomoc.

Broniła się dzielnie, nie szczędząc rąk ani języka. Wtem zaszeleściło coś w gęstwinie, gałęzie się rozsunały gwałtownie, najpierw słychać było warczenie, a potem ukazały się dwa wielkie psy, jakich używano do szczucia niedźwiedzi. Instynktem poznały psy, która strona słabsza. Obeszły w koło, jak gdyby się chciały przypatrzeć, z której strony najlepiej zaczepić nieprzyjaciela, poczym jeden skok, a napastnik leżał, jęcząc, na ziemi.

Zakonnik, stojący dotąd nieporuszony, rozwinął teraz niezmordowaną czynność, aby Koppego wyrwać od pewnej zguby. Pochwyił psy i wstrzymał je od ponownej napaści.

– Pluto – pójdziesz! – pójdziesz Nero!

Psy usłuchały, łaszcząc się zakonnikowi – ustąpiły.

Koppe podniósł się z wolna. Oprócz sukni, nieco poszarpanej, wyszedł bez szwanku.

Katarzyna szybko skorzystała z chwili, wsiadła w czółno, gdzie ją Gizela z wielkim przyjęła współczuciem.

– Przecież cię nie pogryzły? – pytał Dominik, pomagając Koppemu w porządkowaniu poszarpanego ubioru.

– Diabli niech biorą te bestie! – klął Koppe w odpowiedzi. – Ale czekaj – ty i twój pan odpokutujecie za to!

– Psy nie są moje, jeno młodego hrabi Hermana. Otóż patrz – patrz, idzie!

Dominik wskazał na młodzieńca, który właśnie wychodził z lasu.

Herman trzymał w ręku oszczep, na którym wisiała świeża skóra niedźwiedzia. Koniec ułamany drugiego oszczepu tkwił w pasie i świadczył, jak zaciętą musiała być walka z niedźwiedziem. Ubranie młodzieńca bardzo było skromne. Wąskie jelonkowe spodnie, długie buty, kaftan z rozciętymi rękawami i czapka ozdobiona piórami i szponami orlimi, stanowiły całe ubranie młodziutkiego strzelca. Oblicza był pięknego, rysów szlachetnych. Z oczu tryskała odwaga i dobroć serca. Bujne kędziory zdobiły głowę, a że je wiatr roztragał, gładził je właśnie starannie.

Nie spostrzegłszy czółna, szedł prosto ku Dominikowi, który po przyjacielsku dłoń mu podawał. Na Koppego, który nisko się kłaniał, ledwo spojrzał.

– Tym razem długo wam potrzeba było czekać, dobry ojcze! Ale przyrzekam, że na przyszłość więcej będę miarkował zapędy myśliwskie. Odzieranie ze skóry zabrało mi wiele czasu, boć nie chciałem zostawić kożucha. Patrzcie! jaki piękny! i patrzył na zdobycz z radością i dumą właściwą myśliwym.

– Ale mój synu! – zdaje mi się, że zanadto byłeś śmiały! – mówił Dominik, patrząc na złamany oszczep. – Nie podejmuj walki sam z dzikim zwierzem, bierz ze sobą przynajmniej strzelca Wilfrieda. Czy przewieziesz nas do klasztoru, czy też pójdiesz z tym człowiekiem do Arnstein?

Herman teraz dopiero spostrzegł obce kobiety w czółnie. Widział, jak Gizela zarumieniła się, gdy dostrzegła, że Herman dłużej na nią patrzył. Wybór wnet nastąpił.

– Broń mnie, wielmożny Panie! – zaczął Koppe drżącym głosem. – Widzisz przed sobą Katarzynę Bora, oblubienicę sławnego reformatora. Pragnie być w klasztorze Schoenfeld, a ten czcigodny ojciec życzeniu jej chce uczynić zadosyć.

– No, to niech idzie, gdzie chce! – odpowiedział Herman.

– Ależ, panie – rozważ: Marcin Luter z upragnieniem oczekuje jej w Arnstein, a ja mam pozwolić, aby uszła do klasztoru?

– Mniejsza o to, augustianin nie zrobi ci nic za to – dopomogę ci i bronić cię będę przed surowym Doktorem.

– Tego nie chcę, wielmożny panie! W tym mi wasza pomoc nie potrzebna!

– Cóż tedy?

– Wielmożny pan niech rozkaże, aby Katarzyna opuściła czółno, i zniewoli ją, aby ze mną się udała.

– Zniewolić? Broń Boże! Więc myślisz, że gwałtu użyję przeciw słabej niewieście? Ta droga prowadzi do Arnstein, gdzie gościnnego doznasz przyjęcia.

Herman odwrócił się od niego i pobiegł do czółna, gdzie mu Dominik przedstawił Gizelę, w krótkich słowach opisując jej położenie.

Hrabia pozdrowił dziewicę wedle rycerskiego zwyczaju, gdy tymczasem dla Katarzyny maleńka ledwo znalazła się grzeczność.

Czółno odbiło od brzegu, a mocną dłonią młodzieńca kierowane, puło prędko siną powierzchnię wody.

Koppe z przestachem patrzył za odpływającymi. Klął zakonnika, Katarzynę i świat cały, nawet samego siebie.

– Diabla to sprawa, że zmienna ta kobieta dała się obalamucić! Tego właśnie było potrzeba, aby Knopf, ten błazen, spalił klasztor. Powietrze klasztorne ją zatręło. Chciała rozum przywrócić zatwardziałym mniszkom, a sama go u nich straciła!

– A reformator? – mówił po chwili. – Jak ten się będzie wściekał! I słusznie doleję jeszcze oleju do ognia, aby płomień rozdmuchiwać tak długo, aż to przekłete gniazdo razem z przekłętym karmelitą runie, jak runął w tych czasach niejeden przybytek Sodomy.

Z tym pięknym postanowieniem, rzuciwszy mściwym okiem na klasztor, dosiadł konia, wziął za cugle drugiego, i udał się drogą do zamku.



# Uprzykrzony przyjaciel

~~~~~

"O przykry, nieznośny. –
Jak koń zmęczony, jak żona zrzędna,
Gorszy niż izba dymna!"

Shakespeare.

Hrabia przygotowywał początkowo bardzo wspaniałe przyjęcie dla słynnego człowieka. Ponieważ nie wiadano dokładnie, kiedy Luter przybędzie, oczekiwali go już od kilku dni najznamienitsi panowie z okolicy w gościnnym zamku. Mały, ale dobrze uzbrojony zastęp wojowników hrabiego miał stanowić straż honorową. Już też kwiaty i wieńce były przygotowane, aby przy zbliżeniu się Doktora jak najprędzej ozdobić wieże, mury i bramy.

Atoli przyjęcie było bardzo skromne i ciche. Służba zakonna szeptała sobie, że zmianę pierwotnego planu zrobiło przybycie starego Siegfrieda z Erfenstein. Ważne snadź przywiózł nowiny, bo Werner stał się nagle poważnym, a gdy mu doniesiono o zbliżaniu się Lutra, zakazał wszelkich ostentacji. Wyszedł mu naprzeciw aż do bramy zamku, przyjął go serdecznie, i wspaniałą ucztą uczcił jeszcze tego samego wieczora znamienitego gościa.

Reformator najmniejszego nie zdradzał niezadowolenia ani z tego, że nie było przygotowanego dlań statku na jeziorze, ani też ze skromnego przyjęcia. Wyborne wino, podawane przy uczcie podniosło zwykły przy ucztach wesoły jego humor, tak, że sam jeden prawie znamienitymi dowcipami bawił całe towarzystwo. Koppe, widząc to, już posądzać począł reformatora, że ostygł w miłości dla narzeczonej, skoro wcale się o nią nie troszczył.

– Głupiś! – mówił Luter Koppemu, gdy mu począł w tym względzie robić uwagi. – Na cóż się zda lamentowanie? Skargi jeszcze by sprawę pogorszyły. Ale za to ci ręczę, że ani mury klasztoru, ani głowa starego obłudnika nie stały się mocniejszymi przez przyjęcie Katarzyny do klasztoru. Czyń, co ci każe.

To uspokoiło Koppego. Cieszył się z drugimi przy uczcie, i dopiero późno w noc, a raczej nad ranem opuścił z ostatnimi biesiadnikami salę.

Siegfried sam jeden brał udział w świetnym bankiecie, danym przez dawnego towarzysza broni.

Udając znużenie, usunął się, nie pokazawszy się nawet reformatorowi. Za to już nad ranem był na nogach. Strażnik nawet spał na wieży, gdy Siegfried obok jego komory przechodził na ów balkon, który wisiał ponad głębinami jeziora.

Chłodne ranne powietrze owiało rycerza, gdy drzwiczki otworzył i na ulubione hrabiego wstępował miejsce. Widok prześliczny roztaczał się wkoło. Pod nogami czarna, groźna powierzchnia jeziora. Drzewa na brzegach stojące, szumiąc z cicha, zdawały się przymilać groźnej wodzie. W południowej stronie piękne wioski ukazywały się, otoczone drzewami, a wśród nich wznosiły się kościoły, jako kokosze wśród kurcząt gromady. Dalej, ku wschodowi błyszcząły gór szczyty, oświecone promieniami wschodzącego słońca. I rzeki jak wstęgi srebrne, przerzynały okolicę, pyszne zamki wznosiły się na skałach, wsie i okolice w równinie, na wzgórkach klasztory z cichymi mury, a wszystko wspaniałe. Na północ sterczała skała przy skale, jak gdyby Stwórca chciał tu być naśladować wały wzburzonego morza. Na prawo od skalistej i lesistej okolicy rozciągała się miła równina, pokryta wioskami, gajami, upiększona łąkami.

Siegfried długo przyglądał się wspaniałemu obrazowi. Dusza jego zdawała się wrywać kędyś w przestrzenie. Jakieś pragnienie, jakoby oddalonego celu, nim owładnęło; myśl rwała się hen gdzieś w przestworza, oko szukało czegoś tęsknie, aż wreszcie spoczęło na powierzchni ciemnego jeziora. Zbliżające się kroki przerwały zadumę. Werner wszedł na balkon.

– Tutaj cię znajduję, Siegfriedzie? – zawołał zdziwiony.

– Po tobie należą się pierwsze odwiedziny miejscu, gdzieśmy marzyli w młodości, gdzie nam serce rosło na widok wielkiej niemieckiej ojczyzny. Porównywałem piękną przeszłość z teraźniejszością, i obraz ostatniej – kończył Siegfried znacząco – nie najlepiej się przedstawił.

Popatrzył przyjacielowi w oczy i zamilkł. Widać, że czułą bardzo strunę poruszył w duszy Wenera. Bo hrabia nie wytrzymał wzroku, spojrzął w bok, mimo woli w stronę klasztoru. Wreszcie przerwał milczenie.

– Uwagi twoje, Siegfriedzie, nie pozwalały mi zasnąć. Wybór trudny, bardzo trudny!

– Co? trudny? – zawołał Siegfried ze zdziwieniem ale i z pewnym gniewem. – Trudny dla mego Wenera, który pragnie z całej duszy szczęścia i

sławy ojczyzny? Trudny dla mego towarzysza broni, którego mocne ramie niejedno działało dla wślawienia narodu niemieckiego? Nie, Wernerze, samego siebie oszukujesz! Dla ciebie nie ma tu wyboru. Płomień coraz większy ogarnia państwo, wściekły rokosz rozbija wszelkie spójnie, druzgoce wszystkie zapory; cześnik z Waldburga staje na czele zagrożonej szlachty, twego miecza potrzebuje, a tobie się zdaje, że wybór trudny? W czymżeż właściwie chcesz wybierać?

– Cześnik gorączka; sprawa przed czasem podjęta! – odpowiedział hrabia.

– Przed czasem? Więc mamy czekać tak długo, aż wszystko w państwie będzie w ruinie? Oczywiście, ty spokojnie patrzeć możesz na burzę, bo twój zamek drwi z napadu chłopów. Ależ, Wernerze, jak możesz patrzeć na wznoszące się ku niebu codziennie słupy ogniste, trawiące zamki i klasztory? jak możesz patrzeć na to i milczeć?

– Dobrze! Zgnieciemy rokosz chłopów, zwrócimy dzikie pospólstwo na dawną drogę – ale cóż przez to zyskamy? – pytał hrabia z namysłem. – Czy stąd przybędzie państwu siły i mocy? Nie zacznieś się zgniły żywot na nowo? Moje zdanie takie: cesarz niech uchwyci ster całego ruchu, niech go zwróci przeciw pysznym książętom i niech złamie ich wybujałą aż nadto przewagę. Nie będzie potem więcej piłką w ręku możnych, nie będzie żebrał u drzwi tych, którym powinien rozkazywać.

– To znaczy innymi słowy: cesarz niech uświęci przyłączeniem się swym zgubny rokosz, niech otwartą wypowie wojnę państwu i Kościołowi. Niech w końcu przyjmie Ewangelię Augustianina, niech strąci ze stolicy Papieża, niech święte rzymskie państwo stopi w obecnym ogniu, i potem utworzy z wszystkiego coś, gdzie boski majestat cesarza będzie kościołem, narodem i wszystkim. Czy Franciszek z Sikingen nie marzył o czymś podobnym? Bogu dzięki, że mu się nie powiodło!

– A potem – wtrącił Werner, nie zważając wcale na Erfensteina – niech cesarz ukróci wpływ Papieża na sprawy państwa. Niech zakáže świętopietrza i zniesie inne daniny, które płyną do Rzymu. W końcu niech zwróci nową Ewangelię przeciw rzymskim nadużyciom, przeciw rozwiązłym obyczajom w klasztorach i przeciw oburzającemu kramarzeniu odpustami.

– Precz z wszelkim nadużyciem! precz! – zawołał Siegfried. – Precz, ale nie za pomocą rokoszu. Czysta Ewangelia Lutra nie dąży do reformy w klasztorach: ona odrzuca i potępia wszelkie umartwienie i zaparcie się siebie.

Założyciel nowego kościoła nie chce naprawy w głowie i członkach, jemu chce się zniszczyć wszystko, co dawne, i założyć nowy kościół i nowe państwo wedle własnego pomysłu.

– Niech sobie buduje! Mąż ten zdaje się być do spełnienia tego zadania powołany.

– Naturalnie!

Na obliczu Siegfrieda ukazał się wielki smutek i boleść. Zdziwiony patrzył na hrabiego; na lica rumieniec mu wystąpił, oko mu się zaiskrzyło i począł mówić znowu głośno i namiętnie:

– Nie znasz, bracie, nauk zapamiętałego mnicha! Takie nauki nic nie zbudują, psują i rozwiązują raczej wszystko. Rozpuszczają wodze wielkim namiętnościom, sprawy ludzkie nie mają dotąd w żadne być ujęte karby; nawet modlitwę odrzuca, szydzi ze ślubów, z zaparcia się siebie, z pobożnego życia, wylewa jad na dobre uczynki. I takie nauki miałyby budować?

– Zanadto surowo sądzisz Lutra – bronił Werner. – Mąż ten z przyrodzenia jest cokolwiek gwałtowny. Poczciwość jego pcha go za daleko na widok tyle złego w Kościele i państwie.

– Nie! nie! – odparł Siegfried. Niechby sobie szydził i wyzywał, to można by mu przebaczyć. Ale Luter więcej chce, niż nadużycia usunąć. Dąży on do tego, aby własne jego pomysły zajęły miejsce wiary ojców naszych, samego siebie nazywa ustami Chrystusa, nieomylnym posłańcem Bożym; a wreszcie pragnie, szalony, rozerwać całe państwo w sztuki.

Werner popatrzył na przyjaciela zdziwiony, i nie mogąc ukryć niedowierzania, rzekł:

– Do tego zbywa mu na sile, choćby i wolę miał największą.

– Wolę ma, to nie ulega wątpliwości, a siły doda mu nasza słabość – odpowiedział Erfenstein. – Wspomnij jeno na ubiegłą co dopiero wojnę! Jak to podstępnie umiał on użyć rycerstw do swych planów. Pozwolił im ograbić kościelne zakłady i klasztory, wmawiając, że to diable wynalazki. Podstęp udał się: panowie sięgnęli po dobra kościelne, i popadli w banicję i klątwę kościelną. Ależ tego właśnie chciał Luter, bo zamierzał postawić panów przeciw Kościołowi i przeciw państwu. Franciszek z Sikingen rozwinął sztandar rokoszu. Kościół, cesarza i książąt ogłoszono za nieprzyjaciół! Na szczęście nie dane było przyjacielowi i sprzymierzeńcowi Lutra nosić purpurę cesarską,

po którą zuchwale sięgał. A dziś co? Pierwszy ogień zagaszono szczęśliwie. Bunt szlachty upadł i dlatego poszukał sobie reformator nieszczęsny mocniejszego sprzymierzeńca. Znalazł go w chłopach. Chłopi niszczą wszystko do szczętu. Pożoga ich nie szczędzi ani kościołów, ani klasztorów, ani zamków, ani zakładów, ani siedziby panów! A to dobrze rozważ, że chłopci wszystko czynią wedle wskazówek i nauk reformatora. Wolna Ewangelia ma zatrzeć wszelki ślad dawnej głupoty, aby powstało nowe królestwo Syjon.

– Książęta i szlachta przytłumią rokosz dość wcześnie! – twierdził Werner.

– Dość wcześnie?

– Tak jest, skoro tylko wszystkie rany będą wypalone. Niektóre rzeczy tylko gwałtem, mieczem i ogniem można naprawiać.

– Już znowu odzywasz się z nadużyciami! O to tu wcale nie chodzi; nie rozumiem, jak możesz być tak krótkowidzącym. Przypuściwszy, że książęta i szlachta poskromi rokosz, czy sądzisz, że zbiegły, chciwy ożenku mnich, ów demon państwa, się zadowoli? Nigdy! Właśnie wtedy sięgnie po najniebezpieczniejszą ale pewną broń. Najpierw podszczył szlachtę, potem lud, a teraz nawet książęta będą zniewoleni torować drogę jego nauce. Obejrzyj się tylko po państwie, czyż nie ma Luter większej części książąt za sobą? Zaprawdę, że przebiegle przygotował wszystko! Ledwo jeden mur upadnie, już drugi stoi. Nawet duchowni dostojnicy mają ochotę połączyć się z nim. Mistrz Albrecht z Brandenburgii już zabrał dobra duchowne i ogłosił się udziałnym księciem; a co mówią o arcybiskupie Mogunckim, wiesz dobrze. Reformator rozdaje kraje, mitry książęce i płaszcze: iluż znajdzie się książąt, którzy by oparli się takiej pokusie? Będą zabierać, jak zabierała szlachta, a któż takich panów zwróci na drogę prawa? Papież? Z Papieża szydzić będą. Dawniej! o dawniej głos Papieża całe państwo poruszał, ale dziś przebrzmiewa jego głos bez skutku, bo wedle rozszerzonej nauki nie przemawia już dziś namiestnik Chrystusa Pana, nie ojciec chrześcijaństwa, ale diabeł i antychryst. O zapamiętałości! Zastępcą Chrystusa, powagą nieomylną jest teraz wyuzdany mnich. Alboż czy cesarz ma użyć przemocy na książąt? Tego Luter pragnie – cesarz i książęta mają się szarpać wzajemnie, państwo ma z tysiąca ran krew przelewać, aż ją wytoczy zupełnie. Kto w końcu zostanie zwycięzcą w tej nierównej walce wielu, rzecz jasna! Święta władza cesarza zniknie na wieki, – zniknie jedność i siła państwa! Gdzie jeden panował, chce panować wielu...

Jakkolwiek hrabia kilka razy chciał przerwać Erfensteinowi, to przecież wstrzymywał się zawsze, słysząc przekonywające jego słowa i w tak dziwny sposób wypowiedane myśli. Skoro zaś Siegfried mówić przestał, udawał Werner, że nic trafnego odpowiedzieć nie może, jakkolwiek czuł się obrażonym i jakkolwiek zdania Erfensteina przeciwne były tajemnym jego zamiarom.

– Państwo niemieckie rzeczywiście zdaje się być przeznaczone na rozdzielenie pomiędzy wielu – odezwał się wreszcie, chcąc takim wybiegiem ukryć odzywające się w nim uczucia. – Toć od dawna dwóch miało panów: cesarza i Papieża! Ostatni wiele nieszczęścia sprowadził na nie, do wielu pobudził walk, a mało zdziałał dobrego. Luter zostawia cesarzowi, co jest cesarskiego!

– O tak, – jeszcze więcej! Daje nawet cesarzowi to, co jest Boskiego! – odpowiedział Erfenstein z ironią. – Brzydką robotę swoją: kościół państwowy, rzuca służalczo pod nogi swawoli książąt; wszetecznicy swej każe oddawać przysługi, jakich książęta zażądają. Zupełnie słusznie! Taka niewolnica nie podniesie się nigdy w świętym gniewie, aby wskazać wyuzdanym książętom, czego chcą przykazania Boże! Niewinnie odepchnięta niewiasta nie znajdzie nigdy opieki w służalczym kościele Lutra przeciw okrucieństwu książęcych małżonków (1). Chętnie uginam kolana przed świętą władzą Kościoła nawet wtenczas, gdy z nieba woła zemsty na tych, co zuchwale grzeszą przeciw sprawiedliwości i prawu Bożemu. Nie szydź, przyjacielu, z potęgi słów papieskich! Właśnie Papieże uczynili naród nasz wielkim i mocnym przez onego ducha jedności, która mocnym węzłem złączyła wszystkich. Lutra trucizna rozsadzająca zerwie ten węzeł jedności i rzuci państwo na zgubę. O! czemuż przychodzi mi na pamięć ona myśl straszna o rozdwojeniu w państwie, hańbie i sromocie! Naród nasz, pierwszy w świecie, ma się sam rozdzierać w kawały, osłabiony ma bić pokłony łotrom; nie ma, odarty z potęgi i godności, więcej przemawiać w radzie narodów! Niech będą przeklęci wszyscy, których zabiegi szatańskie kopią grób naszemu narodowi i gotują mu hańbę! Niech będzie przeklęty mnich, którego bezbożna prawica sieje ziarno niezgody na ziemi niemieckiej!

Tak mówił Erfenstein z wyrazem strasznego bólu i gniewu. Prawicę groźnie wyciągnął, oko pałało, twarz się rozogniła, a gdy skończył, głowa opadła mu na piersi, usta drgały kurczowo, a w oczach łzy zabłyśły.

Hrabia ujął drżącą prawicę Siegfrieda. Widocznie wzruszyły go ogniste słowa, bo natychmiast powiedział:

- Cześćnik moją otrzyma pomoc.
- Dokończ twego zwycięstwa, przyjacielu! zerwij związki z reformatorem!
- Niepodobna. Przynależem mu, że tu może oczekiwać swej oblubienicy.
- Niech sobie czeka!
- I na to dałem mu słowo, że wolno mu w uczonej dyspacie z Dominikiem dowodzić swojej nauki.
- Niech i to zrobi!
- Czegóż chcesz więcej?
- Nie czyni nic wedle nauki Lutera, bądź opiekunem klasztoru w Schoenfeld, jak byłeś dotąd.

Hrabia zastanowił się.

– Czyż mają znieważać imię twoje i powtarzać, że hrabia Werner jest drapieżcą klasztorów, łupieżcą kościołów, burzycielem pobożnych zakładów i instytucyj ojców?

– Ale czyż będę mógł utrzymać klasztor? – zauważył Werner. – Jeśli jutro nadciągnie dziesięć tysięcy chłopów, czyż przeszkodzę rabunkowi z małą moją garstką?

– Do tego nie przyjdzie. Nim dwa tygodnie miną, będą chłopci na głowę pobici. Jeny daj słowo twoje, słowo na uspokojenie moje, że odrzucasz wszelką myśl zaboru klasztoru.

Werner nie spieszył się z odpowiedzią. Widocznie sprzeciwiało się to żądanie tajemnym jego zamiarom. Podczas, gdy przemyślał jakby się wywinąć, stanął przy nich Koppe, ku niemałej radości hrabiego.

– Pozwólcie służyć waszemu zanieść prośbę! – mówił Koppe błagalnie, kłaniając się nisko, i przybierając pokorną bardzo postawę.

– Bardzo chętnie, Bernardzie, czy zaraz?

– Jeśli wolno powiedzieć, to zaraz!

– Darujesz, Siegfriedzie! – mówił Werner i odszedł z balkonu.

– Czegóż sobie życzysz? – pytał hrabia, gdy weszli do komnaty.

Przebiegły towarzysz Katarzyny zaczął prośbę swą pochlebny bardzo wstępem.

– Najłaskawszy panie – mówił, złożony rękę na krzyż – wszystkie pokolenia będą was sławić za gościnność, jaką okazujecie słynnemu reformatorowi.

Pan zamku uśmiechnął się, bo, niestety! nie był wolny od pychy. Koppe dopatrzył uśmiechu, i jeszcze bardziej się skłonił, przybierając minę bardzo nieszczęśliwego.

– Czy cię jakie nieszczęście spotkało, Bernardzie? Spodziewam się, że moi goście nie doznają przykrości!

– Gościnność wasza znana jest całemu państwu, najłaskawszy panie. Kto by tu mógł doznać nieprzyjemności? Wielki reformator nie bez myśli wybrał dawną siedzibę hrabiów na miejsce spotkania się z narzeczoną, bo tu Karol Wielki, potężny Rudobrody i inni cesarze doznawali gościnności.

Werner pogłaskał brodę, zapewne aby ukryć uczucie, które w nim wzbudzało dobrze obrachowane pochlebstwo.

– A jednak, najłaskawszy Panie, któżby uwierzył? – i Koppe rozpląkał się prawie. – Jeden ze sług waszych obraził ciężko gościa waszego, Lutra.

– Co?

– Mąż, który od waszej zależy łaski, obraził go mocno.

– Kto taki, powiedz?

– Dominik, karmelita!

– Dominik? i cóż zrobił? – Werner ochłonął z gniewu na imię karmelity.

– Wczoraj, jak wiecie, spotkaliśmy go nad jeziorem. I tam podstępą mową nakłonił narzeczoną waszego gościa do ucieczki. Tak długo ją namawiał, aż mimo mych łez i próśb postanowiła z nim uciec do Schoenfeld. I przez to stał się dom wasz dla sławnego reformatora miejscem tajemnych łez i ciężkiej bóleści, – a przecież spodziewał się, że w waszym domu najpiękniejszych dozna chwil życia.

– Ale jakże mógł Dominik tego się dopuścić? Jak mogła Katarzyna Bora tak się dać uwieść?

– Najłaskawszy panie, takie samo pytanie sobie zadawałem, jak się to stać mogło? Ale się stało. Serce kobiety słabe, zmienne, łatwo się da poruszyć. Dominik, to przebiegły człowiek: pięknymi słówkami, dowcipnie użytą groźbą piekłem i potępieniem wiecznym potrafił nawrócić dawniejszą zakonnice do klasztoru.

– I czegoż chcesz ode mnie?

– Hrabio! skróćcie boleść ciężką waszego gościa! Rozkażcie siłą wyrwać z klasztoru uwiedzioną narzeczoną, zanim głębiej nie dostanie się w sieci przebiegłego zakonnika.

– Siłą? To nie uchodzi! Zakonnice gwałtem wyrwać z klasztoru? Za taki uczynek czeka banicja i klątwa!

Koppe, dotąd schylony, podniósł się i patrzył zdziwiony na hrabiego, jak gdyby chciał powiedzieć: a ciebie co obchodzi Kościół i państwo? Wzgardź obydwoma!

Nie tajne były hrabiemu skutki takiego uczynku. Przezeń stanowczo byłby stanął po stronie reformatora i dałby być poznać, że ustały wszelkie względy, które go dotąd wstrzymywały od zniesienia klasztoru. Że Koppe właśnie do tego zdążył, ani przez myśl mu nie przeszło.

– Po cóż koniecznie używać gwałtu? – odezwał się hrabia po krótkim namyśle. – Tego wcale nie potrzeba. Dominikowi dam poznać wolę moją, aby natychmiast wydał narzeczoną.

– Sługom waszym, najłaskawszy Panie, byłoby takie życzenie świętym rozkazem! Każdy głosiciel nowej nauki czułby się szczęśliwym, gdyby mógł wypełnić wolę opiekuna. Właśnie na tym polega sława luterskiego kościoła, że w pokorze uniża się i służy tym, którzy się nim opiekują. Ale czyż rzymski Kościół nie czyni zupełnie przeciwnie? Czyż nie stawiał czoła królom i cesarzom? Czy ten Dominik nie pogardzi waszą wolą i nie podniesie dumnej głowy przeciw wam?

– Ani myślę o tym! – odpowiedział hrabia głosem, w którym groźba przebijała. – Natychmiast poślę do klasztoru.

Przystąpił do drzwi, które się właśnie otwierały. Herman wszedł z chłopcem, który trzymał w ręku zapieczętowany list i otwartą karteczkę.

– Dziwny posłaniec przychodzi do domu naszego, ojcze! – mówił Herman, podając hrabiemu karteczkę.

Werner zasepił się, czytając pismo. Prawą rękę przyłożył do ust, lewą trzymał karteczkę, z której nie mógł oderwać wzroku.

– Tak będzie jak powiedziałem, Bernardzie! – i zwrócił się do Koppego, dając mu znać, że ma opuścić komnatę.

Koppe skłonił się prawie do ziemi, i cofając się do drzwi powtarzał wschodnie pokłony, aż wreszcie hrabia z chłopcem począł rozmawiać. Skoro tylko Koppe wyszedł za drzwi, wyprostował się, rozśmiał szyderczo i tryumfująco, a zdążając do komnaty, w której reformator przebywał, mówił do siebie:

– Hrabia już nasz, narzeczona nasza, klasztor nasz i karmelita nasz. Obydwu ostatnich diabeł weźmie. Oby tylko mnich nie chciał wypełnić woli hrabiego!

Wszedł do mieszkania Lutra.

Przypisy:

(1) Erfenstein ma tu na myśli króla Lotara, cesarza Henryka IV, Filipa francuskiego i innych, którzy prawe małżonki odepchnęli, ale których klątwa papieska i interdykt zwrócił znowu na drogę moralności.



Zalotnik

~~~~~

"Dałem ci rozkaz abyś dom mój mijał,  
Bo słyszałeś, jakem ci otwarcie powiedział:  
Moje dziecko nie dla ciebie!".

*Shakespeare.*

- Kto ci wręczył tę kartkę, chłopcze? – pytał hrabia.
  - Jakiś pan nieznajomy.
  - Gdzieś go spotkał, jak wyglądał?
  - Siedział na kamieniu w dolinie, pytał dokąd idę, a potem dał mi tę kartkę.
  - Dziwna zaprawdę wiadomość! – mówił Werner, a patrząc w pismo, czytał: "Strzeżcie się, panie! Wnet na was kolej". Cóż to znaczy?
  - Chłopi szykują się na nas – zagadnął Herman.
  - Czy to był chłop, zakonnik, czy szlachcic?
  - Na chłopca nie wyglądał – odpowiedział chłopiec. – Ani zakonnikiem nie był, bo miał długi miecz przy boku i róg bardzo piękny. Na czapce piękne pióra, kaftan zielony i czarny, złoty, czerwony i żółty.
  - Może to próżne strachy – mówił Werner. – A to co? – i otworzył zapieczętowane pismo. – Ach, od karmelity! Zaraz możesz mu dać odpowiedź. Czegoż chce? Wykupu za rycerza z Hoenfels? Chłopi, pisze, schwytali go. Wieczorem musi się odbyć dysputa, spodziewam się, że Lutra pokona, bo inaczej! Więc żebrze znowu. Ile dać wykupu, nie pisze.
  - Każdej chwili spodziewają się z powrotem posłańca wysłanego do obozu chłopów – odpowiedział Herman.
  - Powiedz czcigodnemu ojcu – mówił hrabia, stając przed chłopcem, – że jeszcze dziś dam mu znać, co myślę uczynić. A to dla ciebie; tęgi z ciebie chłopak, sądzisz o ludziach z piór, czapek i rogów!...
- Przy tych słowach dał mu srebrny pieniążek i kazał odejść.

Wesoły chłopiec, ucieszony srebrnikiem, opuścił zamek, którego właścicielowi wszystkie skarby tyle nie sprawiły radości, ile jemu otrzymany podarek. Prędko znalazł się w dolinie. Z tego, co widział, osądził, że kartka, którą zaniósł musiała być wielkiej wagi, dlatego z daleka już patrzył, czy na kamieniu jeszcze siedzi ten sam człowiek, który mu kartkę wręczył. Skoro go zobaczył, zwolnił biegu, nieznajomy zaś natychmiast powstał, i biegnąc ku chłopcu, pytał:

– Oddałeś karteczkę?

– Oddałem, panie!

– A hrabia co mówił?

– Że to może próżne strachy.

– Próżne strachy? Że też nigdy nie zważamy na przestrogi! Nie wiesz ty, chłopcze, czy jacy obcy goście nie przybyli wczoraj do klasztoru?

– Co dzień przychodzą do nas obcy. Izdebka odźwiernego często pełna aż do uduszenia, tyle nabiera się głodnych po chleb i polewkę. Sam jestem sierotą, nie należę do klasztoru, a przecież mogę tam pozostać, aż nie urosnę i nie będę umiał zapracować sobie na chleb.

– Dzielny z ciebie chłopiec! Nie przybyła wczoraj do klasztoru jaka szlachcianka? – pytał nieznajomy dalej.

– Panie, co to jest szlachcianka?

Nieznajomy uśmiechnął się.

– Trudno ci to wyjaśnić, mój synku! Światem dla ciebie spokojny klasztor, nie znasz rozmaitych stanów i godności wśród ludzi, o które niejeden przez całe życie się ubiega – i patrzył chwilę w ziemię. Chłopiec stał przed nim, wpatrując się w smętne jego oblicze.

– Macie wy też tutaj obraz Najświętszej Maryi Panny? – zapytał nieznajomy.

– O mamy! – odpowiedział chłopiec wesoło. – Co dzień przed nim odmawiam różaniec. Bo Najświętsza Maryja, tak mówił mi Ojciec Dominik, więcej mnie kocha, niż moja własna matka, która tam wysoko jest w niebie.

– Czy dziś rano nie modliła się przed tym obrazem jaka obca pani?

– O, modliła się bardzo piękna panna! Modliła się tak pobożnie i bardzo płakała; pewnie ma wielki smutek w sercu. Ale Najświętsza Maryja Panna jest potężna. Ona z pewnością jej pomoże. O. Dominik nam powiadał, że Najświętsza Maryja żadnego pobożnego człowieka nie opuści, i dlatego co dzień Jej przyrzekam, że będę pobożnym i dobrym, aby mi w każdej potrzebie dopomogła.

– Więc wiesz, że obca pani jest pobożną i dobrą, a skąd ty to wiesz?

Chłopiec uśmiechnął się trochę zaambarasowany, pobawił się palcami, a potem, patrząc czule w oblicze nieznajomego, odpowiedział:

– Że jest dobrą, widzę z jej miłych ócz i miłuchnego jej oblicza, które zupełnie tak wygląda, jak oblicze anioła w ołtarzu św. Mikołaja.

Nieznajomemu podobała się ta mowa, zdawało się nawet, że maleńki rumieniec oblał mu twarz.

– Wszak ta pani wczoraj przybyła do klasztoru?

– Tak, wczoraj, Panie.

– Weźmij to, dobry chłopcze! Teraz idź i dopełnij, co ci hrabia polecił.

Ucieszony nowym podarkiem, poszedł chłopiec wesoło dalej.

– Więc teraz mogę zawierzyć Justowi; ona rzeczywiście znajduje się w Schoenfeld! Nawet niewinnemu dziecku podpadła niewinność Gizeli i niebiańska jej piękność; aniołem ją nazwał! Jakżeż prawdziwie odgadł czystą jej duszę z miłych ócz! – mówił Hilchen Rotenek; bo on był tym nieznajomym, ale tak zmieniony, że trudno w nim było poznać naczelnego wodza chłopów.

Stara, wytarta pod pancerzem, pokrwawiona odzież skórzana ustąpiła miejsca świetnemu ubraniu, jakiego używali ludzie jego stanu. Spodnie wąskie aż do kolan, z czerwonej były materii, od kolan rozszerzały się, a wyłożone były jedwabiem. Złote lampasy zdobiły je całe. Kaftan bez rękawów był z czerwonego aksamitu, na ramionach, piersiach i plecach wyłożony fioletowym jedwabiem. Złotych wyszywań na nim wiele, rękawy spodniego odzienia z żółtego jedwabiu, w czerwone pasy. Na szyi zawisał złoty łańcuch ze złotym medalem. Przy pasie puginał z drogą rękojeścią, miecz zostawił widać dla większej wygody w domu, bo srebrne pasy wisiały luźno przy boku. Na jedwabnym zielonym sznurku wisiał róg srebrny, jakiego używali panowie na



polowaniu, jako też w podróży do dawania znaków służebnym. Głowę okrywał lekki birecik z białym piórem. Jasne kędziory miał starannie ułożone, jednym słowem mimo pewnej melancholii, rozlanej w obliczu, niepodobna było młodzieńcowi odmówić piękności, którą podnosiła jeszcze widoczna odwaga i męstwo.

– Modliła się i płakała – mówił sam do siebie – zapewne za ojca. Czemuż nie mogę dzielnego tego męża sobie pozyskać! Jeśli córka nie jest lepiej dla mnie usposobioną, o wtedy!

Umilkł, przytłumiając powstające w sobie gwałtowne uczucie.

– Dziwna! Z wilkami i niedźwiedziami podjąć walkę za nic sobie poczytuję! Przy najzuchwalszych przedsięwzięciach nie wstrzymywała bojaźń moich kroków; a teraz, teraz serce gwałtownie mi bije, gdy mam stanąć przed aniołem! Zaprawdę dziwna! Czy już tak upadłem, że jako duchy piekielne uciekam przed niebianem? Że lękam się światła, a szukam jak one ciemności? Prawda, niejednej zbrodni dokonała ta ręka, sumienie czyni wyrzuty, aleć przecież pragnę światłości. Więc odwagi, a jeśli mój zamiar spełźnie na niczym, wtedy najciemniejszy las w państwie ujrzy w najcichszym, w najskromniejszym zakątku swoim pokutującego aż do śmierci zbrodniarza!...

Z tym dziwnym postanowieniem udał się z drogi głębiej w bór. Może sto kroków od miejsca, gdzie dotąd bawił, leżało sześciu towarzyszy Roteneka; maleńka garstka z oddziału, którym dowodził w czasie przeszłej wojny. Konie chodziły swobodnie, siodła i rynsztunek ułożone były w porządku. Zupełna zbroja rycerska stała przy drzewie, a przy niej w myślach zatopiony Wolfgang z Hoenfels. Rycerskie słowo dał Rotenekowi i dlatego swobodnie mógł się poruszać, przecież nie dalej jak dwieście kroków od towarzyszy. Przy panu siedział na ziemi sługa Just. Stary sługa smutnie patrzył, gniew zaś widać było w jego oczach, ile razy spojrzął na Wolfganga.

Skoro zobaczył Roteneka powracającego, odezwał się:

– Młodzieniec nadchodzi! Idźcie z nim, panie, bardzo proszę! Na sumienie biorę, że zeń pocziwy zrobił się rycerz. Bo czyż inaczej byłby was z własnym niebezpieczeństwem wyrwał ze szponów chłopskich? Czy inaczej byłby przyrzekł, że opuści chłopów, gdy przecież jako wódz naczelny miał dosyć sposobności do zebrania majątku z klasztorów i dóbr? A wreszcie mógł się i królem ogłosić, bo bardzo się zanoszą na to, że chłopci będą panami w państwie. A jednak Hilchen odrzuca bogactwa i królestwa i biegnie za naszą

panienką; czyżby go dlatego nie miała ukochać? Przecież piękny, przystojny młodzian, przypatrzcie mu się! Na śmierć zakochany w pannie, a ja śmierć połknę, jeżeli i ona wzajemnie go nie kocha choćby dlatego tylko, że wam życie uratował. Więc idźcie z nim, przedstawcie mu Gizelę!

Stary sługa jeszcze dalej chciał zjednywać pana dla wodza, ale Rotenek nadszedł właśnie i skromnie stanął przed Wolfgangiem.

– Wreszcie mogę oddać najmilszej Gizeli ojca – mówił młodzian. – Ale pod tym warunkiem, że dopomożesz mi w staraniu się o nią.

Hoenfels podniósł głowę, spojrzął pogardliwie na Hilchena, a pochyliwszy się ku ziemi, nie rzekł ani słowa. Młodziana ubodło takie lekceważenie. Zacisnął usta, wzdychając patrzył w ziemię, a oblicze jego powlekało się wielkim smutkiem. Just potrząsnął głową i zdawało się, że pan go mocno gniewa i niepokoi.

– Idźcież już! – mówił tonem, w którym przebijał wyrzut. – Po cóż dłużej jeszcze ma nasza panienska dla was się dręczyć? Szelmą będę, jeżeli oczy jej nie uschły od łez od czasu, gdy was pojmano!

– Jeśli takie będą warunki, to jeszcze długo może płakać za mną – odparł Hoenfels. – Moje dziecko w takie mam oddać ręce? I jeszcze swata odgrywać rolę? Nie! Za taką cenę to wolę dopiero w niebie z nią się zobaczyć!

– Gdybym ja był królem – mówił Just – i miałbym córkę jeszcze piękniejszą, jeśli to w ogóle być może, niż Gizela, a ten pan uczyniłby i przyrzekłby mi tyle, ile dla was uczynił i ile wam przyobiecał, widzi Bóg, chętnie byłbym swatem.

– Gdyby twoja poczciwość i wierność nie była większą, jak twój honor – mówił z gniewem Hoenfels – batami kazałbym cię być wygnać z mej służby!..

– Ja, co prawda, nędznym jestem sługą, któryby dla pana swego i dziesięć razy śmierć ponieść był gotów – mówił Just dalej – krew szlachecka nie płynie też w moich żyłach, ale chrześcijaninem jestem i wiem, co nam kapelan zakonny powiadał, że nie należy kruchej trzciny łamać. Prawda, że ten pan spalił nasz zamek, ale dziś łzami gasiłby ten ogień, i dlatego gniewacie się na niego? Prawda, prowadził chłopów na rabunek, ale dziś żał mu, że dopuścił się takiej zbrodni, i chce we krwi rokoszan obmyć wszystkie plamy duszy swej, czy to nie dosyć? Czegóż więcej chcecie od niego? Kocha waszą córkę, bo to anioł,

kogoż by to dziwiło? Pragnie, aby go taki anioł stróż naprowadził na dobrą drogę, czy to nie godne pochwały? Czemuż, panie, stawiacie takie przeszkody?

Wolfgang tak groźnie spojrział, że Just, którego mowa bardzo się Rotenekowi podobała, zamilkł. Dłuższy czas milczeli wszyscy. Hoenfels stał zimny naprzeciw Roteneka, który dotknięty do żywego wzgardą, jakiej doznał, coraz więcej tracił zimnej krwi.

– Przyznaję – rzekł wreszcie – że sposób, w jaki staram się o córkę waszą, jest dziwny, a początek mej miłości, powiedziałbym, prawie cudowny. Wystawcie sobie człowieka, który błąkał się na złych drogach, który pogrzebion był w ciemności! Wtem zjawia mu się anioł światłości, w odblasku jego cnót poznaje swoje zbrodnie, w jego piękności swą podłość i upadek; czy powinniście na takiego człowieka się gniewać, jeżeli dla tego anioła zapiera się siebie? Patrzcie, tym człowiekiem ja jestem, i... Gizela!

– Pozwolisz – przerwał Hoenfels – że użyję twego porównania i zastosuję je do obecnego położenia. Aniołem Gizela, dobrze! Diabłem ty, nieprawda? Jakżeż może anioł łączyć się z diabłem? Czy to nie śmieszne, głupie, ba, zuchwałe? Nie, w łańcuchy mnie okujcie, rzućcie do najciemniejszej wieży, ale mego pozwolenia nie otrzymasz – na wieki nie otrzymasz!

– Twardy, nieugięty człowieku – odpowiedział Hilchen, podnosząc dumnie głowę. – Przekonasz się, że córka twoja jest szlachetniej usposobiona! A gdyby czystych, szlachetnych a serdecznych uczuć podzielić nie miała, o wtedy jedno słowo: "twoja ręka będzie okupem za ojca!" a Gizela na zawsze rzuci się w me objęcia. W tej chwili tego dowiodę!

I poszedł ku klasztorowi. Just życzył mu w sercu jak najlepszego powodzenia.

Ze wszystkich stron otaczały klasztor wysokie mury, wyjąwszy od zachodu, gdzie stał kościół. Przez sad, tuż dotykający do kościoła, prowadziła ścieżka do małych drzwi kościoła. Gdy mieszkańcy klasztoru wchodzili do kościoła drzwiami zaraz z korytarzy klasztornych, obcy małego używali wejścia.

I Hilchen doszedł ścieżką do furty. Namyślał się, czy zadzwonić, czy też inny jaki obrać sposób do osiągnięcia swego zamiaru.

Gdy tak rozmyślał, stojąc pomiędzy drzewami, zbliżył się drogą od Arnstein spiesznie sługa hrabiego Wenera. Bardzo widać mu było pilno, bo więcej biegł, niż szedł, a skoro zbliżył się do furty, pociągnął gwałtownie za dzwonek. Gdy zaś mimo to drzwi się nie otwierały, pukał niecierpliwie nogami, przeklinał starego odźwiernego i na nowo począł dzwonić tak długo, aż nie usłyszał zbliżających się kroków.

– Człowieku! co za hałas piekielny! Wstydz się, prostaku! – gniewał się stary odźwierny, odsuwając z wolna zasuwę. – Możesz długo czekać, aż wnijdiesz! Co za ludzie, gorsi od pogan – i odsunął drugi rygiel. Diabeł niech będzie odźwiernym! Ale dopóki ja nim będę, wytrzymam gorąco kapanych kpów i nauczę ich czekać. – Za czasów św. Bernarda króle i cesarze z pokorą czekali przed furta; ale dziś lada kto ciągnie za dzwonek i dzwoni, jakby na gwałt!

Odsunął i ostatni rygiel i otworzył drzwi.

– A! strzelec pana hrabiego! Pilną masz pewnie sprawę, że taki gwałt robisz!

– Oczywiście, stary mroku! Zaprowadź mnie prędko do mnicha Dominika; mam rozkazy dla niego od mego pana.

Odźwierny nie ruszył się z miejsca, trząsł siwą głową z nieukontentowaniem i mierzył strzelca od stóp do głowy.

– Kogo sobie życzysz? – pytał jakby zdziwiony. – Mnicha Dominika? Pewnie chcesz powiedzieć: do czcigodnego ojca Dominika! I prędko? No, możesz sobie, mój łaskawco, poczekać trochę.

– Dalej, stary! Hrabia nie zna żartów, a tobie doprawdy potrzeba się starać o łaskę pańską.

– Tak? A czemu? – pytał stary.

– Bo od niego zależy, czy waćpan dłużej będziesz piastował urząd odźwiernego, czy też rzucą cię w ką, do starych gratów!

– Kłamiesz! – odezwał się stary z gniewem. – Hrabia mi nie dał kluczy, hrabia mi też ich nie odbierze.

Strzelec rozśmiał się szyderczo.

– Czego nie weźmie? twoich kluczy? Hm a jeżeli zabierze cały klasztor ze wszystkim, co w nim jest? któż mu zabroni?

– Za czasów św. Bernarda to by taką piękną mowę batami poskromił! – mówił starzec; – ale dziś świat przewrotny. Złodzieje, rabusie, łotry górą, a poczciwi nic nie znaczą!

Ciągle mrucząc sobie pod nosem, szedł przed strzelcem przez dziedziniec, pomiędzy furtą a klasztorem położony. Skoro weszli na korytarz, zdjął starzec pobożnie czapkę i przeżegnał się, bo przechodzili około wielkiego krzyża.

– To, co prawda, tylko z drzewa – mówił, widząc szyderczy uśmiech strzelca – ale to obraz naszego Zbawiciela, któremu tylko ewangelicy odmawiają czci należnej. Tak, tak! ukrzyżowaliby Go znowu, gdyby Go dziś mieć mogli. Że zaś nie mają Zbawiciela żywego, znieważają Jego obrazy.

Po takim napomnieniu, na które strzelcowi wszystka krew do głowy zbiegła, szedł starzec dalej, zbierając w drodze maleńkie źdźbła słomy, które tu i owdzie znalazły się na czystej czerwonej posadzce. Nawet strzelcowi, podobała się nadzwyczajna czystość i porządek, ale gniewał się, że stary odźwierny co chwilę przystawał i oddawał cześć obrazom świętym, w korytarzu rozwieszonym.

– Jak też możesz, człowieku, głuchym, martwym obrazom tyle się kłaniać? – odezwał się strzelec. – Spiesz się; gdy będziesz wracał, możesz im się kłaniać, ile ci się podoba.

Ale taka mowa właśnie przeciwny wywarła skutek, bo starzec stanął, spojrzął znacząco słudze w oczy i rzekł:

– Głuchymi i martwymi nazywasz Świętych? Chłopcze, ty tego nie rozumiesz! Ani słowa, że obrazy z drzewa, ale też drzewu czci nie oddaję, do tego cześć moja się odnosi, którego to drzewo przedstawia. Jeśli się zbliżę np. do św. Wawrzyńca z kratą, która mi przypomina, że poganie tego świętego męża dla mocnej wiary żywcem piekli – ukłonię się nisko, wszelką cześć okażę dla męża, który tak bohatersko życie dawał za wiarę, i pytam samego siebie, czyby też stary Jan wolał raczej żywcem dać się upiec, niż odstąpić od wiary? Poczym mówię sobie: św. Wawrzyńcze, módl się za nami – i idę dalej. Zrozumiałeś? Zrozumiałeś teraz, co znaczą moje pokłony?

– Czy już blisko jesteśmy u celi czcigodnego ojca? – pytał strzelec z wymuszonym szacunkiem, lękając się, by snadź stary znowu nie uczył go grzeczności.

– Zaraz, zaraz! – i pokazał na drzwi w ganku.

Przyszli właśnie do miejsca, gdzie była klauzura, maleńka krata od góry aż do dołu przegradzała korytarz. Poza kratą rozpoczynał się właściwy klasztor: żadna zakonnica nie mogła bez pozwolenia starszych tego miejsca przestąpić, i to li tylko dla ważnej bardzo przyczyny. Jeszcze z tej strony klauzury znajdowała się celka karmelity, w której przebywał, jeżeli jakie sprawy duchowne zatrzymywały go w Schoenfeld. Surowość przepisów atoli nie pozwalała mu tam zostać przez noc, zawsze musiał wracać do Arnstein. Odkąd przecież szerzyć się począł bunt w państwie, a od Kościoła wielu odrywać się zaczęło, podwoił Dominik umartwienia swoje. Całe noce na klęczkach w kościele klasztornym przepędzał już to na rozmyślaniu, już też na gorącej modlitwie za obłąkanych nową Ewangelią.

– Otóż jesteśmy u celi czcigodnego ojca – mówił odzwierny – ale wpierw przekonam się, czy możesz z nim mówić.

Otworzywszy drzwi, wszedł skromnie, ale natychmiast wrócił znowu z wiadomością, że czcigodny ojciec przyjmie strzelca.

Dumnie wszedł sługa do cichej celki, w której dwa krzesła i stół całe stanowiły umeblowanie. Na półce przecież stało kilka wielkich ksiąg Ojców Kościoła i krzyż misternie ze słoniowej kości wyrobiony.

– Czegóż sobie życzysz, mój synu? – pytał stary zakonnik.

Strzelec dobył list z hrabiowską pieczęcią.

– Wielmożny Pan to przesyła, – odpowiedział szorstko i krótko. – Natychmiast macie dać odpowiedź.

Karmelita otworzył list i czytał. Smutek zachmurzył mu podczas czytania pogodne czoło. Czytał raz, drugi i trzeci.

– Kłaniaj się twemu Panu, i powiedz, że wedle rozkazu stawię się na naznaczoną godzinę w zamku.

Strzelec się skłonił i odszedł.

– Wielki Boże! – zawołał Dominik z boleścią, podnosząc oczy i ręce ku niebu. – Czyż to podobna?

Głowa opadła mu na piersi, wyciągnął nabożnie ręce, a patrząc z czułością na Ukrzyżowanego, upadł na kolana.

Długo klęczał. Wtem otworzyły się z lekka drzwi, i weszła wysoka, poważna niewiasta, przełożona klasztoru, hrabina Matylda, urodzona Sieberg. Skromny habit, biała suknia spodnia, na niej czarna fałdzista, szyja i piersi białą okryte chustą, która i głowę okrywała, i czarna zasłona, stanowiły ubranie. Godzien też jest wspomnienia różaniec wiszący przy boku. Chociaż w wieku podeszła, trzymała się przeorysza prosto, a powaga rozlana w jej obliczu, połączona z wyrazem podbijającej serce łagodności, znamionowały osobę, obdarzoną przymiotami, które konieczne były do przewodniczenia zgromadzeniu w czasach tak burzliwych. Ponieważ widziała, że karmelita, zatopiony w modlitwie, nie dostrzegł wcale, iż weszła, chciała natychmiast odejść, ale spojrzawszy na pismo, które trzymał w ręku, zatrzymała się, czekając końca modlitwy.

Wreszcie podniósł się Dominik. Spokój i rezygnacja wstąpiły po modlitwie w duszę zakonika.

– Darujcie, czcigodny ojcze! – uniewinniała się Matylda. – Stroskane serce wasze nowym zniewolona jestem obciążyć ciężarem! Kartkę tę, pełną brzydkiej treści, znaleziono u Beatrycy.

– Bardzo to bolesne, ale nie niespodziane – odezwał się Dominik, przeczytawszy pismo. – Jedyna parszywa owca w naszym klasztorze, to Beatryca – hańbę nam przynosi. Jakim sposobem dostałaś, czcigodna matko, to pismo? Od kogo pochodzi? Twój na wieki Klemens! – taki podpis.

– Siostra Agata zobaczyła dziś w kościele zakonika, na którego widok Beatryca bardzo się zaniepokoiła. Prawdopodobnie on to zostawił karteczkę gdziekolwiek w kościele, a Beatryca ją zabrała.

– Jakżeż się nieszczęsna Beatryca zachowuje? Czy widać po niej żal jaki?

– Zuchwała i cierpka – mówiła przeorysza. – Powiada, że godzina jej uwolnienia wnet wybije. Wszelkimi napomnieniami wzgardziła! Otwarcie wyznała, że przechodzi do wyznania augustianina z Wittenbergii.

– Otóż godne klątwy owoce chorobliwego czasu! – westchnął Dominik. – Bo i jakżeż nie miałby chwast wyrastać w klasztorach, gdy je zniewalają do przyjmowania członków bez powołania?

– Oprócz tego, czcigodny ojcze, dowiaduję się z tego pisma, że niedługo mają znieść nasz klasztor.

– Tak samo pisze hrabia Werner! – odpowiedział Dominik, podając jej list hrabiego, a gdy zobaczył, jak bardzo się przeorysza przestraszyła, dodał jeszcze:

– Niech Bóg czyni, co Mu się podoba. Jeśli w niepojętych Jego wyrokach zapisane, że klasztor ten nie ma dłużej istnieć, niech się stanie wola Jego święta.

– Tak – odezwała się przeorysza, nie tracąc nadziei – ale hrabia przyobiecuje i nadal opiekę klasztorowi, jeżeli w dyspucie odniesiecie zwycięstwo.

– To tylko pozór, dobra Matko! Werner czuje, że niesprawiedliwe ma zamiary, chciałby więc choć pozorne mieć przyczyny, aby się uniewinnić, dlaczego dopuścił się świętokradztwa; a przyczynę ma podać zwycięstwo Lutra.

– Wy mu i tej przyczyny nie dacie; zwyciężycie – wy musicie zwyciężyć reformatora! Zanadto jasno świeci bezbożność z jego nauki.

– A któż mi przyzna zwycięstwo? – pytał Dominik z uśmiechem – może hrabia, który go sobie nie życzy? Albo szlachta, która spodziewa się, że z grabieży też otrzyma część? Choćbym dziesięć razy udowodnił fałsz w Lutra nauce, dziesięć razy jemu zwycięstwo przypiszą. Wszakże to nie po raz pierwszy.

Matylda poznała smutną prawdę słów Dominika; upadła więc ostatnia podpora, na której budowała nadzieję utrzymania klasztoru.

Więc i Schoenfeld, ów piękny klasztor, w którym czterdzieści lat żyła szczęśliwie, dzieląc czas na troskę o zbawienie duszy i na uczynki miłosierne, o których ubodzy okolicy wiele by powiedzieć umieli – więc i Schoenfeld, owo miejsce pokoju, rozmyślań i miłości bliźniego, ma podzielać los tylu klasztorów? Zakonnice bezbronne mają być wyrzucone i wystawione nie tylko na pośmiewisko i urąganie, ale na zniewagę i śmierć nawet? Cała okropna przyszłość stała przed oczyma Matyldy. Ale żadna skarga nie wyszła z drżących jej ust, na obliczu tylko głęboki wyrył się smutek.

– Ale czyż nam nie wypada wszystkiego unikać, co by mogło drażnić gniew hrabiego? Żąda, abyśmy natychmiast wydali narzeczoną Lutra – nie byłoby dobrze dopełnić jego rozkazu?

– Nigdy! – odparł Dominik zdziwiony, że Matylda podobnie odezwać się mogła.

– Po cóż próżno drażnić pana?



– Próżno, matko? Schoenfeld daje schronienie obłąkanej Katarzynie, to sprowadza zgubę klasztorowi, przyznaję – ale czyż może kiedykolwiek szczytniejszy mieć koniec? Mamyż odepchnąć nieszczęśliwą, aby się stała pewną zdobyczą uwodziciela?

– Niestety, od wczoraj zmieniła się Katarzyna bardzo – mówiła przeorysza. – Nawrócenie się jej nie jest wcale stałe, zdaje się, że nadzwyczajny jakiś wypadek zniewolił ją do kroku, który uczyniła. A zresztą, czyż podobna przypuścić, aby tak dumna niewiasta miała uznać błąd swój? Tak daleko nie ugnie pysznego karku! Toć dopiero dziś rano deptała nogami powagę Kościoła św., Ojców i koncylia nazwała kłamcami, li tylko, aby przy swoich mogła utrzymać się twierdzeniach. Przy tym wmówiła, szalona, w siebie, że Bóg ją wybrał na oblubienicę Lutrowi. Zdaje się, że oczekuje tylko upragnionego przybycia Lutra, aby z radością opuścić Schoenfeld.

Dominik ze smutkiem słuchał, jak Katarzyna na nowo upadła. Spodziewał się, że wiarołomną mniszkę naprowadzi na drogę cnoty i pokuty; opowiadanie Matyldy obalało wszelką nadzieję. Właśnie chciał wyrazić swoją boleść, gdy odezwał się przeraźliwy głos trąby. Przeorysza złękła się. Już jej się zdawało, że zbrojni wpadają do klasztoru, porywają zakonnice, rabują kościół, znieważają świętości i dopuszczają się bezceństw, jakie towarzyszyły zawsze burzeniu klasztorów. Karmelita nie stracił przytomności, owszem, uspokajał przeoryszę, mówiąc:

– To niezawodnie hrabiego strzelec, który co jeno list przyniósł, zatrąbił.

Sam bodaj po bliższej rozwadze w to uwierzył, bo mocny, przeraźliwy głos nie mógł pochodzić z myśliwskiego rogu. Zdawało się, jakoby Rolanda sławny róg się był odezwał, którego głos, wedle podania, na kilka mil się rozchodził. Zaraz potem powstał hałas przy furcie, w którą gwałtownie uderzono. Rubaszne głosy męskie domagały się wpuszczenia. Stary odźwierny nie wiedział z początku, co począć: czy otworzyć, czy nie, ale wnet poznał, że próżnym by był opór, gdy drzwi bynajmniej gwałtownego napadu wytrzymać nie mogły. Otworzył – zbrojnych kilkunastu wpadło z dzikim krzykiem, biegnąc do klasztoru...



# Hilchen i Gizela

~~~~~

"O cudo, o dziwy! Prze mnie jakaś siła.
Bym człeka zdraдного tak czule pieściła".

Shakespeare.

Zachodnia część kościoła dotykała do niskiego muru, rozdzielającego dwa sady. W murze tym były drzwiczki tylko przymknięte. Nimi to wszedł Rotenek do drugiego sadu, którego drzewa kwitły właśnie obficie, rozlewając miłą woń wokoło! Zielona murawa, usiana kwiatami, czyniła to miejsce nadzwyczaj przyjemnym. Tu zatrzymał się Rotenek, nie chcąc spotkać się ze sługą hrabiego, a co prawdopodobniejsza, chcąc nabrać więcej odwagi. Bo, dziwna rzecz, odważny zawsze wódz tym więcej tracił ducha, im bliższą była chwila spotkania się z ukochaną osobą.

Stojąc pod kwitnącym drzewem, patrzył przed siebie, bawił się bez myśli ze złotym łańcuchem, gładził kędziory, jasne jak złoto, zdobiące mu ramiona, i westchnął. Patrząc ku klasztorowi, zobaczył w wysokim murze, okalającym zabudowania klasztorne, małe otwarte drzwiczki. Więcej przecuciem niż rozwągą wiedziony, podszedł do drzwiczek i wszedł nimi do prześlicznego ogrodu, pełnego kwiatów. Woń przecudna rozchodziła się wszędzie, a mimo wzruszenia nie mógł wstrzymać się od podziwu nad starannością, z jaką kwiaty były pielęgnowane. Wąskie ganki obsadzone palmami, poziomkami i pachnącymi trawami, przerzynały ogród. Niskie, krzewiaste drzewa owocowe, kwitnące właśnie, rosły razem z krzewami róż, i mur nawet zielenił się pnącym się bluszczem. Atoli więcej niż przepych natury, zdołał to miejsce dziwny pokój, rozlany jakoby tchnienie tajemnicze niebiańskiej szczęśliwości. Słusznie można było powiedzieć z poetą:

"Iście pokój Boży rozlany tu wszędzie.
Tu ziemi klątwa spoczywać nie będzie!".

Miejsce to i dlatego było tak miłym, że odwiedzały je codziennie dusze pobożne, których modlitwa i czystość obyczajów zdawały się zdejmować klątwę, ciężącą na ziemi.

Dziwne uczucia ogarnęły młodzieńca, smutnie spoglądającego po kwiatach. Naraz przestraszył się: to bladł, to rumienił się i cofnął się o kilka kroków. W niszy muru stała statua Najświętszej Maryi Panny, ozdobiona zielonym bluszczem i tysiącem kwiatów, którymi uczyć chciały pobożne zakonnice Matkę Pana naszego. Bluszcz, sztucznie rozwieszony na ścianie, tworzył łuk, otaczający statwę i niszę ciągłą zielenią. Na klęczniku klęczał najpiękniejszy kwiat ogrodu: Gizela z Hoenfels. Ciemna suknia okrywała ją, uwydatniając doskonale kształtną kibić. Przezrysty welon, odrzucony na tył, pozwalał widzieć obfite kędziory. Delikatne rączki spoczywały na piersiach, głowę miała pochyloną. Gorąco się modliła, a szlachetne rysy twarzy nabierały podczas świętej rozmowy, jaką miała jej dusza z Bogiem, coraz więcej piękności. Oczy były zamknięte, ale usta, podobne do róży, poruszały się, szepcząc modlitwę. Rotenek ciągle stał nieporuszony, patrząc na Gizelę, której obraz dniem i nocą stał mu przed oczyma, a która teraz zdawała mu się tysiąc razy piękniejszą, więcej niebiańską. Jeżeli kiedykolwiek podpatrzona modlitwa wywarła wpływ na dusze, które od Boga się oderwały, to z pewnością modlitwa Gizeli wywarła go stokroć więcej. Zwolna smutniało oko młodzieńca, a przez oblicze przebiegł wyraz żalu i skruchy. Upadł na kamienną ławę tuż obok stojącą, podparł się na łokciach i obydwoma rękoma twarz sobie zasłonił. Gizela nie przerwała modlitwy. W kościele odezwały się poważnie organy, a z czystymi ich tonami wnosił się i duch Gizeli ku niebu.

Hilchen siedział, nie ruszając się. Głębokie westchnienia wyrywały się z piersi jego, raz po raz łza przeciskała się przez palce; któż wie, co się działo w duszy młodziana? Głos organu ucichł. Gizela powstała, aby wrócić do klasztoru, gdy spostrzegła Roteneka. Zdumiona, nie wiedziała, czy ma przemówić do niego. Hilchen podniósł właśnie głowę: smutek, pomieszanie, miłość, widać było w jego oczach, a oblicze oblało się rumieńcem. Powstał, zbliżył się jak chłopiec zawstydzony do Gizeli, i stanął milcząc. Chciał kilka razy przemówić, ale język odmawiał mu posłuszeństwa, aż wreszcie Gizela przyszła w pomoc pomieszanemu.

Pobieżny rzut oka na pięknego młodziana – co zresztą zwilżone powieki i bolesny wyraz twarzy dobitnie wskazywały, przekonał ją, że coś ciężkiego ma on na duszy, że więc należy mu okazać współczucie. Nie odmówiła mu go też wcale, a do współczucia dołączyło się prędko upodobanie w przystojnym a skromnym młodzianie. Skromność i pokora Roteneka, z jakimi się przedstawił, graniczyły z uwielbieniem, jakie winni jesteśmy bóstwu. Obudziła się w nim

widocznie pamięć na cześć, jaką oddawało rycerstwo niewiastom, cześć czystą, bez granic, więcej uwielbiającą przymioty duszy niż ciała.

– Zapewne szukacie czcigodnego ojca Dominika? – zaczęła Gizela głosem miluchnym, aby dodać odwagi zatrwożonemu.

– Nie – odpowiedział Hilchen, i podniósł z wolna oczy na uroczą Gizelę, a wpatrując się w nią, znowu o wszystkim zapomniał i milczał.

– To może macie jaką wieść dla przeoryszy? – pytała dziewczica dalej. – Miła to a serdeczna niewiasta; ucieszy się bardzo, jeśli będzie mogła wam jaką wyświadczyć przysługę...

Hilchen poruszył się trochę, chciał mówić, zarumienił się więcej jeszcze i spuścił zawstydzony oczy ku ziemi.

– Czy mam być pośredniczką? Bardzo chętnie!

– Tak! o tak – odezwał się Hilchen z zapalem. – Za twoim przyczynieniem wszystko by się wyjednać dało! Bo któżby ci mógł odmówić czego, a dopiero twoim prośbom? Chyba kamień!

Dziewica zdumiała na tak niespodzianą przemowę obcego. Zastanawiała się, jakim pobudkiem przypisać tak gorące uczucie. Skoro jednak spojrzała badawczym okiem, w którym całe niebo się odbiło, na Roteneka, patrzył on pomieszany w ziemię, i nie wiedział, co się z nim działo. Żadnego słowa nie mógł wydobyć ze siebie. Prawie byłby, za przykładem rycerza Czelino, rzucił się przed nią na kolana, i wyznał zuchwałość swoją, że miał zamiar pokochać tak niebiańską istotę! Chociaż takie uczucia nie są wolne od przesady, to przecież przyznać trzeba, że oparte one są na tej pięknej zasadzie, iż nie należy godności niewiasty poniżać, ale raczej podnosić ją więcej, niż nawet na to zasługuje.

Podczas gdy Gizela usiłowała wytłumaczyć sobie zagadkowe zachowanie się młodziana, wcisnęła się przez otwór w murze głowa, ciskająca jaszczurcze spojrzenia w stronę, gdzie stali oboje. Jan Knopf (bo jego to była żółta, namiętnościami zeszpecona twarz), znowu się cofnął, przy czym pokazało się, że nie sam był tylko. Szeptał coś z towarzyszymi, a skoro tylko Gizela wszczęła rozmowę, natychmiast przyłożył ucho do otworu i słuchał.

– Dobrze by było, abyście mi powiedzieli, jaką macie prośbę, abym się mogła wstawić za wami do przeoryszy – odezwała się dziewczica.

– Ani przeorysza, ani nikt na ziemi nie może spełnić mojej prośby – odpowiedział Hilchen trwożliwie, nie mając odwagi wypowiedzieć, czego właściwie pragnie.

– Czyż żądacie czegoś niepodobnego?

– Czego mi cały świat dać nie może! Ty mnie uszczęśliwisz, albo uczynisz najniezszczęśliwszym z ludzi.

– O, to się mylisz, mój panie! Nie jestem tą, za którą mnie masz – jestem biedną, opuszczoną sierotą, której wszystko wzięto, nawet ojca – głos jej drżał i chusteczką zasłoniła oczy.

– Mówisz, że jesteś opuszczoną? Żadną miarą! – mówił młodzian namiętnie. – Nic więcej, jeno rozkaż, a tysiąc rąk znajdziesz gotowych na swoją obronę!...

Takie słowa utwierdzały Gizelę jeszcze więcej w przekonaniu, że młodzian mylił się co do osoby, i właśnie chciała go objaśnić, gdy pokazało się, że nieznajomy znał ją rzeczywiście.

– Wiem: chłopci spalili Hoenfels, pojмали drogiego ojca twego, a uczynili to mimo woli wodza, który całą duszą tobie był oddany. Właśnie ten wódz przeze mnie odzywa się do ciebie w swej sprawie: wyobraź sobie, że przed tobą stoi Hilchen Rotenek, który przysłał mnie tutaj w sprawie ojca twego.

– W sprawie mego ojca? – zawołała Gizela, uradowana niespodzianką. – Mów! Co porabia ojciec, w jakim położeniu zostawiłeś go?

– Zostawiłem go zdrowym zupełnie – niedaleko stąd!

– A chłopci chcą go uwolnić? Jakiegoż żądają okupu?

– Chłopci chcieli go zabić, ale wódz uratował mu życie!

– Bezbożnicy! o dobry wódz! Just opowiadał nam o nim, że szanuje bardzo mego ojca.

– Szanuje i bardzo, ale dla was!

– Jakież okup? powiedzcież przecie.

– Czy możesz dać wysoką, bardzo wysoką, niewypowiedzianą sumę? Bo trzeba ci wiedzieć, że Rotenek bardzo wysoko ojca ceni!...

Dziewica przełękła się.

– Hrabia Werner, niegdyś towarzysz broni mego ojca, da pieniędzy na okup.

– Majątek Wenera nie starczy – odpowiedział Hilchen. – Rotenek żąda sumy, która o tyle przewyższa skarby Wenera, o ile perły w głębokościach morskich przewyższają ziarnka piasku.

– Dobry Boże! – westchnęła Gizela.

– Nie lękaj się – mówił Hilchen – ty sama możesz wszystko zapłacić.

– Ja? A czymże zapłacę?

– Sama sobą! – i błagalnie spojrział na Gizelę, która daremnie siliła się i zrozumieć nie mogła słów młodziana. Gdy zaś spostrzegła namiętność, bijącą z ócz jego, spuściła zawstydzona wzrok ku ziemi.

– Któżby nie znał Roteneka? – mówił młodzian. – Szlachetnego jest rodu, nie żądałby nic, co przeciwne by było przyzwoitości. Zerwał związki z chłopami, brzydzi się ich niechrześcijańską robotą i gotów oddać duszę i ciało, byle winy zmazać.

– Słyszysz? słyszysz? – mówił Knopf do towarzysza. – Czyż nie mówił duch prawdy ze mnie, kiedym wam głosił, że Rotenek jest zakapturzonym papistą? Nie rozbijemyż mu natychmiast czaszki? Jeszczeż dłużej żyć będzie zdrajca? Przygotuj łuk natychmiast: poślemy go do piekła!

– Więc nie lękaj się – uspokajał Hilchen dalej Gizelę, iżby żądanie Roteneka miało obrażać cnotę...

– Wypowiedzcież jego żądanie – czegoż chce?

– Wiele... bardzo wiele!

– A nic przeciwnego czystości i dobrej sławie?

– Nie!

– Jeśli tak, to zapłacę okup. Choćby mnie chciał mieć służącą, choćbym miała do ostatniego tchu mego życia najniższe czynić posługi – wszystko zrobię dla ojca!

– Tego nie chce! Bardzo złe wyobrażenie masz o wodzu. Jakżeżby mógł żądać czegoś podobnego, kiedy z natury nie jest okrutnym ani nieczułym? Główną treść żądania jego uszlachetnia obudzona w nim cnota – chciałby lepszym być człowiekiem i twierdził że ty mogłabyś go jako anioł Boży na dobrą naprowadzić drogę.

– Dziwne rzeczy! – mówiła Gizela z niedowierzaniem. – A jakież dowód, że zamiary jego czyste?

– Najuroczystsza przysięga, krew i życie! Dał mi moc nad sobą, kazał mi, abym go życia pozbawił, jeśli by choć cień złej woli względem ciebie okazał. I przysięgłem, że danej sobie władzy użyję. Ta ręka zamorduje go, jeśli by bezbożnie miał sobie postąpić, przysięgam na Boga i honor rycerski!

– Ale czyż to podobna? Jakżeż bym ja mogła takiego człowieka poprowadzić do dobrego?

– O, on jagnięciem się stanie w twoim ręku! pójdzie za najmniejszym skinieniem twoim!

– Przecież nie pojmuję, w jaki sposób mogłabym go prowadzić?

– Możesz – bardzo dobrze! Mąż ten ma dopiero lat 24, wolny, Kościół ma święte węzły, aby połączyć kochających się – gdybyś więc tylko chciała... go kochać!

Przy tych słowach jeszcze większy rumieniec oblał Roteneka. Wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Gizeli, i to jedno spojrzenie wytłumaczyło Gizeli wszystko od razu. Poznała, kto przed nią stoi! To jedno spojrzenie dało jej więcej poznać, co się dzieje w duszy młodziana, aniżeli wszelkie przyrzeczenia poznać by dać mogły. Widząc przed sobą mężnego wodza, którego wszyscy się lękali, w osobie uroczego, nieśmiałego młodziana, którego oczy, słowa i zachowanie najwyższą dla niej okazywały miłość, spuściła oczy ku ziemi, miluchny rumieniec okraślił piękne jej lica, a w piersi odezwały się uczucia, jakich tam dotąd nie było.

Rotenek, wzruszony na wskroś, nie domyślał się wcale, że się zdradził, i mówił dalej o sobie, jakby o nieobecnym:

– Prawda, że żądanie Roteneka jest zuchwałe. Wie on bardzo dobrze, jaka przepaść istnieje pomiędzy zbrodniami jego a twoją niewinnością. Ty anioł – on pełen grzechów! Tyś wolna od namiętności, jaśniejąca cnotą, stojąca na wyżynie, gdzie milczy wszystko, co ziemskie; on porwany rozhukanym bałwanem czasu, pchany do zbrodni! A jednak pragnąłby młodzian ten podnieść się do ciebie, gdybyś tylko okazała mu litość i pomocną podała rękę.

– Pan Rotenek zanadto mnie przecenia, a siebie poniża. Prawda, że zbrodnie ciężą na jego duszy, aleć żal wszystko może – usprawiedliwiła Gizela z zapalem. – Bo czyż Zbawiciel nie dał kapłanom mocy rozwiązywania najcięższych więzów? Nie krzywdźcie tedy więcej tego pana i powiedzcie mu, że jestem gotową złożyć okup za ojca.

– Co? chcesz, możesz go kochać?

– Czyż nie muszę?

– Wiecznie chcesz być jego?

– Czyż mnie nie zmusza do tego?

– Zmusza cię – o Boże! – i jaśniejące oblicze młodziana zasępiło się. Zmusza cię, nie! Tego uczynić nie może i nie powinien! Narzucać się – jakież nierozsądek! Choćby cały świat leżał w więzach, miłość musi być wolną!

– Chciejcie mnie tylko zrozumieć! – odezwała się Gizela z uśmiechem: zmusza mnie, abym go kochała – tak! Jakżeż mogłabym go nienawidzić, kiedy mnie tak bardzo kocha? Czyż nie muszę go kochać, kiedy tak piękne ma zamiary? Prawda, że przeciągał przez sioła i miasta ojczyste jak burza niszcząca; ale to nie pochodziło z wnętrza jego duszy – szlachetniejsze uczucia wnet się w nim budziły. Prawda, że podobien był do rozszalałego lwa, ale tylko pozornie; wnet zrzucił zasłonę i stał się łagodnym, miłym barankiem. A ja mam tego baranka prowadzić na piękną dolinę, gdzie rosną róże, lilie i kwiaty cnoty; powiedzcież, czyż nie tak?

– Ach tak! – odpowiedział młodzian rozmarzony. – Ależ słuchaj, Hilchen pod takim warunkiem nie może starać się o ciebie: cofa więc ów warunek. Ojciec twój będzie wolny bez okupu. Czy mimo to będziesz go kochała?

– O Boże! Idźcież, powiedzcież wodzowi, jak nieskorego wybrał sobie posłańca!

– Patrzaj! patrzaj! – wołał Knopf złowrogo. – Ha! bałwochwalca! Nawet klęczy przed nią! A ta Moabitka: Geilfus, chodź tu, zabij łotra!

Zawołany przystąpił z łukiem do otworu. Naciągnął cięciwę i założył morderczą strzałę.

– Niedobrze mi stanął, tak go nie trafię! – mówił Geilfus.

– Mniejsza o to, strzelaj! – rozkazywał Knopf. – Patrzcież tego łotra! Czyż jej nie ubóstwia? Jakie oczy, jakie miny! Zabij, mówię ci!

– Poczekajcież, aż piersiami zwróci się do mnie; już się zwraca, zaraz będzie!

– Zaraz, co zaraz? każdy oddech zdrajcy zatruwa powietrze. Nuże, strzelaj!

– Bóg pokieruje strzałą. Umrze, choćbyś go tylko zadrasnął. Moje to mówią usta, wierz im! Moje to mówią usta, które obecnie są trąbą Boga, wołającą na sąd tego papistę! Strzelaj, mówię ci!

Geilfus wymierzył morderczą broń w szyję Roteneka, ale cofnął się znowu.

– Nie mogę – mówił – strzał mój musi być pewny. Cóż pomoże, jeśli go zranię, jeśli podrażnię dzikiego byka? Obydwu nam karku nakręci.

– To zabij Moabitkę! Odwróci się, wtedy jego! Ich umizgi rozumu mnie pozbawiają; patrz, jaki zmieniony! Ledwo do siebie podobny; oczarowała go. Zabij czarownicę, słyszysz?

– Ja? Nie! To przeciw mej naturze. Przypatrzcie jej się, jaka piękna!

– Dawaj łuk! – krzyknął Knopf, i wyrwawszy łuk, stanął przed otworem.

– Teraz pójdę, Gizelo, i przyprowadzę ci ojca, a jutro niechaj nas na wieki połączy sakrament św. Kościoła.

– Myślą będę przy tobie; minuty będą dla mnie godzinami, dopóki nie wrócisz.

– Ach, Gizelo, nie jestże to sen? Więc rzeczywiście jesteś moją? Czyż podobna, aby kto mógł być szczęśliwszym na ziemi? Czy tutaj raj? O, lękam się, czy tyle szczęścia może trwać długo na tym padole płaczu! Zakradliśmy się do edenu Bożego, choć miecz archanioła bronił wstępu. Tak wiecznie chciałbym stać przy tobie, ciągle chciałbym tak patrzeć w niebo ócz twoich. Przecież bywaj zdrowa, na ćwierć godziny pożegnam cię!

Chciał odejść. Wtem zdradna strzała, lecąc ze świstem, utkwiała mu w ramieniu. Równocześnie wcisnął Knopf głowę w otwór i śmiejąc się szyderczo, paśł dzikie oczy widokiem boleści Roteneka i przestachu Gizeli. Rotenek dopatrzył zbójcę, gniew go ogarnął. W kilku krokach stanął u otworu, schwycił Knopfa za czerwone włosy, a w prawicy zabłysnął puginał. Gizela powstrzymała rękę mściciela:

– Nie przelewaj krwi! – zawołała. – Puść go; nie patrz tak srogo! – i zawiesiła mu się mocno u szyi.

Jedno spojrzenie na Gizelę ułagodziło go. Opuścił puginał, a Knopf znikł otworem, którym wszedł.

– Odejdź stąd, tam stań! Tu nie dosięgnie ich broń – mówiła dziewczica i odprowadziła rannego na stronę.

– Mnie nic nie dolega, moja droga! – mówił Rotenek, wydobywając strzałę. – Ledwo cokolwiek zadrażnięte ciało; – ale ten łotr!

Usiadł na ławie, podwinął rękaw, a dziewczica, otarłszy kilka kropli krwi, zawiązała ranę białą chusteczką. Rotenek nie spuścił z niej oka: boleść rany była jakby kroplą, która wpadła do morza, pełnego najprzyjemniejszej woni.

– Gizelo – mówił po chwili, – przebacz mi moje uniesienie. Zaprawdę, oko twoje tygrysa by ułagodziło, jeszcze wtedy nawet, kiedy by już miał skoczyć na zdobycz swoją.

– Ale teraz nie możesz odejść! – mówiła dziewczica. – Niegodziwiec ten mógłby ci jeszcze szkodzić. Pójdziemy przez klasztor.

Rotenek, aby uspokoić Gizelę, chciał zadosyć uczynić jej życzeniu. Ale nie mógł wstać.

– Ach – cóż to znaczy? – westchnął, a oblicze jego pobladło. – Jakżeż okropnie dolega mi rana: członki posługi odmawiają.

Gizela stała jak skamieniała. Rotenek daremnie usiłował ruszyć się z miejsca: jęczał straszliwie i upadł bez sił. Wtedy uchwycił za róg i z wszystkich sił zadał w niego, tak, że głos trwogi rozległ się po całej dolinie, jakoby ostatnie pożegnanie. Siły zupełnie go opuściły, a gdy go Gizela podtrzymała usiłowała, odezwał się słabym głosem:

– O Gizelo! przeczuwałem to – bo jakżeż mogłoby na ziemi takie istnieć niebo!

Zamknął oczy i został zupełnie bez zmysłów.

Odgłos rogu przeraził mieszkańców klasztoru. Ponieważ wiadano, że Werner bardzo pożąda klasztoru, zdawało się zakonnicom, że sługi hrabiego już obiegli klasztor. Podczas gdy bezbronne niewiasty wystraszone wybiegały z celek w popłochu i najrozmaitsze czyniły domysły, jedna z sióstr odkryła prawdziwą przyczynę trwogi. Pokazała ona się przy drzwiach, które prowadziły z ogrodu do klasztoru, ale chociaż Gizela dawała jej znaki, aby się zbliżyła, prędko uciekła. Zaraz potem powstał tumult w gankach, głosy męskie i szcęk broni się odezwał, bo towarzysze Roteneka wpadli do ogrodu.

Widok umiłowanego wodza zatrwożył ich. Surowe, na pozór nieczułe oblicza wojowników zasmuciły się, a stary Melchior, odbierając Gizeli drogi ciężar, rozplakał się na dobre.

– Cóż się stało? Skąd omdlenie? Jakże zimny! Biegnijcie! przynieście wina, otrzeźwi go!

Tak pytali i skarżyli się towarzysze.

– Powiedzcież, skądżeż to wszystko? – pytał Melchior drżącej Gizeli.

– Strzała utkwiała mu w ramieniu!

– Strzała? – i Melchior odwiązał ranę.

– I od tego by miał omdleć? Niepodobna! Ale któryż łotr odważył się strzelać do mego pana?

– Tam, przez ten otwór – pokazywała Gizela – strzelił niegodziwy. – Miał na sobie szary habit.

– Przeklęty! w kawały go rozedrę!

– Pozwólcie, dobrzy ludzie! – odezwał się Dominik, przybliżając się. – Znam się cokolwiek na leczeniu, chętnie użyję mej sztuki na uleczenie waszego dobrego pana.

Melchior z niedowierzaniem patrzył na niego, nie wiedząc, czy może powierzyć pana zakonnikowi, kiedy, jak słyszał od zakonnika strzał wyszedł.

– Strzała była zatruta! – odezwał się Dominik, gdy obejrzał dokładnie ranę. – Wnieście prędko rycerza do celi! Może będziemy mogli mu pomóc, ale prędko go wnosić!

Nie tak słowa, jak wzięcie się zakonnika okazały towarzyszom, że pośpiech jest konieczny. Natychmiast też wzięli rycerza i zanieśli, gdzie zakonnik wskazał.

Wolfgang stał dotąd na boku. Gizela go nie widziała, bo cała zajęta była rannym. Ale gdy go odniesiono, zobaczyła ojca: radośnie podbiegła i padła mu w objęcia.

– Dlaczego tak bardzo zajmujesz się tym zbójcą? – odezwał się ojciec po przywitaniu.

– Ach! nie nazywaj go tak, ojcze! Młodzieniec ten jest bardzo nieszczęśliwy. Czy rzeczywiście sądzisz, ojcze, że strzała była zatruta?

– Hm – dla państwa wielka by była pociecha, gdyby wszyscy jemu podobni zeszli ze świata.

– Nie licz go więcej pomiędzy rokoszan, mój ojcze! Dawnego życia zupełnie się wyrzekł.

– Zupełnie?

– Żałuje, że tak żył dawniej!

– Istotnie?

– Bardzo nieszczęśliwy!

– Oczywiście!

– Któżby się nad nim nie ulitował?

– Samo się przez się rozumie! Cóż on cię tak obchodzi? Czy piękna postać młodziana tak na serio zajęła moją córkę?

Dziewica zarumieniała się. Ale wnet odezwała się stanowczo.

– Kocham go! tak! kocham! Bo któżby nie kochał męża, którego szlachetność uwolniła mego ojca z więzów?

– Ach, tak! Wiesz ty, że w takim razie wolę najcięższe więzy, niż wolność, pod takimi osiągniętą warunkami?

– Jakież to warunki?

– Czy ci nie mówił o nich?

– Z największą czcią mówił o tobie, ojcze, i powiedział, że bezwarunkowo będziesz wolnym.

– Więcej nic ci nie powiedział?

– Wszystko chce naprawić...

– Więcej nic?

– Wyrzeka się dawnego życia...

– Aby gołąbkę obłaskawić – nie?

– Jakżeż bolesna twoja nieczułość, mój ojcze!

– Niech mnie Bóg broni! Bynajmniej nie chcę ci sprawić boleści! – Hilchen dzielny jest mężem, piękne ma oblicze, przystojną postać, słodkich słówek mnóstwo wielkie, piękne oczy, śliczne włosy! Niejedną uwieść mógłby dziewczynę; nieprawda?

Gizela nie mogła znieść tyle ironii. Płacząc, padła na piersi ojca.

– Dziwny ten ród niewieści! – mówił Hoenfels, w którym uczucie wzgardy dla Roteneka walczyło z miłością do dziecka. – Wnijdźmy do klasztoru! Rycerz ma moje słowo; jeśli mnie z niego zwolni, natychmiast wyruszymy. Ale jeśli powtórzy swoje warunki, na wieki zostanę jego jeńcem!

Zaledwie weszli do klasztoru, gdy w drugim końcu ogrodu otworzyły się maleńkie drzwiczki. Niewieścia jakaś postać weszła nimi ostrożnie, oglądając się na wszystkie strony trwożliwie. Stała za krzewem i zdawała się czekać na

kogoś; każdy szelest zwracał jej uwagę, głównie zaś zwracała się ku drzwiom, prowadzącym do ogrodu. Czekala dość długo, wreszcie niecierpliwić się poczęła, a rumiana twarz paliła ją jak ogień. Wyjęła pismo jakieś i czytała raz i drugi, schowała je znowu w zanadrze i czekała dalej.

– Czyby go co spotkało? – mówiła sama do siebie. – Za trzy minuty minie czasznaczony. Teraz stosowna pora do ucieczki. Cały klasztor w trwodze, przerażony pismem hrabiego, zagrażającym zaborem klasztoru; – gdzież Klemens? gdzież Klemens?

Wtem usłyszała, że ktoś idzie z klasztoru. Przestraszona, ukryła się.

W otworze zaś muru ogrodowego ukazała się w tej samej chwili twarz Klemensa. Patrzył na wszystkie strony.

– Jeszcze jej nie ma? Prawiem nogi sobie uchodził, aby na umówiony czas zdążyć, drapałem się przez mury i płoty, pokaleczyłem sobie ręce, podarłem habit – a jej jeszcze nie ma? Czyżby Dominik rzeczywiście z niej był uczynił zakonnice i wypędził z jej serca pamięć o mnie? Pfui! jakież podejrzenie! Beatrycy tak samo nikt nie zrobi zakonnice, jak mnie zakonnikiem. Reformator słusznie powiedział: kobiety prędzej jadła i picia się wyrzekną, niż mężczyzny; ja zaś jestem wybrany Beatrycy, więc trochę cierpliwości! Ale cóż to? łuk? I podniósł łuk z ziemi. Toć to bardzo poetycznie: amor ze strzałą! Każdej kobiecie grozi w tej chwili niebezpieczeństwo; nawet Kasia Lutra nie mogłaby się w tej chwili przede mną pokazać, bo zraniłbym ją na śmierć. Lecz któż to nadchodzi?

– Pójdź no tu, Kurd! – mówił Melchior rozkazująco do towarzysza. – Tu przy tych drzwiach staniesz na straży dopóki nie wrócę. Przebij każdego, na którym zobaczysz szary habit, bo taki szary łotr zabił naszego pana.

– To może niewinnym się dostanie – odpowiedział Kurd.

– I co tam – nic dobrego z ciebie, nie kochasz pana twego jak należy, bo inaczej musiałbym przeciw każdemu mnichowi srogim zapalić się gniewem. Nie dowierzam szaremu diablowi; mógłby wrócić i śmierć zadać naszemu panu. Trucizna, to brzydka rzecz, mówię ci, brzydka; przez drzwi i mury skutek wywiera, nie zasłoni przed nią zbroja, ani pancerz. Więc bacność, słyszysz? Nie przepuść habitowi, czy szary będzie, czy czarny!

– Cóż myślisz o naszym panu? Czy grozi mu niebezpieczeństwo? – pytał Kurd troskliwie.

– Mnie się zdaje, że nie – odpowiedział Melchior. – Karmelita wydrze go śmierci, bo to mądry, uczony a pobożny człowiek. Zaraz poznał, co panu było; gdyby nie on, nie byłby pan przyszedł do przytomności, przynajmniej przed dniem sądu, z pewnością nie.

– Co też to było, co zakonnik mu lał w ranę?

– W każdym razie jakieś cudowne krople. Moja babka też знаła wiele cudownych roślin, które należy zbierać w wigilię Bożego Narodzenia albo św. Jana.

– Bardzom ciekawy, co też nasz pan szeptał mnichowi do ucha. Nigdy go nie widział tak poważnym, albo raczej tak świętym. Ani na chwilę nie spuścił oka z dziewicy, a potem skinął na zakonnika, i mówił mu coś do ucha; co też to było?

– Co było? hm! Z czego się mnichowi spowiadał, leży jak na dłoni – odezwał się Melchior, udając, że wie o wszystkim.

– Czy może zapragnął dobrego winka z klasztornej piwnicy?

– Wstydz się, Kurd! Nie wiesz, że nasz pan pości od chwili, w której poznał piękną panienkę? Święta Boża Rodzicielko! Dawniej ani trzymać pana! Wina pił za trzech, w bitwie trzech pokonywał. Póki żyć będę, nie zapomnę, jak stanął w kaplicy Hoenfels! Zdawałoby się, że piorun przed nim uderzył, albo że wpatrzył się w siódme niebo, jak Paweł św.! I cóż go tak zmieniło? Piękna panna. A teraz, kiedy ledwo o trzy piędzi stoi przed nim, kiedy oka z niej nie spuści, a ona z niego – teraz miałby myśleć o winie? Bardzo się omylił. Wina z pewnością nie żądał. Tylko trzeba umieć się trochę domyślać.

– A ty czego się domyślasz?

– Ja myślę tak, z naszym panem zupełnie to samo się dzieje, co ze mną. Ile razy patrzę na piękną pannę, zaraz przychodzi mi na myśl anioł, albo inna święta istota; skąd to pochodzi, nie wiem, ale za każdym razem stają mi wtedy grzechy moje przed oczyma. Tego samego doznaje pan nasz. Otóż stoi przed nim pobożna, cnotliwa jak anioł Gabriel, na którego grzesznik nie odważy się spojrzeć. Lecz nasz pan, rozumiesz? chce śmiało patrzeć w oczy umiłowanej,

dlatego wołał czcigodnego ojca, który ma zdjąć z jego duszy zastarzały brud i uczynić ją czystą i jasną. Skoro zaś dusza będzie czystą i jasną, będą i oczy jasne, a wtedy nie będzie się rumienił, ile razy Gizela anielskimi oczyma spojrzy na niego. Zrozumiałeś? A teraz pilnuj! Ja będę śledzić szarego; jeśli go spotkam, no, to życia jego dość było na ziemi!

Po takim dowcipnym wyłożeniu zachowania się pana, przeszedł Melchior z halabardą na ramieniu ogród, przejrzał go bacznie, i przez otwór w murze przeszedł do sadu. Nie wiedząc, w którą by stronę najprzód się zwrócić, patrzył po drzewach. Naprzeciw otworu, przy którym stał, wznosił się mur wysoki, po lewej zaś stronie rozciągał się sad nieogrodzony. Bystry strumyk stanowił granicę. Promienie południowego słońca odbijały się w nim tęczowymi kolorami, cudny przedstawiając widok. Po drugiej stronie wznosił się pagórek, obsadzony gęstą krzewiną.

W tę stronę zwrócił Melchior wzrok swój, gdy właśnie się coś poruszyło. Z podniesioną halabardą podbiegł tam natychmiast i poznał, że znalazł, czego szukał: szary habit, zbójcę pana z łukiem w ręku.

– Stój! Łotrze – stój! – krzyczał Melchior, biegnąc przeciw Klemensowi, który w prędkiej ucieczce szukał ocalenia. Lecz długi habit przeszkadzał mu w biegu, i co tylko nie dostał się w ręce ścigającego. Przesadził przez strumyk i w krzaczach ukryć się usiłował. Ale daremnie! Melchior sięgnął go halabardą. Uciekać było niepodobieństwem.

– Czegóż mnie ścigasz? – zawołał Klemens.

– Łotrze! zabójco! – zawołał Melchior i rzucił Klemensa na ziemię nie halabardą, bo do tego nie miał czasu, ale pięścią.

Klemens upadł wznak na kamień i rozbił sobie głowę. Melchior stąpił mu na piersi i zamierzał się do śmiertelnego ciosu.

– Powiedz, psie, czemu chciałeś zabić mego pana?

– Mylisz się, dobry człowieku! Twemu panu jeszcze nic złego nie uczyniłem – odpowiedział Klemens, wijąc się pod nogą Melchiora.

– Tak? Mniejsza o to. Twoją duszę i tak diabeł porwie: jedno kłamstwo więcej, czy mniej.

Klemens oburącz uchwycił straszliwą broń. Śmiertelny pot wystąpił mu na skronie, a cały kurczył się jak w skonaniu.

– Nie zabijaj mnie! – prosił. – Powstrzymaj się – jam tu nie winien! Na wszystkich świętych ci przysięgam, że twego pana nigdy jeszcze nie widziałem!

– Co? ty zbójco! Myślisz, że taki głupi i uwierzę twojej przysiędze. Spiesz się! Powiedz, dlaczego zatrutą strzałą strzeliłeś do mego pana?

Groźna twarz Melchiora i głos drżący od gniewu i złości dostatecznie świadczyły, że przyznanie się do winy o kilka chwil tylko mogło przedłużyć Klemensowi życie.

– Choćbyś mnie w kawały porąbał – nie zrobiłem tego. Nie zabijaj niewinnego człowieka! – błagał mnich.

– Co – tyś niewinny? Nie nosisz szarego habitu? Nie miałeś łuku właśnie w ręku, i nazywasz się niewinnym? Dlatego giń, nędzniku!

Wyrwał halabardę drżącemu Klemensowi i zamierzył się.

– Wszystko wyznam – wyjąkał zbiegły mnich, ręce podnosząc błagalnie.
– Ciężkie zbrodnie kalają moją duszę; nie wtrącaj mnie do piekła!

– Ach – tak? Więc przyznasz się wreszcie i powiesz przyczynę? Chciałbym słyszeć, dlaczego chciałeś zabić mego pana?

– Chętnie życie oddam za zbrodnie moje, ale nie zabijaj mnie, bo grzechów moich teraz największe mnóstwo. Pozwól, abym wpierw za nie odpokutował.

– Taka śpiewka podoba mi się, przynajmniej brzmi po chrześcijańsku. Z twoją duszą żadnej nie chcę mieć sprawy, mogłaby mi się w nocy ukazać, gdybyś przeze mnie miał pójść do piekła. Ale jeśli nie wyznasz wszystkiego co do joty, co masz na sumieniu, jakim wierny sługa mego pana, nie zostanie cała twoja mózgowica.

– Wszystko wyznam; nie posyłaj mnie w tym stanie do wieczności!

– Więc dalej, zacznij spowiedź! – naglił Melchior, zdejmując nogę z piersi Klemensa, ale nie pozwalając mu powstać. – Przecież nic nie wolno ci opuścić – o wszystkim chcę wiedzieć.

Melchior zawsze miał pana w myśli, rozumiał, że zbrodnie, o których wspomniał Klemens, odnoszą się li do zranienia Roteneka. Klemens zaś nie domyślał się tego i sądził, że powinien wszystko powiedzieć, co tylko ciążyło na jego duszy. Niespodziana wcale śmierć, którą miał przed oczyma, rozprężyła wszystkie owe uczucia, które go spowodowały do przeniewierzenia się zaprzysiężonym obowiązkom. Ani lekkomyślność, ani nauki reformatora, nie mogły przed bramami wieczności przygłuszyć wyrzutów sumienia, które jak furie go dręczyły, że stał się wiarołomnym. Okoliczność ta dostatecznie dowodzi, że Klemens, idąc za naukami Lutra sprzeciwiał się ciągle własnemu przekonaniu, które w tej strasznej chwili z całą grozą przeciw niemu wystąpiło. Nawet i to, co długoletnie nadużycie uświęciło, stanęło mu przed oczyma jako złe i niegodne.

– Bez powołania wstąpiłem do klasztoru – zaczął spowiedź swoją – jako złodziej zakradłem się do owczarni Chrystusowej.

– Dlatego cię diabeł nie porwie – mówił Melchior; – boć jeszcze w owczarni mogłeś się dobrze zastanowić, namyślić i nie kraść. Teraz dalej – do głównej rzeczy!

– Złamałem śluby i przyjąłem fałszywą naukę Lutra!

– I to nic nie znaczy – tłumaczył Melchior – wedle nauki Lutra można żyć bardzo swobodnie, a tego nikomu zabronić nie można. I dlatego cię diabeł nie weźmie zaraz, i dusza twoja mi się nie ukaze.

– Lutra nauka zaś przeciwna jest Pismu św. i woli Boga – wyznał Klemens.

– Co nam do tego? Niech Luter za to odpowie, który za wszystkich tych będzie gorzał, których okłamał i oszukał. Teraz dalej – właściwą chcę słyszeć przyczynę!

– Potem grzeszne miałem stosunki z oblubienicą Pana...

– Aha! macież go! Z oblubienicą mego pana?

– To okropny grzech!

– Bez wątpienia. Oblubienica mego pana nie powinna cię była obchodzić!

– Jam ją chciał dziś wykraść...

- Co? i zezwalała na to?
- Na wszystko zezwalała!
- O fałszywa wszetecznic! Nie byłbym przypuszczał, że taka niebiańska istota może być diabłem. Czy już skończyłeś?
- Nadeszliście właśnie, kiedym jej przy murze ogrodowym wyczekiwał.
- Gdyby nie chodziło o twoją głowę, byłbym wolał nie przeszkadzać ci wcale, bo fałszywa niewiasta nie zda się dla mego pana. Od biedy dobra dla zbiegłego mnicha, który również nie dochowuje wiary i ślubów. A teraz skończyłeś? Czas jest, abyś odebrał, na co zasłużyłeś.
- Na Boga! miej litość nade mną.
- Nic z tego!
- Nie wtrącaj mnie w wieczną zgubę!
- Ba! jeno mi się tak nie krzyw: uczynię się nielitościwym i zrobię, co wierny sługa zrobić powinien.
- Zlituj się! pamiętaj na dzień sądu – błagał Klemens, gdy Melchior, odwróciwszy głowę, zabierał się do uderzenia. – Daj mi jeszcze czas, abym przez posty, umartwienia i pobożne życie zakonne mógł odzyskać utracone niebo!
- Albo piekło – ty głupcze! – odezwał się głos z poza bliskiego krzaka.
- Niebo – powtórzył Klemens w nadmiernym strachu. – Przed Bogiem i wszystkimi świętymi wyrzekam się moich błędów.
- Wtedy pójdziesz do piekła, wiarołomny mnichu! – odezwał się głos znowu.
- To chyba diabeł – mówił Melchior, który na wszystkie strony się oglądał, a nikogo nie mógł zobaczyć. – Jednak dobrze, że ci łba nie rozbiłem; bez wątpienia przyszedł diabeł, aby zabrać biedną duszę twoją.
- Diabeł niech ciebie porwie, psi sługo psiego pana! – i Knopf wyskoczył z poza krzaków wywijając maczugą.

Melchiorowi wyjaśniła się rzecz cała, gdy zobaczył szary habit, i gdy przypomniał sobie, co zaszło w końcu pomiędzy Knopfem a panem jego.

– Ha! ty strzeliłeś do mego pana?

– Oczywiście – a któżby miał doń strzelać? – śmiał się szyderczo Knopf.
– Tak ja, ramię sprawiedliwości Boskiej, ja, miecz Gedeona, zabiłem łotra, który jak duch prawdy mi wskazał, był wiarołomnym. Czy już zimny, co robi? Zdaje mi się, że więcej nie będzie naczelnym wodzem. Jakżeż mu się powodzi? Chętnie chciałbym o tym wiedzieć, niż odejść.

– Co? ty psie! Takie wyrazy wychodzą z ust twoich i jeszcze żyjesz? – zawołał Melchior pełen gniewu.

– To mówię na twoje umartwienie!

Z wściekłością rzucił się Melchior na Knopfa, który, jak w walce z Wolfgangiem udowodnił, umiał doskonale używać maczugi. Zgrabnie podjął cięcie przeciwnika, i gdy Melchior z prędkością błyskawicy chciał ugodzić w pierś jego, odbił mu halabardę. Ale krótka maczuga nie pozwoliła Knopfowi skorzystać z chwili, bo Melchior, który już za czasów starego Roteneka nosił halabardę i do najmężniejszych się liczył pomiędzy zbrojnymi w onym słynnym a straszliwym zastępie obrońców ojczyzny, wnet się poprawił. Knopf właśnie okręcał, jak zwyczajnie, maczugę około głowy, aby dać poznać swoją zręczność i odwagę, a może też dlatego, aby, odkrywszy się pozornie, spowodować przeciwnika do zbliżenia się, z czego umiał znamienicie korzystać. Ale nie pomyślał, że podobne sztuczki, wobec wyćwiczonego w rzemiośle wojennym, bardzo mogą być szkodliwe. Chociaż koło, które zakreślał Knopf, tylko mgnienie oka trwało, ugodził Melchior jak piorun z boku, a głowa Knopfa potoczyła się po murawie, bełkocząc, z przewróconymi oczyma, gdy kadłub stał jeszcze na nogach, a krew czarna strumieniem wytryskiwała.

– Łotr! nazywał się nieomylnymi ustami Boga, prorokiem, a nie wyprorokował sobie, że jeszcze dziś będzie gościł z diabłem! Dostyc długo obdzierał zakonników i zakonnice. Dawno mi jego sprawki żółć do krwi wpędzały – mówił Melchior, zrzucając głowę do strumyka. I kadłub chciał tam wrzucić, kiedy namacał pod habitem jakiś twardy przedmiot. Odgiąwszy habit, znalazł wór, pełen drogich kamieni i pereł.

– Patrzcież, jaki złodziej! Zawsze przechwalał się swym ubóstwem – a tu drogie kamienie! Dobra by za nie kupić sobie można. Tak – tak, gdyby kościoły i klasztory nie były takie bogate, nie znalazłaby czysta ewangelia tylu zwolenników!

Przytwierdził sobie wór do pasa, wrzucił kadłub do wody, otarł ze krwi halabardę i wrócił do klasztoru, nie patrząc wcale na Klemensa, który skorzystał z czasu i uciekł.

– Długo cię nie było – odezwał się Kurd, patrząc na wór. – Co tam masz przy pasie?

– Bracie, tam całe dobra, razem z zamkiem, borem, polami, stawami, daninami i wszystkim, co do nich należy – odpowiedział Melchior, patrząc poważnie na towarzysza, który z otwartą gębą stał przed nim.

– Najpierw powiedz mi, co pan robi?

– Ma się lepiej – jak powiadał czcigodny ojciec, który niedawno tędy przechodził. – Ale Melchiorze – i Kurd zapalił się, ścisnął pięść i uderzył halabardą tak mocno ziemię, że w całym klasztorze się rozległo – nie ledwie byłbym jakiegoś ptaszka przebił: Wystaw sobie! przychodzi jakiś młokos, mleko pod nosem, wyświeżony, czapka nad uchem, ręka na rękoności puginą, prawą pod boki podparty, nogi tak, głowa tak, jakby gwiazdy chciał liczyć; słowem lalka, której jeszcze nigdy broń nie świszczała koło uszów!...

– Czy cię zaczepił? Cóż zrobił?

– Co zrobił? Otóż stanął przed czcigodnym ojcem, który wyjął truciznę naszemu panu, zadarł nosa i mówił:

– Wedle rozkazu mego pana, macie natychmiast przyjść do zamku; jeśli nie przyjdziecie, razem z klasztorem będziecie za to odpowiedzialni.

– A! do pioruna! czemuż tu nie byłem! – gniewał się Melchior.

– Przyjdę – odpowiedział czcigodny ojciec – jeno proszę o cierpliwość; mamy chorego, który wymaga pilnej bardzo opieki. Tak, śmiał się młokos w twarz świętemu mężowi: Chorego? Czy wasz cały klasztor nie jest chorym? Jeśli nie weźmiecie od hrabiego lekarstwa, cały klasztor jeszcze dziś umrze! W ten sposób naigrawał się w oczach czcigodnego męża, a ja, osieł, stoję i przepuszczam młokosowi!

– Do stu piorunów, czemuż nie byłem przy tym! Byłbym mu rożków przytarł!

Srebrny głos dzwonka odezwał się właśnie na ganku, prowadzącym do kościoła. Zajaśniało jasne światło świecy w ciemnym na pół korytarzu, a za nim postępował w pokornej postawie Dominik, niosąc Najświętszy Sakrament w złotej puszcze. Naprzód szło dwóch chłopców w białych sukniach ze świecami w ręku. Lekki powiew powietrza zwracał świece ku kapłanowi, a dwa płomienne języczki zdawały się cześć oddawać Najświętszemu ciału Pańskiemu. Dominik miał na szacie zakonnej białą komżę, drogimi koronkami obszytą. Złotem tkana stuła lśniła się przy blasku świec, a białe jedwabne welum, którym okrył cyborium, złotem było szyte. W maleńkiej tej procesji przebijało coś wzniosłego, uroczystego i świętego. Pobożne dusze niezawodnie przeczuwały, że Najświętszemu Sakramentowi towarzyszą niewidzialne duchy, wielbiąc Pana, którego wszechmoc więcej podziwiać należy w obecności w Najświętszym Sakramencie, aniżeli wtenczas, gdy przemawia wśród grzmotów i piorunów, albo gdzie dzieła wszechmocy zmuszają śmiertelnika do wyznania, że wobec Boga niczym jest. Zbrojni podkrywali głowy, pospuszczali halabardy, i gdy Dominik ich błogosławił, ukłękli pobożnie. Potem powstali i ze czcią szli za Najświętszym Sakramentem, który niesiono ich panu.



Uczta

~~~~~

"Milszy Bachus, chociaż stary,  
Niż Apollo – ani słowa,  
Milsze wina są puchary,  
Niżli wieńcem strojna głowa".

*Buerger.*

Podczas gdy karmelita, wierny obowiązkowi św. powołania swego, mocą kapłańską skruszone serce z Bogiem jednał, zbierała się nad klasztorem straszliwa burza. W wielkiej sali, w której Werner podejmował gości, rozweselały się umysły coraz bardziej, mowy się ożywiały, a gospodarzowi niejedni dostali się przycinek za to, że tak nieposłusznego cierpi kapelana, który mimo kilkakrotnego wezwania nie przychodził. Przycinki miały nie tak oburzyć hrabiego przeciw Dominikowi, jak raczej spowodować go do stanowczego wystąpienia przeciw Schoenfeld, bo wielu z obecnych spodziewało się, że przy zabraniu klasztoru i im się coś dostanie. Werner byłby prawdopodobnie uległ naciskowi swych gości, i byłby ucztę ukoronował zniesieniem klasztoru, ale obecność Siegfrieda, który siedział zamyślony naprzeciw niego, nie pozwalała ostatniego wyrzec słowa.

Z biegiem czasu wino rozpalało coraz więcej głowy ucztujących, i biesiada przybrała charakter prawdziwej hulatyki. Zbiegli zakonnicy, towarzysze Klemensa pili tyle, ile się tylko zmieściło, a rozgrzani winem nie nakładali hamulca na język. Mówili, co im ślina do ust przyniosła. I szlachta nie próżnowała, wychylając gęste puchary, jakby chciała pokazać, że sławie niemieckiej w wypróżnianiu kielichów nie chce przynieść hańby. Prawda, że najwyższa władza w państwie wydała surowe przepisy przeciw brzydkiemu zwyczajowi zbytowego picia; atoli praw już nikt nie szanował, a najmniej myśleli o nich goście Wenera.

Dla uczczenia reformatora postawiono przed nim największy puchar, wyobrażający wydrążony pień z drzewa. Przy biesiadach przestrzegano wówczas pewnych praw, których nie wolno było przestępować. Nie ustąpić nikomu w picciu, wszystkich przetrzymać, było równie chwalebnym, jak odnieść zwycięstwo w turniejach. Sławny reformator i w tym względzie stosował się do wymagań czasu. Powodowany dumą, starał się usilnie, aby gospodarz nie nabrał

czasem o nim złego wyobrażenia, i dlatego co chwilę dowodził, że pić umie doskonale (1). Wiernie przestrzegał przepisów, jak i kiedy do kogo pić, i wnet, czy to z szacunku dla uczonego Doktora, czy też dla rzeczywistej zasługi, ogłoszono go jednomyślnie królem uczyty. Niespodziana godność podniosła bardzo wesoły humor Lutra. Jeszcze obficie sypały się z ust jego znane mowy przy stole, aby rozweselać współbiesiadników. Jeśli Luter rzeczywiście zasłużył sobie na godność króla uczyty, wtedy usprawiedliwić możemy nieprzyjaciół Lutra, którzy mu zarzucali niewstrzeźliwość, a nawet twierdzili, że wskutek trzydniowego ucztowania u hrabiego Mansfelda umarł (2).

– Pozwólcie się uprosić, bracie Bernardzie! – zawołał Jan z Wittburga, człowiek silny, a należący do rycerstwa. – Musisz nam zaśpiewać; przecież wiesz, czego chcę: ową piosenkę o habicie i kapturze, która kończy się: "jo, jo, jo, cum júbilo!".

Prośbę tę wygłosił Jan takim głosem, że wszystkich oczy na niego się zwróciły.

Krzyczącego Bernarda bynajmniej nie zatrwożyła rola, jaką mu przeznaczono. Zaraz począł śpiewać piosenkę, która dowodziła i usposobienia jego i talentu w układaniu śpiewów (3). Melodia niekoniecznie była piękną, ale weseli biesiadnicy chętnie ją powtarzali. Dla poznania, jakiej była treści, podajemy jedną zwrotkę:

– Rzućcie habity, kaptury czarne,  
I posłuszeństwo zaprzysiężone;  
Precz przełożeni i śluby marne,  
Nie będą więcej modły wznoszone!  
Bojaźń ze wstydem, sumienia głosy  
Niech milczą dzisiaj, a my w Niebiosy  
Jo, jo, jo cum Jubilo, jo,  
Śpiewajmy Lutrzy głośno, ho!

Kiedy skończył, głośne dano mu oklaski. Najbardziej zaś schlebiała mu pochwała Lutra, który wypił doń pół pucharu i sam pieśń zanucił. Treść jej o wiele przewyższała pomysł Bernarda. Więcej jeszcze szydził w niej z papieżstwa i wyraźniej do rozkosznego wzywał życia. I dlatego z zapalem powtarzali wszyscy końcowe wiersze:

– Kto nie kocha kobiet, wina należycie,  
Ni też śpiewu, kpem zostaje całe życie –  
A my nie kpy...



Zbiegłe mnichy z uniesieniem wtórowali chórowi, a śmiejące się ich twarze okazywały, jak wiernie dopełniali tego, do czego zachęcała piosnka reformatora.

– Nie jestże to prawdziwie niebiański śpiew? – odezwał się Ignacy tonem podobnym do bełkotania, jak zwyczajnie bywa po wielu kieliszkach wina. – Wino, kobiety, śpiew, to rzeczywiście boskie rzeczy na ziemi! Bracia, czym byłby świat bez wina? Co najwięcej kaczkę, gęsi i tym podobne ptaki, pijące wodę, żyć by mogły. Świat byłby zbiorowiskiem lalek i bałwanów, jakimi klasztory są przepełnione. A dopiero kobiety! Czym byłaby ziemia bez kobiet? Nawet w raju nie mógł Adam obejść się bez kobiety, a my mamy do tego stopnia być głupimi, iżbyśmy bez kobiet byli? Klnę się na ten puchar pełen! Lutra Ewangelia dopiero przez naukę o kobietach nabrała wartości i stała się pociągającą. Przez nią przewyższył wszystkich, którzy kiedykolwiek byli napełnieni Duchem Świętym.

– Zupełnie słusznie – dodał Koppe z takim pośpiechem, jakby się był lękał, by go kto nie uprzedził i nie zwrócił rozmowy na inny przedmiot, – tylko diabeł mógł wymyślić celibat, bo Pismu sprzeciwia się on najzupełniej. Przecież – i pokłonił się z wielką czcią Lutrowi – nie wolno mi w obecności męża, który sam jeden dobrze Pismo wyklada, odwoływać się na Pismo.

Reformator udawał, że pochwały nie słyszy, i rozmawiał dalej z Erfem Hauenstein. Kto atoli pilnie uważał, byłby dostrzegł uśmiech na ustach Doktora, który pilnie słuchał, co o nim przy stole mówiono.

– Co za obrzydłe pochlebstwo! – odezwał się Kuno z Friendsbergu, któremu takie schlebienie Lutrowi, jakoby piołunem zaprawiało wino. – Chociaż Lutrowi udało się z Papieżem i cesarzem, chociaż wywołał w kraju zamieszanie, z którego niejeden grzesznik będzie korzystał, to przecież został człowiekiem, takim jak ty jesteś. Takiego łaszenia się nie cierpię; przystoi ono chyba żydowi, ale chrześcijaninowi nigdy.

– Czy wasza przewielebność – odparł Koppe ironicznie – potrafiłby udowodnić z Biblii, że celibat jest głupstwem? Jeśli tego dokażesz, jeszcze niżej ci się kłaniać będę. Każdemu, co słuszna!

Kuno zrozumiał ironię i zapłonął strasznym gniewem.

– Co ci się marzy, człowieku? – zawołał trunkiem rozpalony – czy sądzisz, że szperam po Biblii? My, szlachta, nie znamy się na figlach przekręcania słów Pisma św., ale jeśli chcesz poznać, co umiem mieczem, toporem, albo oszczepem, natychmiast ci służyć.

– Figle? – powtórzył Koppe z udanym przestraczem. – Czy przypisujesz je uczonemu Doktorowi?

– A komuż by innemu? – odpowiedział Kuno, nie zważając na gniewliwe spojrzenia Lutra. – Boć jakżeż nie posądzać Lutra o matactwa, kiedy wydobywa z Biblii rzeczy, o jakich od Narodzenia Pańskiego nikt nie słyszał? Diabli mi zresztą do tego, czy mnichy się żenią, czy zachowują – no, jakżeż tam?

– Celibat – dopomógł Bernard.

– Zachowują celibat! Gdyby w Piśmie św. stało, że celibat od diabła pochodzi, dawno już, tak sądzę, byłby kto inny to wyczytał. Wszakżeż celibat nie od wczoraj w Kościele. Ale że w Piśmie św. o tym ani słówka, więc Luter uciekł się do matactwa, aby celibat diabłu przypisać. Otóż mój dowód! Jeśli ci niedostateczny, postaw mi kogo, równego ze mną rodu, a udowodnię mu w szrankach dzidą, mieczem, czy toporem, że Luter od matactwa nie jest wcale wolny!

Koppe miał uwagę ciągle zwróconą na Lutra; założył ręce na piersi i udawał takie oburzenie, jak gdyby mowa Kunona najokropniej znieważała świętą osobę reformatora.

– Prawda – odezwał się Ignacy – dziś z sobą biesiadujemy w największej zgodzie, ale na to coś powiedział, przystać nie mogę. Luter najśluszniej nazwał celibat dziełem i wymysłem diabła. Niech nam sam rzecz wyjaśni, i zwrócił się do reformatora z prośbą: Doktorze! Wasza uczoneść niech nam dopomoże w trudnym położeniu; czyż nie napisano w Biblii, że celibat jest wynalazkiem diabła?

Luter rzucił złośliwe spojrzenie na Kunona i zapytał:

– Któż wątpi o tym?

– Otóż ten dzielny szlachcic! – odpowiedział Ignacy, wskazując na Kunona.

– Gdyby ów szlachcic choć jedną umiał przeczytać literkę – odrzekł Luter – znalazłby miejsce w Księgach Mojżesza: "Roście i mnożcie się!". Jeśli więc Papież naucza bezżeństwa, wtedy nauka jego sprzeciwia się Biblii i dlatego jest nauką i wynalazkiem diabła!

– Jeno powoli, Doktorze! – odezwał się odważny Kuno. – Mojżesz w naszej sprawie przemawiać nie może, bo to żyd a żyd ma milczeć, gdy chrześcijanie mówią!...

Jakkolwiek Luter ogromnym zapalał się zawsze gniewem, gdy ktoś powążył się sprzeciwić jego wykładowi Pisma św., to przecież słysząc uwagę Kunona, nie mógł powstrzymać się od śmiechu!

– A jakąż odprawę dałeś Mojżeszowi? Jemu się zdawało, że jest największym prorokiem, a ty mu usta zamykasz.

– Czy zaprzeczycie, że Mojżesz był żydem? Za kogoż go właściwie macie?

– Wedle mego zdania – odpowiedział Luter poważnie – Mojżesz jest studnią i źródłem, z którego wszyscy prorocy i Apostołowie czerpali mądrość Boską. My nie możemy nic zbawienniejszego i lepszego czynić, jak tylko czerpać z tej studni i kosztować tego, co Duch Święty przez Mojżesza w Piśmie św. okazuje nam jako łaski i pociechy (4).

– Czy więc przyznajesz, że słowa: "roście i mnożcie się" mają znaczenie takie jakie im Luter nadaje? – pytał Ignacy.

– Czy ty przyznajesz, że wielki reformator zupełnie zgodnie z Pismem św. postępuje, gdy żeni się z Katarzyną Bora? – dodał Koppe.

– Mniejsza o to – wszystko przyznaję! – odpowiedział Kuno ze śmiechem – ale pod tym warunkiem, że będę zaproszonym na ucztę weselną.

Wzmianka o weselu zdawała się budzić i pragnienie widzenia narzeczonej.

– Ale gdzież jest Kasia? – zawołał Bernard.

– Pójdźmyż po piękną Kasię! – mówił Ignacy.

– Pójdę z wami, jeśli jutro zacznie się wesele! – dokończył Friendsberg.

– Tak, – tak! – odezwał się Sebastian; – w klasztorze mają nas wszystkich za kpów: ani narzeczonej ani karmelity nie widać.

Koppe ucieszył się bardzo, gdy rozmowa taki wzięła obrót. Szukał hrabiego oczyma, a gdy poznał, że i Luter pragnie oblubienicy, pozostał, nastroił się bardzo poważnie, i tak się odezwał, zwrócony do hrabiego:

– Wszyscy oburzeni są na zuchwałę postępowanie karmelity. Trzy razy wezwany został, a nie przychodzi. Mniejsza o to, że dumny mnich gardzi wysokim gościem hrabiego i unika spotkania z nim, to można by mu przebaczyć, ale niepodobna przebaczyć wzgardy, jaką Dominik okazuje własnemu panu i dobrodziejowi.

Koppe śledził, jakie wrażenie czynią słowa jego na obecnych, zwłaszcza na hrabim, który coraz więcej zapalał się gniewem.

– Uczony reformator – ciągnął dalej – gotów spełnić boskie powołanie swoje: wykaże kłamstwa papisty ku radości wszystkich zwolenników nowej Ewangelii; boć rzecz wiadoma, jaki wpływ ma ten wilk w owczej skórze na wysoko postawione osoby.

Ostatnie słowa wymawiał powoli, z ubolewaniem, a wielu zwróciło oczy na Wenera, który, słysząc ostatni przycinek, nie mógł już dosiedzieć na krześle.

– Dominik nie przychodzi, chociaż z samego posłuszeństwa dla pana swego przyjść był powinien, prawdopodobnie w przeczuciu haniebnej porażki. Atoli Dominik nie tylko usiłuje w niwecz obrócić zamiar, dla którego reformator tu przybył, ale odważa się nawet zatrzymać oblubienicę, dla której reformator daleką i uciążliwą podjął podróż. Dlatego, panie hrabio, proszę unizienie, abyś siłą zniewolił Dominika do oddania tego, co się gościowi należy, a co przemocą i podstępem usiłuje zatrzymać dla siebie.

– Niechżeż do diabła Kasia przyjdzie! – wołał Friendsberg gwałtownie. – Karmelita musi oddać augustianinowi, co mu się należy, zwłaszcza, że Luter dziesięć mil drogi przeszedł, aby ze swoją panną się połączyć.

– Za pozwoleniem, panie! – odezwał się Koppe, któremu ton, w jakim Kuno przemawiał, nie podobał się. – Wielki reformator nie szedł, jeno jechał na koniu elektora.

– Czy szedł, czy jechał, wszystko jedno! – odparł Friendsberg. – A zresztą mnisi lepiej chodzić umieją niż jeździć, a jeśli Luter dziesięć godzin jechał konno, to doprawdy zasłużył sobie Katarzynę, dla której taki podjął mozół. Więc Wernerze, każ przyprować Kasię! Zupełnie słusznie należy się ona augustianinowi a nie karmelicie.

– Ciekawym też widzieć tę kobietkę, – mówił Jan z Wittburga.

Hrabia nie mógł zdobyć się na stanowczą odpowiedź.

– Długoż jeszcze będzie ci się klasztor sprzeciwiał? – pytał Erf z Hauenstein, chciwiec, jakich mało, ciągle podmawiając Wenera, aby klasztor zniósł. – Skończżeż raz i pokaż, że ty sam jesteś panem na twoich śmieciach!

– Narzeczoną! – wołał Bernard, wychylając kielich.

– Narzeczone niech przyjdzie! – wołał Ignacy i cały chór.

Werner powstał.

– Ulegam ogólnemu żądaniu moich gości – mówił, jakby chciał się uniewinnić przed Siegfriedem – przecież pod tym warunkiem, że Koppe pójdzie z tymi, których poślę do klasztoru.

– Do usług, panie hrabio! – odpowiedział Koppe, a na obliczu jego widać było tryumf i zadowolenie, że będzie się mógł pomścić.

Gdy goście z hałasem wypróżniali kielichy, opuścił Werner z Koppem salę, a Luter z zadowoleniem przyjmował powinszowania. Sam tylko Erfenstein nie mieszał się do powszechnej uciechy. Zakłopotany, wsparł głowę na rękach i rozważał, jak straszliwe skutki wyniknąć mogą dla Wenera z gwałtownego uprowadzenia Katarzyny z klasztoru. Słynny reformator radował się nad zgubą "ośle jaskini" – i pozyskaniem silnego członka dla nowego kościoła, a stary Siegfried wzdychał i smucił się, że jego towarzysz broni odpada od wiary.

– Doskonały człowiek z augustianina! – mówił Wittburg. – Patrz, jaką ma wprawę! Zaprawdę wiem, nie zrobi hańby!

– I kobietom – dodał Friendsberg. – Wszystkie klasztory otwiera i każdą zakonnicę do diabła posyła, która nie chce męża. Wiesz, coś mi właśnie przyszło na myśl – i śmiał się filuternie, wołając na Lutra: Doktorze, czy to prawda, że wedle waszej Ewangelii nie tylko wolno się żenić zakonnikom z zakonnicami, ale nawet chrześcijanom z żydówkami?

Śmiałe wystąpienie Kunona, a może też dawniejsza rozmowa, w której nie miał względu na reformatora, niezwyčajnego znosić opozycji, sprawiły, że Luter wcale nie odpowiedział. Spojrzał na Kunona, wrzucił ramionami, i odwrócił się z obliczem, z którego łącno było wyczytać lekceważenie, ba, nawet wzgardę. Kunona oblał rumieniec gniewu, zaklął po cichu i pociągnął z kielicha. Rzucone przecież pytanie podjęli inni, bo właśnie co do małżeństwa pozwalał sobie Luter nowości, które schlebiały namiętnościom, a sprzeciwiały się dawnym naukom Kościoła o wstrzemięźliwości i czystości. Atoli główne zasady Lutera nie mogły się przyjąć w narodzie, któremu wrodzona jest cześć dla stosunków małżeńskich.

– W to mi graj! – odezwał się Jan z Wittburga. – Bo i czemuż by nie przekładać pięknej żydówki nad straszną chrześcijankę?

– Pfui, żydówkę! – mówił Friendsberg z urazą.

– Porzuć przesady, Kuno! – odezwał się Ignacy. – Tyraństwo Papieża nie powinno nam dłużej wzbraniać córek Abrahama.

Za zdrowie Judyty i jej pięknych sióstr! – przemówił młody Wolf, na którego obliczu wyuzdane chucie straszliwe zostawiły ślady.

Wyjąwszy zbiegłych mnichów, mało tylko wypilo wniesione zdrowie. Niechęci dla wzgardzonego narodu żydowskiego nawet wolna Ewangelia usunąć nie mogła. Odzywały się głosy, potępiające takie związki, a nawet wprost odmawiano reformatorowi prawa głoszenia takich nowości.

Natychmiast też powstał reformator, aby bronić swojej nauki.

– Tego wcale nie rozumiecie – przemówił do przeciwników. – Małżeństwo jest rzeczą zewnętrzną, rzeczą cielesną, jak każda inna światowa sprawa. Jak mogę jeść, pić, spać, chodzić, jeździć z żydem, poganinem, turkiem, kaczerem, tak samo mogę z nim wstępować w stosunki małżeńskie; nie słuchajcie praw głupców, którzy tego wzbraniają. Poganin jest tak samo mężczyzną albo kobietą od Boga dobrze stworzonym, jak św. Piotr, Paweł i św. Lucjan – że zamilczę o fałszywych chrześcijanach (5); – przy tym spojrzął znacząco na Friendsberga, który szczęściem nie uważał na przytyk, bo inaczej byłby otwarcie wystąpił przeciw Lutrowi.

– Zupełnie słusznie! małżeństwo to świecka sprawa!

– Bardzo słusznie! – mówił Ignacy.

– Jeszcze o jedną łaskę prosimy, uczony Doktorze – odezwał się wycieńczony Wolf, a z głosu i fizjognomii wyczytać mu było można, że pragnął koniecznie, aby prośbie jego stało się zadość.

Reformator skinął głową na znak, że gotów odpowiedzieć, a młokos mówił dalej:

– Wedle tyrańskich praw Papieża, które zupełnie sprzeciwiają się waszej boskiej Ewangelii, nie wolno porzucać żony, aby pojąć drugą. Mąż i żona koniecznie muszą żyć z sobą, chociażby jak najchętniej innych związków poszukać chcieli. Czyżbyście nie pozwolili, z łaski swej, aby mężuło i żonula, jeśli się zgodzą na to, mogli się rozejść i inne zawrzeć śluby?

Wolf ciekawie czekał na rozstrzygnięcie. Z milczenia, które powstało na sali, było widać, że inni zgadzali się z nim. Augustianin wyprostował się i z powagą reformatora taką dał odpowiedź:

– Wszystkie więzy papieżstwa potargane. Jeśli mąż opuści żonę, ma prawo wziąć inną; tak samo i żona może pójść za innego (6).

Ogólna radość powstała wśród biesiadników na taki nabytek nowej Ewangelii. Wszyscy sięgnęli po puchary i do dna spełnili za zdrowie Lutra. Tylko Erfenstein siedział ponury, a Kuno Friendsberg gniewał się, że reformator tryumf odnosił.

– Pijcie za jego zdrowie – mówił do siebie; – i ja się doń napiję, ale bodaj mu życzenie moje wyjdzie na zdrowie.

Już nie mógł dłużej znieść zniewagi, jakiej doznał od Lutra. Za ledwo minęły oklaski radości, powstał i ręką skinął, aby się uciszono, a potem silnym odezwał się głosem:

– Pozwól sobie powiedzieć, Doktorze! – ale hałas towarzyszy nie pozwolił mówić mu dalej. Głośniejszą więc jeszcze zawołał: Pozwól sobie powiedzieć, Doktorze! – he! stul gębę! Dagobert – ucisz się przeklęty Wolfie – he! Mnie słuchajcie; – to wszystko niczym, na lepszy teraz wpadłem pomysł – a że krzyczał tak, że po całym zamku rozbrzmiewało, uciszeli się wreszcie goście i zwrócili się ku niemu.

– Czegóż tak ryczysz, jak niedźwiedź w boru? – przemówił Hauenstein. – Ten puchar pełen za zdrowie Lutra nauczającego jedynie dobrze o małżeństwie. – I wypróżnił puchar.

– Nie powiem prędzej, Erfie, dopóki Luter nie przyzwoli na to, co słuszne – mówił Kuno. – Jego pozwolenie na nic się nie zda! Po co żenić się z żydówkami, kiedy dziesięć żydówek nie wyrówna jednej jedynej jasnookiej Niemce? Po co rozłączać małżeństwa, kiedy kobiety zawsze kobietami; oddalisz jedną, przyjdzie druga. Dlatego ani szeląga nie daję za podarek augustianina. Lepszą umiałbym dać radę!

– Śliczne to będą rzeczy! – odparł obrażony Doktor.

– Na św. Pawła się klnę – zawołał Kuno. – Ty nie jesteś prawym ewangelistą! Łączyć nas chcesz z żydami, poganami, turkami! Nie mamy ci za co dziękować! Ale gdybyś miał władzę i mógł nam pozwolić dwie, trzy, cztery kobiety brać w małżeństwo – wtedy uznalibyśmy, że wolność głosisz. Jeśli nam tego pozwolić nie możesz, niech diabli biorą całą sprawę, dla której tyle krzyku narobiłeś.

Takie żądanie przechodziło nawet życzenia wyuzdanego Wolfa, który byłby się zadowolił pozwoleniem rozrywania dowolnego małżeństw. Inni trzęśli głowami i nie przypuszczali, aby reformator odważył się głosić wielożeństwo i usprawiedliwiać je Ewangelią. Jedyne tylko Bernard, którego opasła twarz spalić się chciała od gorączki wina, westchnął głośno: oj tak – to by była jedyna osłoda życia człowieka.

Ogólny śmiech przerwał chwilowe milczenie. Luter przecież nie miał ochoty do śmiechu.

– Czyś mnie chciał ugodzić? – zapytał gniewnie Friendsberga.

– W ciebie ugodzić? – śmiał się Kuno. – Nie, chciałem tylko zbadać, czy jesteś prawdziwym Ewangelistą wolności, i czy też rozumiesz Biblię.

Augustianin rozczzerwienił się ze złości.

– Gdyby wino przez ciebie nie mówiło – odpowiedział – kazałbym cię za twe gadanie batami przetrzepać. Czy ja Biblię rozumiem? Co za głupstwa!

– Zamknijcież mu gębę! – wtrącił Wolf, pragnąc usłyszeć, jak Luter sprawę rozstrzygnie.



– Pytał się, czy można mieć wiele żon, nieprawda? – mówił Luter niby obojętnie, jakoby zadane pytanie najmniejszej mu nie robiło trudności.

– Tak jest! – odpowiedział Wolf. – Ale Doktorze, trzymaj się dobrze, bo Friendsberg gruntownie jest obeznany z Pismem św. i mógłby to w poniedziałek z Pisma udowodnić.

– To każdy chłopiec potrafi – odparł Luter – do tego nie potrzeba wcale chełpliwego papisty. Każdy chłopiec wie, że Abraham miał więcej żon, a to przecież prawy był chrześcijanin. Dawid miał parę tuzinów żon, a był jeszcze pobożniejszym chrześcijaninem. Salomon miał kilkaset żon, a był najmądrszym z królów. Czyż tedy ów Friendsberg chce być lepszym chrześcijaninem od Abrahama, pobożniejszym od Dawida, mądrszym od Salomona? Nie jest zakazane brać mężowi więcej żon, owszem, zgadza się to z chrześcijańską wolnością (7).

– Król Salomon niech żyje! – zawołał Bernard, podskakując z miejsca.

– Tuzin żon Dawida niech żyje! – dodał Wolf.

– Luter niech żyje! – odezwały się głosy, i nawet Friendsberg był zniewolony sięgnąć po puchar.

W tej chwili wszedł karmelita Dominik z Wernerem. Wysoka, poważna postać czcigodnego kapłana, spokój, rozlany w jego obliczu, dziwnie odbijały od biesiadników. Hrabia przedstawił go reformatorowi, i wskazał mu miejsce naprzeciw Lutra.

– Mąż, którym się opiekujesz, panie hrabio, od dawna mi znany – odezwał się augustianin; – to filar papieżstwa, a dla czystej Ewangelii kamień obrażenia.

Chociaż to mówił do hrabiego, przecież łatwo się było domyśleć, że słowa te więcej są zwrócone do karmelity.

Goście, którzy z początku z niecierpliwością prawie oczekiwali dysputy, nie zwracali teraz na karmelitę żadnej uwagi. Wolność nowej Ewangelii tyle dla nich miała uroku, że wcale nie pragnęli sobie psuć miłego nastroju uczonymi rozprawami. Sam tylko Friendsberg, niezawodnie z nienawiści dla Lutra, okazywał Dominikowi jak największą cześć; przy czym taił się z tym, że wśród walki stanie po stronie Dominika.

Luter siedział poważnie i w milczeniu badał przeciwnika. Przeszawił puchar to w tę, to w ową stronę, jak gdyby nie wiedział, od czego zacząć dysputy. Spokój zakonnika, bystre jego oko, skromne ale wcale nie trwożliwe branie się, zdradzały, że Luter nie ma przed sobą zwyczajnego przeciwnika. Przede wszystkim lękał się on przeciwników, którzy z zimną rozwagą występowali do walki, i tym samym nie pozwolili Lutrowi użyć ciężkiej broni. Spostrzeżenie, które zrobił, skłoniło go do wielkiej baczności, ale że liczył na to, że słuchacze obecni pod każdym względem przyznają mu zwycięstwo, nie zatrwożył się wcale. Z drugiej atoli strony uderzało go mocno całe zachowanie się karmelity, który trzeźwy stanął wśród rozkoszujących biesiadników i naocznie pokazywał, jaka różnica pomiędzy czystym, dobrej sprawy broniącym mężem, a zwolennikami nowej nauki. A gdy sobie nadto przypominał, że Dominik usiłuje odwrócić hrabiego i jego służbę od nowej Ewangelii, i zatrzymać w więzach papieżstwa, zapalił się gniewem.

– Panie hrabio, usadziłeś mnie naprzeciwko prawdziwego papisty – zaczął Luter, nie spuszczać Dominika z oczu. – Tak jest, – prawdziwy to papista! Przypatrzcież mu się: wyżółkła twarz, policzki wpadłe, oczy gdzieś utonęły w czole, cienkie palce, same kości, jednym słowem wszystko to dowodzi, że oddawał się postom wymyślonym przez diabła, aby dręczyć tych synów Adamowych, którzy pozwalają się ogłupiać.

Sprzymierzeniec karmelity Friendsberg, pragnąc koniecznie zwady, nie przepuścił Lutrowi i zawołał gwałtownie:

– Kłamiesz! Post nie jest wymysłem diabła, tak samo jak modlitwa i jałmużna nie są pomysłem czarta. Byłem przytomny dziesięciu dysputom i spamiętałem sobie dobrze, że Zbawiciel nasz czterdzieści dni i nocy pościł.

– Piękne pamiętasz sobie rzeczy! – odparł Luter rozgniewany, że ktoś miesza się do dysputy. – Lepiej byłoby, gdybyś sobie był pamiętał przysłowie: "szewcze, patrz kopyta", – i odwrócił się od Kunona, sądząc, że taką odprawą pozbył się niemilego przeciwnika. Ale omylił się bardzo. Kuno głośno się rozśmiał i oddał doznany raz po swojemu.

– To właśnie dla ciebie dobre, Doktorze, "szewcze patrz kopyta!". Gdybyś był się zastosował do przysłowia, byłbyś pozostał przy brewiarzu, mszale i ślubach.

– Nie wtrącaj się do dysputy! – odezwał się Werner. – Twój głos nie do dysputy, mój Kuno, bo doprawdy, gdyby dwojga z takim głosem spór rozpoczęło, bębenki by nam popękały.

– Nie, mój Wernerze! – mówił Kuno. – W ten sposób nie pozwolę sobie Lutrowi postępować; wpierw chcę go przekonać, że kłamie. Panie Luter, kiedy post od diabła pochodzi, czemuż Zbawiciel pościł? Czyż twierdzisz, że Zbawiciel wolę diabła wykonywał? he? Tłumacz się, jeśli umiesz, a wiedz, że szlachcic nie tylko bronią władac umie, ale i Pismo św. rozumie. Prędko, powiadaj, czemu Chrystus Pan pościł?

– Czemu Chrystus Pan pościł? – powtórzył Luter, podnosząc lewe brwi. – Patrzcież papistę; pyta, czemu Chrystus pościł? czy może chcesz Zbawicielowi dawać przepisy? Przecież lituję się nad twoją głupotą. Więc sobie pamiętaj: Pan nasz pościł, abyśmy pościć nie potrzebowali. Martwił ciało swoje za wszystkich odkupionych, a nam nic więcej czynić nie potrzeba, jeno wierzyć. Wiara sama zbawia – mówi Pismo. Czego oczywiście papiści i nauczający o potrzebie dobrych uczynków pojąć nie mogą, przechwalają się po mistrzowsku, udają świętość tak wielką, że świętość Pana naszego przy nich blednieje. Zresztą – zwrócił się do hrabiego, – wcale nie mam ochoty dysputować z onym mężem, który tak zna Pismo św.; zanadto mi mądry! Tam mój przeciwnik – wskazał na karmelitę – prościez go, niech zacznie wreszcie ze mną walkę.

– Zupełnie słusznie – odpowiedział hrabia. – Ubliżyłbym memu gościowi, gdybym pozwolił dysputę przez niewczesne uwagi. Zechciej więc, Dominiku, w dyspucie z uczonym Doktorem udowodnić, że prawdziwą jest nauka, którą dotąd za jedynie prawdziwą uważaliśmy. Jeśli ci się to uda, z całym domem zostanę wiernym dawnemu Kościołowi. Lecz jeśli cię Doktor pokona – tedy oczywiście pójdę za mym przekonaniem.

Karmelita powstał. Na spokojnej twarzy widać było, że czuł się wzruszonym samą myślą, jak ważną w skutkach będzie obecna dysputa.

– Gdy pomyślę, jak słabym jestem w porównaniu do uczonego męża, trwożę się bardzo – mówił Dominik. – Jeśli ulegnę w dyspucie, wy, hrabio, odpaść chcecie od wiary, którą wyznawali nasi ojcowie, którą ogłaszano nieprzerwanie od Chrystusa Pana i Apostołów, która więc jedynie jest prawdziwą. Nie wiem, czy będę mógł dobitnie udowodnić prawdy naszej wiary, bom w dysputach nie wprawny. Jeno waszemu rozkazowi ulegam, hrabio. Zanim przecież uproszę sobie tezę, nad którą mamy dysputować, pozwolę sobie

zapytać się mego przeciwnika, kto go powołał do tak nadzwyczajnej misji, w jakiej występuje? Boć nigdzie nie czytamy w Piśmie św., ani w tradycji nam nie podają, iżby Bóg po objawieniu się przez Syna swego jakiegokolwiek powołać miał męża, którego zadaniem byłoby obalać naukę Kościoła św. Chrystus Pan zapewnia tylko kilkakrotnie, że z biegiem czasów powstaną fałszywi nauczyciele i prorocy.

– I słowo Chrystusa spełniło się w papieskim kłamstwie i tyraństwie – przerwał gwałtownie reformator. – Jeśli chcesz widzieć fałszywych proroków, idź do Rzymu, przypatrz się Papieżowi z kardynałami i z całym szeregiem rzymskiej Sodomy.

– Czy przez rzymską Sodomę rozumiesz Papieża i biskupów? – pytał Dominik.

– A oczywiście, kogóż by?

– To doprawdy dziwna i prawie niepodobna uwierzyć, iżby tak miał mówić uczony mąż.

– Czemu dziwna? czemu niepodobna uwierzyć? Powiedz – powiedz czemu?

– Dlatego dziwna, że niepodobna, iżbyś nie miał wiedzieć, jak Chrystus Pan troskał się o to, aby Jego nauka czystą się przechowała. Wszakże Chrystus Pan nauki swoje przekazał wszystkim narodom, dla wszystkich czasów, dla wszystkich stanów. Czyż nauka Jego nie ma być wszędzie równo wykładana i nie maszże każdy w nią równo wierzyć! Jakżeż tedy podobna, aby nauka Chrystusa Pana pozostała przez wszystkie czasy niewzruszoną, czystą, niezmienną, kiedy na ziemi wszystko się zmienia!

– Kończżeż twoje lisie wykręty, i powiedz, jak to podobna?

– Nauka Chrystusa Pana tylko w ten sposób nieskażoną zostać mogła, że Pan Jezus postanowił nieomylny urząd, nad którym czuwa Duch Święty, dając światło potrzebne. I dlatego to powiedział Pan Jezus do Apostołów: "Będę prosić Ojca, a innego Pocieszyciela da wam, aby był z wami po wszystkie wieki: Duch prawdy".

– Tak powiedział Pan Jezus do Apostołów, ale nie do biskupów.

– Jeśli nie powiedział tego do biskupów, tj. następców Apostołów, jakież znaczenie mają słowa: "Aby był z wami po wszystkie wieki"? Jakżeż mógł Pan Jezus powiedzieć dalej: "Idąc, nauczajcie wszystkie narody, uczcie je wszystko chować, cokolwiek bym wam powiedział, a Ja jestem z wami do końca świata". Jak mógł Chrystus Pan tak powiedzieć, jeśli nie chciał pozostać przy kościelnym urzędzie nauczającym aż do końca czasów! Albo, czy twierdzisz, że Duch Święty opuścił Kościół, czyżby wtedy Chrystus Pan był dotrzymał obietnicy? A dalej: jeżeli kościelny urząd nauczając może błędzić, jakżeżby Pan Jezus mógł nauczać i grozić: "kto Kościoła nie słucha, niech ci będzie jako poganin i celnik!". Jakżeż mógł Paweł św. napisać: "Kościół jest filarem i utwierdzeniem prawdy". Zdaniem więc moim każdy człowiek myślący musi przyznać, że Jezus koniecznie musiał zabezpieczyć Kościół swój od fałszu, gdy wszystko na ziemi zmienia się i ginie. Gdy nauka Zbawiciela nie miała być sfalszowaną, koniecznie pomoc z wysokości chronić ją musi od błędu przez Ducha Świętego. I to Chrystus Pan uczynił, postanawiając nieomylny urząd nauczający.

– Bardzo dobrze, zgadzam się zupełnie! – odezwał się Kuno.

– A jeśli Pan Jezus postanowił nieomylny urząd nauczający – kończył Dominik – wtedy jesteśmy zobowiązani tej najwyższej władzy nauczającej się poddać, jakżeż tedy masz czoło, Doktorze, stawiać swą powagę ponad powagę urzędu od Boga postanowionego? Od kogóż masz powołanie swoje?

– Od kogo? – zawołał Luter, któremu wezbrały gwałtownie żyły na czole.  
– Od Boga mam powołanie! Każdy niechaj wie, i niniejszym każdemu ogłaszam, że wziętem Ewangelię nie od ludzi, ale tylko z nieba, przez Pana naszego Jezusa Chrystusa (8).

– Więc ogłaszasz że jesteś natchniony od Boga?

– Tak jest. Przecież nie będziesz miał nic przeciw temu?

– Przed kilku tygodniami – mówił Dominik spokojnie, – spotkałem człowieka, który się mianował prorokiem Boga i twierdził, że ma pełność Ducha Świętego i że jest nieomylnym. Szalony ten nazywał się Jan Knopf, boć szaleństwem jest, jeśli się człowiek nazywa nieomylnym. I szalonym byłby Papież, szalonymi wszyscy biskupi ziemi, gdyby nieomylność swą opierali na ludzkich swych siłach a nie na obietnicy Chrystusa Pana i sprawie Ducha Świętego Oświeciciela. Komu tedy Zbawiciel nie dał obietnicy, i kogo Duch Święty nie wspiera, żadną miarą nie może być nieomylnym.

– Któż tedy jest nieomylnym: ty, Doktorze, czy Knopf, czy też od Chrystusa Pana postanowiony urząd nauczający? – pytał Friendsberg.

– Kto jest nieomylnym? Zaraz wam powiem – odpowiedział zuchwale reformator. – Otóż powiadam tobie i wszystkim skrytym papistom, com powiedział Knopfowi. Kto ma uszy ku słuchaniu, niech słucha! Żaden anioł w niebie, żaden człowiek na ziemi nie powinien sądzić nauki mojej. Kto mojej nauki nie przyjmuje, nie może być zbawionym. Kto inaczej wierzy, jak ja, jest dzieckiem piekła. A kto moje nauki potępi, tego Bóg potępi, bo moje usta są ustami Chrystusa (9).

Kuno nachylił się do ucha sąsiada i szepnął mu: Ten człowiek albo jest pijany, albo oszalał.

Dominik spojrział badawczo na hrabiego Wenera. A po chwili rzekł:

– Panie hrabio, czy po takim oświadczeniu żadasz jeszcze dysputy, która do celu nie doprowadzi?

– Tak jest, żądam dysputy, bo nie lubię zmieniać, com raz postanowił – odpowiedział hrabia. – Właśnie była mowa o tym, że sama wiara wystarcza do zbawienia. Nauka ta sprzeciwia się istocie waszego Kościoła, a jest owocem wysławionej wolnej Ewangelii. Dlatego chcę, abyście o tym dysputowali: czy wiara bez dobrych uczynków wystarcza do zbawienia.

– Bardzo łatwe zwycięstwo przygotowałeś mi, panie hrabio! – odezwał się Luter. – Nic jaśniejszego nad to, że wiara sama wystarcza do zbawienia. Wyraźnie pisze Paweł św., że żaden człowiek przez uczynki zakonu nie będzie usprawiedliwiony, wiara tylko usprawiedliwia. Po cóż by Chrystus Pan był przelewał krew swoją, gdyby nam potrzeba było przez dobre uczynki niebo sobie wysługiwać? Nie pytaj, co uczyniłem, jeno mów: co Chrystus uczynił, co On wysłużył. A na to odpowiada Ewangelia: "Odkupił cię od grzechu, diabła i śmierci". Wniosek: wiara sama usprawiedliwia, bez uczynków, jak już napisał Paweł św. (10)

– Zapewne z prędkości przekreśliłeś tekst, Doktorze! – powiedział Dominik. – U Pawła św. tak napisane: *ean me dia pisteos*, czego nie można tłumaczyć jak wiesz *przez wiarę samą*.

Greckie wyrazy widocznie uraziły słuch Lutera. Bo ani doczekać nie mógł, ażby Dominik skończył całe zdanie, ale wylał całą złość na język grecki.

– Co? z greckimi okruchami mi wyjeżdżasz? Schowaj się z tym; nie rozumiem ani po grecku, ani po hebrajsku, ale nie dam się ani grekowi, ani hebrajczykowi.

– Jeśli nie masz ochoty zastanowić się nad przytoczonym tekstem Biblii, inne przywiode miejsca, z których jasna, że dobre uczynki są konieczne.

– Przywódź, a prędko, nie kołuj! – naglił Luter, któremu powaga i pewność karmelity bardzo się nie podobały. Przywódź twoje miejsca ale pamiętaj, jak ci je z głowy wybiję.

– U św. Jakuba czytamy: "Jakoli ciało bez duszy martwe jest, tak też i wiara bez uczynków jest martwa!". Dalej nakazuje Pan: "Bądźcie doskonałymi jak Ojciec wasz w niebiesiech doskonały jest" i jeszcze: "kto słucha mowy moje i chowa je, ten jest który mnie miłuje!".

– Wnet skończysz? – pytał reformator niecierpliwie i prawie ze złością, gdy spostrzegł, że Dominik więcej miejsc przywieść był gotów. – Czy takimi wykretami drwić sobie chcesz ze mnie? albo sądzisz, że mam ochotę przysłuchiwać się słowom ze słomianego listu waszego Jakuba?

– Czyż odrzucasz Ewangelię? – pytał Dominik, zdziwiony wyrażeniem się Lutra.

– Jakież pytanie! – zawołał Luter, a w obliczu jego począł objawiać się niepohamowany gniew. – Nie ja, ale wy, papiści, odrzucacie Ewangelię. Dręczycie się dzień i noc uczynkami pokutnymi, zapominacie o krwi Zbawiciela, poddajecie ciało i duszę katuszy, a za to tę macie nagrodę, że tu, docześnie, jesteście męczennikami diabła, a tam, wiecznie, będziecie dziećmi potępienia.

Siegfried Erfenstein nie spuszczał hrabiego z oka. Z zadowoleniem dopatrywał w obliczu jego pewnych wątpliwości nad zdaniem Lutra, dlatego wmieszał się do sporu, aby doprowadzić Lutra do owych wniosków, płynących z jego nauki, które sprzeciwiają się zdrowemu rozumowi ludzkiemu.

– Pozwól, Doktorze, że o jedno się zapytam. Czy twierdzisz rzeczywiście, że człowiek nie jest wcale zobowiązany do czynienia dobrego?

– Oczywiście, samo przez się! – odpowiedział reformator. – Chrześcijanin powinien nawet dobrego zaniechać. Pamiętaj sobie: "Dobry uczynek najlepiej spełniony jest grzechem powszednim dla miłosierdzia Boskiego, a grzechem śmiertelnym wedle surowego sądu Bożego" (11).

– Bardzo jasno powiedziane! – mówił Erfenstein, patrząc znacząco na hrabiego.

– Do stu piorunów, na to się nie zgodzę! – zawołał Friendsberg, uderzając silnie w stół. – Po cóż by było dziesięcioro przykazań Boskich, gdyby ich wykonywać nie trzeba? Nie napisanoż w Księdze Mojżesza: "nie będziesz zabijał, nie będziesz cudzołożył"?

– Mojżesza schowaj sobie w miech! – odparł Doktor, coraz więcej roznamiętniony. – Mojżesz dobry dla ciebie; wygląda okrutnie jak diabeł, usta przepełnione żółcią i złością, sieją goryczą trucizny (12). Precz z Mojżeszem!

– Słuchajcież, towarzysze, słyszycież fałszywego mnicha? – wołał Kuno, zrywając się z miejsca. – Nie powiedziałyście co tylko, że Mojżesz największy z proroków i pełen Ducha Świętego? Nie powiedziałyście tego? A teraz nazywa go diabłem!

– Na ratusz z dziesięciu przykazaniami! – mówił Luter, nie uważając na Friendsberga. – Gorszym niż Papież i czart jest Mojżesz, i wszyscy, którzy się nań odwołują, pójdą do diabła. Na szubienicę z Mojżeszem, na szubienicę!

– Na szubienicę z Mojżeszem! – odezwał się Bernard, a wszyscy zwolennicy Lutra wołali: Precz z nim! na szubienicę!

Wydawszy taki wyrok na dziesięciorgo przykazań Boskich, i Mojżesza, sięgnęli wszyscy po puchary i pili za powodzenie wolnej, nieskażonej Ewangelii. Na obliczu Dominika widoczna była ogromna boleść i smutek; podobno nawet łzy puściły się z ocz jego. Siegfried nie spuszczał z uwagi hrabiego, który siedział zachmurzony i pełen niechęci.

– Skoro więc Mojżesz na szubienicy – odezwał się Luter, patrząc tryumfująco na karmelitę, – toć pewnie wszystkich nauczających o dobrych uczynkach odejdzie ochota do zaprzeczania mojej Ewangelii, że sama wiara wystarcza.

Dominik milczał. Że z takim człowiekiem dysputować niepodobna, widział aż zanadto.

Ale Kuno, pragnący koniecznie postawić na swoim, odezwał się ze zwykłą sobie gwałtownością do Lutra:

– Powiesiliście, ale nie tego, który wisieć powinien. Znam lepsze ścierwo dla kruków – i rozśmiał się Lutrowi w twarz – wszystkie łotry niech idą do diabła! Jeżeli można się mordem, łupiestwem, cudzołóstwem tak samo zbawić



jak postem i modlitwą, to pewnie chłopci zupełnie słusznie postępują, gdy palą wszystkie klasztory, zabijają zakonników i hańbią zakonnice?

– Czy dobrze czynią? – zapytał Luter. – Dawno już każdy pobożny rycerz i hrabia powinien tak samo być postąpić – i spojrział z wyrzutem na hrabiego; – każdy z nich powinien niszczyć klasztory, te otchłanie piekielne.

– Czy wnet ci się oczy otworzą? – zapytał Siegfried hrabiego, zatopionego w myślach.

– He, wolno, mój Doktorze! – mówił znowu Friendsberg. – A jeśli też chłopci tak samo postąpią ze szlachtą, jak teraz z zakonnikami – he! Cóż powiesz na to, gdy te łotry poczną dobywać naszych zamków, i będą znieważać nasze żony i córki?

– Wtedy należy przeciw nim wystąpić jako przeciw psom wściekłym, zabijać ich! (13) – odrzekł Luter.

– Co? – zawołał Siegfried rozgniewany. – Azaliż przez twoje krzyki i pisma nie podburzyłeś chłopów? Czyż ich nie zachęcałeś, aby wszystkich panów palili?

– Któż mi to czyni taki zarzut? – pytał reformator, zwrócony do nowego przeciwnika. Kto to powiada?

– Ja to powiadam! – zagrzmiął głos donośny w sali, a wszyscy goście zwrócili się zdziwieni ku nieznanemu mówcy.

– Kto to mówi? – mówił Luter podniesionym złością głosem, cały w ogniach.



– Ja to powiadam, wiarołomny mnichu! – odpowiedział ten sam głos grzmiąco.

– A to co? – pytał Werner, który razem z drugimi nie dostrzegł od razu niewidzialnego mówcy.

– Nie lękajcie się, przyjaciele moi! – mówił Luter. – Dawno znoszę takie sprawy diabelskie. Trzeba wam wiedzieć, że to sam diabeł taki zarzut mi czyni. Nawet we śnie nie daje mi spokoju, towarzyszy mi w podróżach, a teraz odważa się nawet przeszkadzać nam przy uczcie. Nie trwóście się – włosu na głowie wam ta bestia nie zakrzywi!

– Ale ciebie, nędzniku, w kawały poszarpie! – mówił dalej głos nieznamy, i niejeden pijany, sądząc, że rzeczywiście diabeł jest blisko, wytrzeźwiał z przestachu. Równocześnie też przesunęła się tajemnicza postać poza filarami, a najtrwożliwsi dopatrzyli nawet, że skry padały naokoło potworu czarnego. Odważny Doktor zaś powstał, aby przyjąć czarta zwyczajnym zaklęciem.

– Idź do piekła, bestio! – zagrzmiął do mniemanego diabła. – Nie poważaj się dotknąć łapami twymi pomazańca Pańskiego! – stój, w imię czystej Ewangelii, stój!

Ale tym razem nie usłuchało zjawisko rozkazów mistrza. Ciężkie kroki odezwały się na posadzce, i wnet stanął przed zdziwionymi gośćmi Wolfgang z Hoenfels, od stóp do głowy uzbrojony. Oko błyszczało z pod szyszaka, a Luter zadrżał na widok zagniewanego męża.

– Toś ty, Wolfgangu? – odezwał się Werner. – Witaj! Ale po cóż w taki sposób się zjawiasz? Skąd taki gniew w twym oku? Zaprawdę, diabeł sam nie byłby tak przestraszył wesołych biesiadników.

– A jednak siedziałeś dziś przy uczcie z człowiekiem gorszym od diabła. Darujcie, towarzysze broni, że wstąpiłem do was w tak niezwykły sposób. W moim położeniu byłby każdy podobnie postąpił. Otóż na własne uszy słyszałem wczoraj, jak ten nędznik występował przeciw szlachcie, zachęcając chłopów aby ich mordowali i zamki ich palili. I ja! ja – i podniósł ściśniętą pięść, patrząc groźnie na Lutera – i ja stałem się ofiarą zbuntowanego chłopstwa! Zamek mój w gruzach, dom mój spalony, słudzy pozabijani, tylko co najdroższe uratowałem: dziecko moje!

– Słyszycie? – zawołał Friendsberg, zrywając się z miejsca. – I ten niegodziwy mnich nazwał się ustami Chrystusa? To taka nauka nieomylnego?

Położenie Lutra, już i tak bardzo krytyczne, wnet miało się stać niebezpieczne.

Poza salą powstał ogromny krzyk i zamieszanie. Słysząc było chrzęst broni, urywane wykrzykniki, i klątwy. Zdawało się, że służba porzuciwszy kostki i wino, za broń chwyciła. Drzwi do sali otworzyły się z trzaskiem, i wśród sług hrabiego wszedł jakiś posłaniec. Kurz i krew widać było na jego odzieniu, szyszak przecięty, suknie w kilku miejscach przepalone. Przestraszył się na obliczu jego, a skoro zobaczył pana swego, Erfę z Hauenstein, począł z boleścią wielką opisywać, co się zdarzyło.

– Panie! chłopci zamek wasz spalili, ojca zamordowali, żonę zhańbili, dzieci pobili!

Erf stanął jak skamieniały. Osłupiałym okiem patrzył na sługę, nie mogąc słowa przemówić, ale za to odezwał się potężny głos Wolfganga:

– I tego dokonali chłopci, podbechtani przez niegodziwego augustianina! Do broni! W kim kropla krwi szlacheckiej, do broni! pomścić się musimy koniecznie!

Słowa krótkie, ale takim głosem wypowiedziane, wywarły nadspodziewany skutek. Panowie porwali się z krzesel, rzucając mordercze spojrzenia na Lutra, który siedział, jakby piorunem rażony. Niektórzy pobiegli po broń, i wnet szcęk jej rozległ się w sali wśród klątw straszliwych. Tu i owdzie widać już było dobyte miecze, a Werner w przykrym znalazł się położeniu, gdy gościowi zagrażało widoczne niebezpieczeństwo. Los starego Hauensteina, dzielnego, zacnego i od wszystkich szanowanego rycerza, wszystkich poruszył. Nadto uczuli boleśnie dotkniętą dumę szlachecką i przekonali się, że Luter wywołał rokosz chłopów i przeciw panom ich podburzył. Luter byłby niewątpliwie śmierci się doczekał z rąk rozjątrzonych gości Wernerowych, bo już głośno odgrążano mu się śmiercią, a raz po raz odzywały się głosy: porąbcie go! porąbcie łotra. – Na szubienicę z fałszywym prorokiem! obsadź drzwi! – wołał namiętnie baron Friendsberg, biegnąc po broń.



„An den Galgen mit dem falschen Propheten!“

Filip Melanchton stanął tuż przy Lutrze, gotów śmierć razem z nim ponieść. Reformator, strasznie przerażony, drżał cały i trwożliwie na wszystkie oglądał się strony. Wtem pochwycił go ktoś silnie za rękę i pociągnął za sobą.

– Uciekaj – uciekaj! – naglił Dominik. – Nie trać odwagi, uchodź! Pójdź za mną, bo inaczej śmierć pewna!

Melanchton dopomagał zakonnikowi, i gwałtem uprowadzili drżącego ze strachu Doktora do maleńkich drzwiczek, ukrytych w ścianie. Panowie snadź nie dostrzegli ich, bo tylko główne drzwi obsadzili. Tym sposobem wymknął się Luter, gdy wszyscy sądzili, że jeszcze znajduje się w sali.

Dominik zamknął ostrożnie za sobą drzwiczki, aby przeszkodzić pogoni, a zachęcając ciągle do pośpiechu, przeprowadził Lutra przez kilka korytarzy, zeszedł po schodach, i wnet znaleźli się w celi karmelity, która była tuż przy kaplicy zamkowej.

– Tu możemy odetchnąć – odezwał się zakonnik. – Jeśliby aż dotąd nas ścigać mieli, ukryjemy się w kaplicy, której progów z pewnością w krwawej sprawie nie przestąpią.

Luter potrząsnął niedowierzająco głową, a uspokojony cokolwiek, błagał, aby mógł uciekać co prędzej.

– Dokądżeż chcecie pójść? – pytał Melanchton. – Północ, a wszereż i wzdłuż nie ma dla nas gościnnego domu.

– Mniejsza o to! Na Boga! uchodźmy z tej zbójeckiej jaskini! – prosił Luter.

– A co się stanie z Koppem i z narzeczoną? – pytał Filip troskliwie. – Na nich wywrą zemstę rozjuszeni panowie, gdy zobaczą, że was nie ma.

– Niech się dzieje, co chce! Jenó pójdźmy dalej, niż nam odwrót odetną – naglił Doktor.

– W każdym razie jestem gotów stanąć w twojej obronie – mówił Dominik, szukając czegoś długo po ciemnej celi, aż wreszcie klucze zabrząkły mu w rękę.

Tymczasem rozszerzył się krzyk i hałas po całym zamku. Panowie spostrzegłszy, że Luter uszedł, szukali go po wszystkich kątach. Zbrojni pachołcy obsadzili główną bramę i inne miejsca, aby przeszkodzić ucieczce.

Dominik atoli już wyprowadził Lutra maleńką furtką poza mur zamkowy. Szybko biegnąc, nie zatrzymali się prędeż, aż wąska ścieżka, którą postępowali, nie dobiegła do drogi, prowadzącej do Schoenfeld. Tu stanęli i słuchali, co się dzieje w zamku.

W lesie cicho było, drzewa tylko szeptały tajemniczo, a szum bliskiego jeziora rozlegał się po nocy, Luter odetchnął swobodniej. Ocierając pot z czoła, klął diabła, że go na takie wyprowadził niebezpieczeństwo.

– Teraz nie ma innej rady – odezwał się po chwili – jak tylko uchodzić co najprędeż z granic posiadłości hrabiego, bo ręczę, że skoro spostrzegą ucieczkę, ścigać mnie będą.

– Nie trwóż się! – odpowiedział Dominik. – Do rana będą mieli robotę, aby przetrząsnąć wszystkie zakątki obszernego zamku, a że obsadzili wszystkie wejścia, będą ciągle w nadziei, że jesteście jeszcze w zamku.

– Pst! – cóż to? – mówił Melanchton z cicha, usłyszawszy jakiś ruch w lesie.

Od klasztoru słyhać było wesołą rozmowę; blask pochodni przedzierał się przez gęste drzewa, a stąpanie koni coraz stawało się wyraźniejszym. Wnet poznali głos Koppego.

– Ustąpmy z drogi, aż przejadą! – odezwał się karmelita, nie wiedząc, jakie znaczenie miał Koppe w sprawie Lutra.

– Nie potrzeba! – odpowiedział Luter uradowany. – To Koppe z moją miłą Kasią. Patrz, Filipie: w tym upatrywać należy zrządenie Boże, że właśnie na czas tu zdążyliśmy, aby oboje wyrwać z paszczy wilków.

– Ale im towarzyszą słudzy hrabiego! – odrzekł Melanchton z pewną trwogą. – Oczywiście, że ci nas widzieć nie powinni!

– Czy kazaliście Katarzynę Bora przyprowadzić z klasztoru? – zapytał karmelita.

– Oczywiście, może miałbyś ochotę ją zatrzymać?

Dominik odpowiedział smutnym spojrzeniem. Poznał, że zatwardziały Luter tak samo trwał w uporze, jak zbiegła zakonnica, a jednak, powodowany szlachetnością, postanowił ratować Lutra z widocznego niebezpieczeństwa. Koppe i Katarzyna zbliżyli się z dwoma sługami hrabiego, i niemało się zdziwili, zobaczywszy w tym miejscu Lutra. Podczas gdy augustianin bardzo czule witał się z narzeczoną, pomówił Dominik ze sługami, którzy natychmiast zsiadli z koni, i oddali je Lutrowi i Melanchtonowi.

– Nasze konie jeszcze bardzo zmęczone po długiej podróży – mówił reformator, i wskoczył, jak gdyby się chciał popisać w oczach Katarzyny wielką zgrabnością, na konia. – Jeśli hrabiemu nie będzie się podobała nasza zamiana, może, oddawszy nam nasze konie, odebrać swoje.

Zbiegła zakonnica zapewniała troskliwie o zdrowie dopytującego się narzeczonego, że zupełnie zdrowa, i natychmiast w dalszą udali się drogę.

– Ten człowiek – mówił Dominik – pokaże wam drogę do najbliższej wsi, stamtąd już nie zbłądzicie, tylko nie zbaczajcie nigdzie!

– Dziękuję ci zakonniku! – odezwał się Melanchton, a uściskawszy mu czule rękę, podążył za drugimi.

Luter stanął bez przeszkody w Wittenberdze, gdzie odbyła się uczta, po której Kasia pozostała u Lutra, jak pisze Köestlin.

Słynny Erazmus takie o nim pozostawił zdanie:

"Wielu się zdaje, że wystąpienie Lutra było tragedią, a ja powiadam, że to czysta komedia; bo wszystko kończy się weselem".

Jakkolwiek Luter osiągnął główny cel podróży, tj. zabrał narzeczoną, to przecież nigdy mu się nie udało pozyskać hrabiego Wernera dla swej Ewangelii. Werner nie uwierzył w jego nieomylność ani posłannictwo, którym się chlubił. Owszem, Werner tak był przeciwnym nowej nauce, że chociaż wielką miał ochotę zabrać dobra klasztorne, to jednak z nienawiści dla nowej Ewangelii, tego nie uczynił.

Hilchen Rotenek umarł wskutek rany, ku wielkiemu zmartwieniu pięknej Gizeli.

Ponieważ zaś Wolfgang padł w walce z chłopami, postanowiła szlachetna dziewczica złożyć śluby zakonne w klasztorze Schoenfeld. Nawet Herman, który zgłosił się o jej rękę, nie mógł jej odwieść od powziętego zamiaru.

Przez pobożność i cnoty zakonne dostąpiła Gizela godności przeoryszy klasztoru. Co dzień prawie klęczała przy grobie Hilchena; żeby zaś zadostyczyć za występki jego ciężkie, wedle zdania zakonnic zadawała sobie pokuty.

Bóg snadź chętnie przyjmował taką ofiarę miłości, bo mówi podanie, że przy śmierci Gizeli ukazał się nader piękny młodzieniec, na którego widok mocno się rozradowała i z uśmiechem na ustach Bogu ducha oddała.

Mówią, że młodzieńcem tym był Hilchen, który poprowadził narzeczoną swą w tryumfie wśród niebiańskiej muzyki do krainy, gdzie nie masz rozłączenia ani łez.

O Klemensie tyle tylko nadmienić wypada, że wrócił do ślubów, które złamał, bo doświadczył, jakiej pociechy doznaje człowiek w obliczu śmierci, gdy umiera w wierze katolickiej.

---

### **Przypisy:**

(1) *Stud. u. Skizen z. Gesch. d. Reform.*, str. 176-177.

(2) Audin, *Życie Lutra*.

(3) Pieśń tę śpiewano na weselu Lutra; prawdopodobnie z pod wprawniejszego wyszła pióra, a nie z pod pióra Bernarda. – Audin, *Życie Lutra*.

(4) *Wykład Psalmu 90*, Wittenb. II cz., f. 419 b i 420 a.

- (5) Pisma Lutra o pożyciu małż. cz. I. – *Stud. u. Skiz. z. Gesch. d. Reform.*, str. 97-99.
- (6) Luter o pożyciu małż. Frankf. 2569, f. 319 b, rozdz. 3.
- (7) Lut. objaś. I Mojż. rozdz. 16. Podług tego objaśnienia pozwolił reformator Filipowi Heskemu mieć dwie żony.
- (8) Jen. germ. cz. II, 579.
- (9) Tom. II, str. 44, a. 1522.
- (10) *Luth. Erkl. d. Brief an d. Gal.*, Wittenb. cz. II, 1, 476.
- (11) *Wykład Ps. 45*, cz. III, 295 a.
- (12) Wit. cz. II, 5, 3 a. – cz. I, 2, 288.
- (13) Pisma Lutra: *Wieder die räuberischen Bauern*.



K. von Bolanden, *Luter w drodze do narzeczonej*. Przełożył z niemieckiego Ks. J. Echaust. Wydanie drugie z ilustracjami. Warszawa. Skład główny w księgarni S. Zaleskiego i S-ki, ul. Szpitalna Nr 5. Druk E. Skowrońskiego i S-ki, Nowy Świat 43. Telefonu 1598. 1900, str. 383+[1]. (1)

(Pisownię i słownictwo nieznacznie uwspółcześniono).

### **Przypisy:**

- 1) Por. 1) "Tygodnik Katolicki", [\*Konrad Bolanden, katolicki powieściopisarz.\*](#)
- 2) "Przegląd Lwowski", [\*"Luter w drodze do swojej narzeczonej".\*](#)
- 3) Ks. A. Kraetzig SI, [\*Janssen i historia reformacji.\*](#)
- 4) F. J. Holzwarth, [\*Historia powszechna. Dzieje nowożytne. Rzut oka na czasy rewolucji religijnej.\*](#)



- 5) Ks. Marcei Nowakowski, [Heretycy i sekciarze. Marcin Luter, twórca pseudoreformacji.](#)
  - 6) Ks. Rivaux, [Sposób wyrażania się Lutra.](#)
  - 7) Ks. Zygmunt Baranowski, [Reformy małżeńskie Lutra.](#)
  - 8) "Przegląd Lwowski", ["Apostolska łagodność" Marcina Lutra.](#)
  - 9) Abp Stanisław Karnkowski Prymas Polski, [O wieczerzy Zborów Luterskich, Pikardskich, Zwinglińskich, Kalwińskich i Nowochrześcijańskich.](#)
  - 10) O. Jakub Wujek SI, a) [Postilla catholica... Iz zbory Lutrów, Kalwinów i innych Sektarzów, nie są Kościoły Pana Chrystusowe, ale Bożnice Szatańskie.](#) b) [Grzech żydów i heretyków przeciwko Duchowi Świętemu.](#) c) [Postylla Mniejsza.](#)
  - 11) Ks. Jakub Balmes, a) [Fanatyzm i indyferentyzm, ich źródła i następstwa.](#) b) [Katolicyzm i protestantyzm w stosunku do cywilizacji europejskiej.](#)
  - 12) Ks. Albert Stöckl, [Wyrodzenie się mistycyzmu poza Kościołem.](#)
  - 13) Św. Teresa od Jezusa, a) [Starania o nawrócenie heretyków.](#) b) [Wizja mąk piekielnych.](#)
  - 14) Ks. M. Hamon, [Św. Franciszek Salezy nawraca heretyków. \(Misja w Chablais\).](#)
  - 15) Albert von Ruville, [Metody pseudoreformatorów w walce z Kościołem.](#)
  - 16) "Przegląd Powszechny". M., [Henryk VIII i klasztory w Anglii.](#)
  - 17) Ks. Stanisław Załęski SI, [Karta z dziejów Kościoła w Anglii.](#)
  - 18) Ks. Antoni Brzeziński, [Rys dziejów świętego Soboru Trydenckiego.](#)
  - 19) O. Jan Jakub Scheffmacher SI, [Katechizm Polemiczny czyli Wykład nauk wiary chrześcijańskiej przez zwolenników Lutra, Kalwina i innych z nimi spokrewnionych zaprzeczanych lub przekształczanych.](#)
  - 20) Bp Władysław Krynicki, [Dzieje Kościoła powszechnego.](#)
  - 21) Sac. Franciscus Zeibert, [Compendium historiae ecclesiasticae.](#)
  - 22) Sac. Ioannes Baptista Palma, [De Martino Luthero, et haeresi ab eodem inducta.](#)
  - 23) Ks. Peter Einig, [Usprawiedliwienie \(justificatio\).](#)
  - 24) Władysław Miłkowski, [Dzieło Tomasza a Kempis "O naśladowaniu Chrystusa" u protestantów.](#)
  - 25) Emanuel Bułhak, [Dzieła św. Dionizego Areopagity, Christianitas, i Formgeschichte.](#)
  - 26) Wingolf, [Czemu jestem katolikiem? Kilka słów o modernizmie.](#)
  - 27) Kongregacja Św. Inkwizycji, [Wyznanie Wiary dla heretyków przechodzących na łono Kościoła katolickiego.](#)
- (Przyp. red. *Ultra montes*).

*H. von Bolanden.*



# LUTER

## w drodze do narzeczonej

Przełożył z niemieckiego

Ks. J. Echaust.

---

WYDANIE DRUGIE  
z ilustracyami.

---

WARSZAWA.

Skład główny w księgarni S. Zaleskiego i S-ki,  
ul. Szpitalna № 5.

Druk E. Skowrońskiego i S-ki,  
Nowy-Świat 43. Telefonu 1598.

—  
1900.

( [HTM](#) )

© *Ultra montes* ([www.ultramontes.pl](http://www.ultramontes.pl))

Cracovia MMXIX, Kraków 2019